

„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

Septembre 1968  
1968

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

# SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

WRZESIEŃ  
1968

Nr 50/1197

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



GENERAL WŁADYSŁAW SIKORSKI 1881—1943

FP 2156

# 1,000,000

GILLETTE super silver  
wysłał w bieżącym  
roku do Kraju  
T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Od 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „życie Warszawy“ z 19 lipca: „...za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów“ otrzymywało się w Kraju do 280 złotych.“
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie NAJKORZYSTNIEJSZEJ pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych ILUSTROWANYCH KATALOGACH TAZABA ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

**TAZAB & Co., Tazab House** ROLAND GARDENS  
LONDON SW7

Tazab of London Inc., 16, STUYVESANT STREET, NEW YORK 3, N. Y. 10003

o r a z : Représentation de Tazab à Londres, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17-e.

## W NUMERZE :

S. B.: Nasz wrzesień	1
M. Kukiel: Mąż stanu Polski Walczącej	2
K. Ostrowski: Tak źle a tak niedobrze	8
Zjazd SPK w W. Brytanii	10
M. Tomkiewicz: Tam się też żyło (VI)	13
F. Goldszlag: Architekci wnętrza ciała ludzkiego	16
J. Drobnik: Na temat książki „W szkole Dmowskiego“	18
L. Bojczuk: Antologia literatury polskiej po angielsku	21
J. Kowalewski: Brutus legendy gen. Sikorskiego	22
S. Legeżyński: Dziwy i uroda Polesia	23
P. Hęciak: Przygotowania c/o 25-lecia Monte Cassino	24
Kage: Kronika wojskowa	25
Z. Grabowski: Esej „O szczęściu“	26
Z życia polskiego	29
J. Ostrowski: Słonimskiego „Rodzina“	32
F. G.: Migawski z odczytu	33
Z. Junosza: List znad Sekwany	34
W. Strzałkowski: Historia z happy endem	36
K. E.: Przeważnie dla Pań	38
Cezary Wędrowski: Spór o listy do Delfiny	39
J. T. L.: Patrząc w serce porprzcz żrenicę	40
Książki nadesłane	40

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

## J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak  
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

**PODOLIA COMPANY LIMITED**

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,  
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,  
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

## LISTY DO REDAKCJI

### W OBRONIE LIEBERMANA

Szanowny Panie Redaktorze,

Z przykrością przeczytałem na łamach „Orla Białego“ (miesięcznik SPK), korespondencję z Australii p. W. Drzymulskiego. Nawiązując do tytułu tego listu, to autor dał kaduceusz w ręce p. Redaktora, a Pan nim wodę zamącił.

Pragnę, żeby woda nadal była czysta chcę sprostować niektóre wypowiedzi autora listu i dodać od siebie kilka uwag.

1. Bez przesady można powiedzieć, że wszyscy kolejarze w Polsce należeli do PPS a siedziba władz PPS mieściła się w Domu Związku Zawodowego Kolejarzy (ZZK). Sam autor pisze: „Toteż bardzo skuteczną była dla Marszałka działalność kolejarzy, wstrzymujących transport wojsk z Poznańskiego do Warszawy. I tyle“. Ja bym powiedział: skuteczna była działalność kolejarzy i to wystarczy bo po-

stulowała właśnie skutek, jakim było zwycięstwo Marszałka.

2. Herman Lieberman był socjalistą polskim nie z racji „zamieszkania“, a z racji przekonań. Był socjalistą międzynarodowym, podobnie jak wszyscy socjaliści w świecie, ale nie był kosmopolitą, dla którego ojczyzna jest tam, gdzie jest dobrze. A Liebermanowi w Polsce w pewnym okresie zasłużonego życia było bardzo ciężko i źle. Musiał z niej uchodzić na obczyznę — a mimo to polskości się nie wyrzekł.

3. O tej „lojalności“ wobec monarchii austro-węgierskiej można by pisać tomy, nie omijając Józefa Piłsudskiego.

4. Przynależność do partii politycznej jest z nieprzymuszonego wyboru i polega

(Dokończenie na przedostatniej  
stronie okładki)

To nie rocznica jedynie, to nie znów uroczysty obchód czy wspomina- nie tylko rzetelnego wysiłku żołnierza walczącego.

To data ważka i decydująca w histo- rii Polski, w historii całego narodu, na przestrzeni tysiąca lat od czasu, gdy uformował swe własne państwo.

Tych dat zwrotnych było wiele, ta jest jedną z najważniejszych, gdyż wojnę nam narzucano, gdyż opór bez- względny najeźdźcy a raczej najeźdź- com stawiał cały naród zjednoczony.

„Tout peut etre perdu sauf l'hon- neur“ — powtórzyła za jednym z bo- haterów narodowych, ks. Józefem — cała Polska. Dobrowolnie, z całą deter- minacją, ze szczerem nieraz czysto polskim entuzjazmem.

Bo taka jest w przełomowych chwi- lach postawa narodu.

Złożyło się na nią wiele.

Pierwsza wojna światowa, wojna mię- dzy zaborcami, o której modlili się ci najlepsi, wybrani ze swoim wieszczem przyniosła nam te pierwsze ważne wy- darzenia, które nie dadzą się łatwo za- trzymać, mnożą się i wzrastają, by stać się potężną lawiną, by z jednej kompanii i załążku szwadronu stać się potężną armią i choć zaledwie zaim- prowizowaną — odnieść wspaniałe zwy- cięstwo.

W tym roku „złotych godów“ Polski z odzyskaną po przeszło stuleciu nie- wolni niepodległością, pamiętnym listo- padzie 1918 roku przypada kilka roc- znic: 50-lecie żołnierzy najstarszego, odchodzącego pokolenia Dowborczy- ków i Kaniowczyków, Sybiraków i Mur- manczyków, poprzedzone przed rokiem jubileuszem „Błękitnej Armii“, której podstawą byli obok Bajonczyków Ame- rykanie polskiego pochodzenia; oni to przeważnie zobaczyli Polskę po raz pierwszy, gdy w zwartych formacjach wrócili do Kraju, zaledwie organizują- cego zręby swej państwowości i scala- jącego ziemię dawnych zaborów, by walczyć o swe granice, o byt niezależny odrodzonego państwa.

Nie wolno też zapomnieć o Poznania- kach i Ślązakach, którzy ofiarnym ru- chem powstańczym drogę do Polski sami sobie wyrąbali.

Na czoło tych różnych ośrodków i walk o wolność Polski w chwili wybu- chu I-ej wojny światowej wysunęły się Legiony i ściśle związane z nimi P.O.W. Tym pierwszym znów — po zdławio- nych powstaniach — żołnierzom drogę i cel walki wskazał człowiek, niemal przedtem nieznanym Józef Piłsudski, któ- rego imieniem historia nazwie cały okres niepodległego i wolnego pań- stwa.

„Nie chciałem, by na szalach wojen, gdy rozstrzygają się losy świata za- brakło szabli polskiej“ — było hasłem



B.D.I.C

# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*  
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 50/1197

WRZESIEŃ, 1968

Rok XXVII

## NASZ WRZESIEŃ

i drogowskazem dla nich i wszystkich dalszych, kolejno powstających formacji.

Żołnierze tego pokolenia, gdziekol- wiek dołączyli do szeregów mieli to wielkie szczęście, że ziściły się cele, o które walkę podjęli, że znaleźli się w jednej armii, zwycięskiej i przez swe zwycięstwo utrwalającej byt niepodle- gły państwa, choć jedynie na lat dwa- dzieścia.

Druga wojna światowa, wszecheta po- nownym paktem dwu dawnych potęż- nych zaborców i dwu światoburczych ideologii rozpoczęła się od zdławienia wolności i niepodległości naszego pań- stwa, by zniszczyć wolność Europy i świata. W ciągu niemal sześćioletnich zmagani świat obronił swoją niezaleź- ność, poszczególne kraje Europy za- chodniej odzyskiwały w trudach naj- cięższych walk utraconą czy zagrożoną niepodległość. Upadły Niemcy, zniszc- zono i zdławiono Trzecią Rzeszę, Hitlera i jego światoburczą ekspansję.

Pozostał jednak przy życiu, a co gor- sza wzmocnił się znacznie imperializm sowiecki, narzucając swe panowanie Polsce i połowie wschodniej Europy. Nie odzyskały wolności niepodległe i niezależne od 1939 r. państwa; są one satelitami Kremla — skąd wychodziły nakazy i wychodzi nadal obowiązujący wszystkich kierunek polityczny. Nie istnieje w tych krajach wolność czło- wieka, czy wolność myśli, słowa.

Tragiczny był więc wynik tej drugiej światowej wojny, szczególnie właśnie dla kraju naszego.

Nie wróciły do niego zwycięskie wojska nasze, walczące niemal wszędzie. Pozostały jedynie w pamięci ludzi i w historii nazwy największych czy mniej- szych bitew, nazwy krajów, przez które przeszły nasze korpusy, dywizje czy brygady; wspaniały udział w najwięk- szej bitwie powietrznej „Battle of Britain“ naszego lotnictwa czy nazwy walczących okrętów Polskiej Marynar- ki Wojennej.

Mimo fałszerstw i przemilczeń ofi- cjalnej historii w kraju, również kon- trolowanej jak inną nauki, wszyscy wiedzą tam o Monte Cassino, Falaise czy Arnhem, o Narwiku i Tobruku, jak znają z przeżyć własnych czy swoich najbliższych prawdę o podziemiu, o walkach A.K. i znów samotnym zrywem Warszawy, choć pomoc była możliwa. Nie dopuścili do niej potężne już i kor- rzystające z krótkowzrocznej, egoisty- cznej polityki Zachodu — Sowiety.

Znów jedna karta historii została odwrócona, zapisana jedynym naszym wspaniałym dorobkiem — ofiarnością sił zbrojnych, postawą całego narodu.

Rok 1945-ty rozpoczyna nowy okres smutny i okrutny dla Polski jak i kraj- ów podbitych przez Sowiety.

W tej nowej epoce mamy do zanoto- wania jaśniejsze chwile, choć pełne tra- gicznej grozy i największego napięcia. Wypadki poznańskie i polski Październik dają początek rewolucji na Wę- grzech, kraju szczególnie zaprzyjaźnio- nym z nami.

Wypadki ostatnich miesięcy, wystą- pienia intelektualistów, uczonych i pi- sarzy, zryw samorządny młodzieży na wszystkich polskich uczelniach, choć zagłuszane i zdławione — za którymi stał i stoi cały naród — świadczą przed światem całym i przed historią o posta- wie narodu, o tym jakie są prawdziwe uczucia jego i do czego dąży.

Hasło młodzieży „Nie chcemy chleba bez wolności“ jest wspaniałą wypowie- dzią całego kraju, który tylekroć o wolność swoją walczyć musiał.

Gdy dziś każdy niemal dzień, każda godzina przynosi niespodziane wypadki, nieoczekiwane przez wolny świat — Polska znów znalazła się w orbicie de- cydujących posunięć, niezwykle wy- darzeń.

Oczy Warszawy i całej Polski zwró- cone są tym razem na Pragę i sąsiadu- jącą z krajem naszym Czechosłowację.

(Dokończenie na str. 2)

**S**TAJĘ przed trudnym zadaniem — przypadło mi zawrzeć w tym przemówieniu dzieje myśli i czynu wielkiego Polaka i narodowego przywódcy na przestrzeni paru dziesięcioleci — w pewnej mierze przeżywanych wspólnie. I zachować przy tym, mówiąc o przyjacielu, obiektywizm obowiązujący historyka.

Zaczynam od duchowej jego formacji. Jako uczeń seminarium ucześtniczki w takiej akademii platońskiej, którą prowadzi dyrektor Zubczewski wraz z suplentem Srokowskim, a gajem Akademosą są łąki i lasy dokoła miasta Rzeszowa. I z rozmów tak łapczywie wysłuchiwanym przez chłopca wylania się filozofia moralna tych czasów, pozytywizm sublimowany przez altruistyczne, chrześcijańskie pojęcie roli człowieka w społeczeństwie z ostrą świadomością ludzkiej krzywdy i niedoli. A przykazania: „Nie żądać ani hołdów, ani uznania, ani nawet wdzięczności. Pracować przy całym wyteżeniu sił bez jakiegokolwiek myśli o sobie“.

Gdy wyrósł Sikorski na człowieka czynu, wszystkie jego wysiłki — od samego początku — wiązały się jak najmocniej z walką o Polskę. Od młodych lat zaprawiała go do niej młodzieńcza działalność w niepodległościowym Zecie, praca obywatelska w Towarzystwie Szkoły Ludowej, a później zbliżenie do ruchów społecznych i do prac wojskowych

#### (Dokończenie ze str. 1)

Nie wiemy co dzień jutrzejszy przyniesie, ale wiemy z całą pewnością, że uczucia narodu polskiego są po stronie tego małego kraju, tej do niedawna twierdzy stalinowskiego komunizmu, który dziś walczy — jak tylekroć przedtem Polska — o wolność. O wolność osobistą, o wolność swych rządów, choćby nawet ograniczoną.

W rocznicę polskiego września 1939 roku, gdy Polska nie zawahała się jaką wybrać drogę w obronie swej wolności uczucia wszystkich Polaków, w kraju czy rozsianych po świecie są te same. Wierzmy, że dziś czy jutro rozgrywki w rozpadającym się świecie komunistycznym muszą być zapowiedzią lepszej przyszłości, wolności Polski i wszystkich krajów uciemiężonych.

O nią walczyli żołnierze nasi w obu wojnach światowych. W walce o wolność Polski musimy być silną prawdziwą jednością i gotowi do największego wysiłku, dojrzałej mądrości politycznej i ofiarności.

St. B.

**MARIAN KUKIŁ**

# MĄŻ STANU

Przemówienie na 25-tą rocznicę

niepodległościowej Frakcji Rewolucyjnej PPS. Inżynier z wykształcenia i zawodu, realista z myślowej formacji, człowiek nawskróś nowoczesny, w walce o Polskę za Legionów dążył stale i uparcie do zbudowania dla niej wojska na chwilę wyzwolenia. Taki był już dla niego nakaz racji stanu.

W czasie wojny o nasze granice miał pełną świadomość, że walcząc wykreśla je w oczach Zachodu i już w toku walk podejmował wobec misji alianckich polityczną ich obronę.

Gdy w roku 1921 objął szefostwo sztabu generalnego granice nasze nie były oficjalnie uznane przez Radę Ambasadorów — z punktu widzenia traktatu wersalskiego, były pozbawione mocy prawnej. Za pierwszym swym wyjazdem do Paryża celem omówienia klauzuli wojskowych zawartego już sojuszu, Sikorski uzyskał od niezmiernie mu życzliwych naczelnych osobistości wojskowych — Focha, Pétaina, gen. Buat — ich wstawiennictwo za uznaniem granic sojusznika. Zeszło się to z krokami oficjalnymi podjętymi przez ministra Narutowicza, z którym złączyła go przyjaźń. Po zgonie tragicznym Prezydenta Narutowicza, gdy Sikorski został prezesem „Rządu Uspokojenia“ wznowiono te kroki. Do Sikorskiego jako premiera adresowany był akt definitywnego uznania naszych granic wschodnich.

Rząd Sikorskiego zabierał się do naprawy administracji w wielu dziedzinach, w szczególności na ziemiach wschodnich i ratowania Skarbu Państwa: na razie powstrzymano proces dewaluacji marki polskiej. Plany reformatorskie szły dalej. Ale rząd większości stałej w sejmie nie miał, a miał przeciw sobie stałą opozycję prawicy. Jej blok z ludowcami wytworzył większość parlamentarną, rząd Sikorskiego został obalony; a gabinet Witosa z udziałem przeważającym prawicy, winionej o tragiczne wypadki grudniowe przez to właśnie wywołał groźne wystąpienie marszałka Piłsudskiego, rozpętanie się nienawiści na lewicy, a w Krakowie nieomal wojnę bratobójczą, zwycięstwo tłumu nad wojskiem. Rząd Witosa niebawem upadł.

Nastąpił rząd Władysława Grabskiego i rozpoczął szczęśliwie od reformy walutowej podziwianej wtedy w świecie. Po paru miesiącach ustąpił z tego rządu minister spraw wojskowych gen. Sosnkowski. Po nim objął tekę Sikorski, z trudną spuścizną: projektem ustawy o organizacji Naczelnych Władz Wojskowych — takiej, która by przez stworzenie urzędu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych — przyszłego Wodza Naczelnego — otwarła marszałkowi Piłsudskiemu drogę do powrotu do wojska. Szło o atrybucję tego urzędu. Według projektu opartego na wzorze francuskim podlegać miał ministrowi spraw wojskowych, odpowiedzialnemu przed Sejmem, Marszałek zaś odrzucał w formie gwałtownej każdą myśl podległości tego urzędu rządowi z sejmu wyłonionemu. Żądał by Szef sztabu generalnego był podporządkowany wyłącznie generalnemu Inspektorowi. Ministrowi zostawałaby tylko administracja. Ustrój taki wyjmujący wojsko spod odpowiedzialności parlamentarnej nie był do pomyślenia bez zmiany konstytucji na autorytatywną.

Przez półtora roku Sikorski usiłował przez precyzowanie kompetencji tego urzędu uspokoić Marszałka i zapewniał, że w rzeczywistości każdy minister czy szef sztabu będzie musiał się liczyć z jego zdaniem. Próby te wywołały tylko nowe gniewne wybuchy. Wzmagająca się propaganda pod hasłem „Wojsko bez woda“.

Tymczasem zaś wojsko było pod tęgim kierownictwem. Dokonywał się postęp w wielu dziedzinach. Duża poprawa pod względem materiałowym, postępy wykszolenia, ogromny krok naprzód w lotnictwie i marynarce: minister Sikorski wmurował kamień węgielny pod budowę portu w Gdyni. Pochłaniały go wtedy troski o urealnienie naszego aliansu z Francją. Za dłuższego pobytu w Paryżu u schyłku 1924 r. przeprowadził nową redakcję umowy wojskowej; uzyskał jej przyjęcie do wiadomości przez rząd francuski co wzmacniało jej siłę wiążącą. Już niepokoiły go do głębi i postępy zbrojeń niemieckich przy sowieckiej współ-

# POLSKI WALCZĄCEJ

B.D.I.C

zgonu generała Sikorskiego

pracy i wysuwanie sprawy „korytara” pomorskiego w niemieckiej propagandzie, a zarazem problem organizacji bezpieczeństwa przez Ligę Narodów przez postanowienie proceduralne ograniczające automatyzm sojuszów. Sikorski widział już z całą pewnością, że pierwsze na nas uderzenie wyjdzie ze strony Niemiec gdy się dozbiorą. Alarmował go „Pakt Reński” mający zapewnić nieetykalność granic po stronie zachodniej Niemiec. Nie było odpowiednika dla tego paktu co do strony wschodniej. Było to oczywiste osłabienie naszej pozycji. Próbował Sikorski zaalarmować koła polityczne francuskie takim osmieleniem niemieckiego rewizjonizmu. Tę sprawę musiał przegrać. Zbyt potężne siły tu działały. Triumf odniesie niebawem — i nie tylko w Paryżu — „Duch Lokarna”. Przejednywania Niemiec.

W sierpniu 1925 roku odbyły się wielkie manewry nasze na Wołyniu i na Pomorzu, przygotowane przez Szefa sztabu generalnego Stanisława Hallera; reprezentowane tu były armie państw zaprzyjaźnionych przez gromadę wybitnych generałów i sztabowców z Ironsidem, Gouraud, Graziolim i Mac Arthurem na czele. Wszyscy byli pod wrażeniem tego objawienia się naszych sił zbrojnych, tak jeszcze młodych, tak hamowanych w rozwoju przez ubóstwo państwa. Ironside stwierdził, że państwo, które ma taką armię jest już mocarstwem. Było to szczytowe osiągnięcie ministra i szefa sztabu.

Marszałek Piłsudski nie przyjął zaproszenia na manewry. Ani na uroczyste odsłonięcie Grobu Nieznanego Żołnierza. Na odbywającym się w czasie manewrów zjeździe legionistów uderzał w sztab generalny i podniósł zarzuty co do rzekomego fałszowania czy usuwania aktów w jego biurze historycznym. Zaczęła się długa, przewlekła sprawa, bardzo przykra, w konsekwencjach wychodząca daleko poza urojony przedmiot.

Tymczasem ustąpił rząd Grabskiego z powodu zachwiania się złotego. Nastąpiła groźna interwencja Marszałka u Prezydenta przeciw mianowaniu ministra spraw wojskowych

bez jego zgody. Przy tworzeniu nowego rządu Skrzyńskiego groźba ta ponowiła się w ostrzejszej formie. Prezydent ugiął się pod naciskiem i pod dyktatem wskazał generała Żeligowskiego jako ministra. Z tą chwilą przesądzona była już sprawa wojskowego zamachu stanu.

Sikorski mianowany został dowódcą Korpusu lwowskiego. Znalazł się znowu w ukochanym mieście swej młodości. Gdy w maju 1926 roku po rezygnacji Skrzyńskiego tworzono trzeci rząd Witosza, nie było mowy o powołaniu doń Sikorskiego, by nie podrażnić Marszałka. Nie zapobiegło to wszczęciu przygotowywanej od tygodni operacji oddziałów wojskowych, które Żeligowski ostatnim rozkazem oddał pod dowództwo Marszałka celem opanowania stolicy.

Sikorskiego wzywano teraz do Warszawy, gdzie dowódcą wojsk stojących po stronie Prezydenta i legalnego rządu został tak bliski mu gen. Rozwadowski, a na szefostwo sztabu wracał Stanisław Haller. Żądano od Sikorskiego, by przybywał z całą dywizją. Odmówił przybycia, wysłał tylko silny kombinowany batalion, który zresztą nie mógł dotrzeć w porę. Mamy w rękach wstrząsający dokument, jego dziennik z tragicznych dni, w których w nim toczyła się walka — między żołnierzem, którego miejsce jest tam, gdzie go wzywają i gdzie walczą z garstką sił jego przyjaciele — a dowódcą odpowiedzialnym za bezpieczeństwo powierzonego mu okręgu, mocno zagrożonego przez ukraińskie podziemie i możliwe wtargnięcia grup partyzanckich przez granicę — gdyby doszło do jakichś bratobójczych walk między Polakami. Postanowił utrzymać tu stan prawny i spokój, nieopuszczając do żadnych wystąpień, ani samowolnych ruchów wojska. A gdy przyszła wiadomość o objęciu władzy przez Marszałka jako ministra wojny, przesłał mu raport wojskowy o stanie Korpusu, a do marszałka Rataja jako interrexa depeszę z mocną przestrogą dla nowego rządu przed mszczeniem się na tych, którzy stanęli po stronie Prezydenta i prawnego stanu rzeczy. Gdyby zaś miały być prześladowania to od je-

go korpusu prosi zacząć. Nie od razu to nastąpiło. Dopiero w roku 1928. Powodem bezpośrednim była pono książka Sikorskiego — „Nad Wisłą i Wkrą”. Solidna, przemyślana i udokumentowana robota wojskowo-historyczna, nie ujmująca zasług nikomu. Gdy odchodził z dowództwa kilkudziesięciu wybitnych obywateli podpisało adres z hołdem dla obywatela, patrioty i męża stanu.

Przez lat jedenaście był Sikorski w dyspozycji ministra spraw wojskowych — bez funkcji. Dysponował jak mógł swą pasją działania. Na razie głównie piórem. Za jego dziełem „Nad Wisłą i Wkrą” — historyczno-wojskowym, poszła w roku 1930 jego wielka praca z historii politycznej i problematyki aktualnej stosunków polsko-francuskich pod tytułem „Polska i Francja” (po francusku z przedmową Painlevého „Les problèmes de la Paix”). Sikorski dochodził do gruntownej analizy znaczenia naszego aliansu i kwestii zbiorowego bezpieczeństwa w związku z układem w Locarno. Była w tym i krytyka niekiedy gorzka — i przestroga. A wreszcie — w roku 1934 przyszła trzecia książka, najważniejsza, „Przyszła wojna”, po francusku wydana od razu z przedmową Pétaina, potem po rosyjsku i japońsku, wreszcie za drugiej wojny w Ameryce z przedmową Marshalla i w wydaniu angielskim — stawiana wysoko przez obcych, mało znana Polakom. Była owocem poważnych studiów, doskonałej orientacji co do postępów zbrojeń i postępu technicznego, przeobrażeń w sztuce wojennej, roli motoru, gąsienicy, pancerza, lotnictwa i obrony powietrznej z dużym darem przewidywania szkicowała wizję przyszłej wojny, a przestrzegała przed ogromnymi wysiłkami zbrojeniowymi Niemiec i Sowieców. Stalin wysoko ją stawiał. Kazał z niej uczyć w Akademii Sztabu Generalnego. Liczne artykuły Sikorskiego w „Kurierze Warszawskim” rzucały światło na nowy wyścig zbrojeń i zagadnienia wojny i pokoju.

Były premier z natury rzeczy pozostał osobistością polityczną. Jego przyjaźń z Ignacym Paderewskim — stosunek jakby synowski, sprawiła, że wytwarzające się dokoła Sikorskiego szeroko rozprzestrzenione zgrupowanie ludzi z różnych

(Ciąg dalszy na str. 4)

stronictw i sfer społecznych, naukowych, gospodarczych, różnych poglądów, przezwano „frontem Morges“. Front był bojowy tylko co do zasad — praworządnej demokracji, wolności i godności człowieka, solidaryzmu społecznego w duchu chrześcijańskim i jednoczenia narodu wobec nadciągającej grozy wojennej przez wyłonienie Rządu Zaufania Narodowego. Co najmniej trzykrotnie podejmowano inicjatywę w tym duchu — nadaremnie.

Gdy rząd polski czynił starania o pomoc francuską na zbrojenia, zapytywano Sikorskiego ze strony francuskiej o zdanie. Odpowiedział bezwarunkowym „tak“. Pisał z poparciem do marszałka Pétaina i generała Gamelin. W porę jednak ostrzegaliśmy nasz sztab, by nie polegać na obietnicy Gamelina co do odciągającej ofensywy: bo on nie uderzy na linię Zygfryda.

W chwili mobilizacji na próżno zgłaszał się do czynnej służby, szukał do niej okazji w czasie kampanii, szukał zetknięcia z marszałkiem Rydzem-Śmigłym. Dopiero na granicy rumuńskiej otrzymał wskazówkę, by jechał za nim do Czerniowiec. Sikorski przewidywał internowanie polskiego naczelnego dowództwa, Czerniowiec ominął, czym prędzej dotarł do Bukaresztu i stąd do właściwego celu — Francji.

Według świadectwa ambasadora Ciechanowskiego stałą linią polityki Sikorskiego odkąd on w Paryżu stanął na czele wojska i rządu była zacięta walka z niemieckim najeźdźcą na każdym froncie gdzie wypadnie, bez względu na ofiary i tą drogą utrzymanie pozycji Polski jako walczącego sojusznika. Tak było istotnie. Były wtedy i potem głosy wśród Polaków, że Polska już kampanią wrześniową zrobiła swoje, a że alianci nie przyszli jej z pomocą, są zatem jej dłużnikami, a my zachować musimy siły dla przyszłości. Taka polityka miałyby jeden tylko wynik: odpisanie Polski z rachunku i to w chwili gdy Hitler ofiarował pokój mocarstwom zachodnim, a Mołotow wkrótce po tym urągał im jako agresorom — bo mimo unicestwienia Polski nie chcą uznać sprawy jej za załatwioną i zawrzeć pokoju. Wysiłki Sikorskiego zmierzały do tego, by niezłomną wolą narodu i żołnierza polskiego umocnić wolę walki narodów Zachodu, wstrząsnąć narodem

amerykańskim tak jeszcze izolującym się od europejskich katastrof i przemówić w imieniu Polski walczącej do świata. Taki był istotny nakaz polskiej racji stanu sankcjonowany powszechną wolą ujarzmionego narodu.

Wypowiadano w polskich kołach emigracyjnych pogląd, że każdy wysiłek należy uzależniać od rękoi. Rękoiemie były takie jakie uzyskała Polska jeszcze cała i niepodległa — i sprawa byłaby prosta, gdybyśmy mieli do czynienia z samymi Niemcami. Jak Czechy. Jak Francja. Ale w naszym wypadku był drugi, sowiecki zaborca, a na taki wypadek były tylko klauzule o wzajemnym porozumieniu i nie wdawaniu się w żadne układy, które by były przeciwne suwerenności i nietykalności terytorialnej drugiego kontrahenta. Znany zaś wypowiedź Winstona Churchilla w Izbie Gmin o armiach sowieckich stojących na linii Ribbentrop-Mołotow jako na linii bezpieczeństwa Rosji, państw Bałtyckich, Ukrainy i że tak został stworzony front wschodni, którego Niemcy nazistowskie nie ośmieliły się napaść. Dodawał zapewne ciche westchnienie: oby się ośmielili. Niejeden z nas do tego wzdychał. Ale w mowach Chamberlaina, Halifaxa, Lloyd George'a wpływało stwierdzenie, że układ z Polską zwracał się wyłącznie przeciw Niemcom, a nawet złowroga dla Polski identyfikacja linii nowego rozbioru Polski z linią zalecaną na konferencji wersalskiej przez lorda Curzona. Na te awanse odpowiedział wkrótce Mołotow sławiąc sojusz z Hitlerem, urąganiem unicestwionej Polsce i jej zachodnim sojusznikom jako agresorom.

Odpowiedzią zaś Sikorskiego mógł być tylko pokaz siły. Budowa armii polskiej we Francji na skalę wielką, umożliwiona przez ofiarny patriotyzm polskiej emigracji pracowniczey na Zachodzie, a przez wierność i poświęcenie naszego żołnierza internowanego w Rumunii i na Węgrzech i stamtąd „borem lasem“ wędrującego do bratnich szeregów — tych, jak wykrzykiwał rozwścieczony Hitler — „turystów Sikorskiego“.

Pisał o wizycie Sikorskiego w Londynie w listopadzie 1939 nasz ambasador tam, Edward Raczyński:

„Nasi sojusznicy nie zasnali wtedy jeszcze kruszącego uderzenia niemieckiej broni pancerny. Skłonni

byli nie doceniać zarówno potęgi wojskowej Trzeciej Rzeszy, jak bohaterstwa żołnierza polskiego, General zjawił się w porę z silnym ładunkiem twórczego optymizmu...“

General Sikorski rozmawiał z Królem, Chamberlainem, Halifaxem i innymi członkami rządu. Zawarł w następującym dobitnym określeniu główne, nie spełnione zaiste cele wojny: stuprocentowe zwycięstwo nad Niemcami i niedopuszczenie do bolszewizacji Europy.

Już przedtem za wizyty w Londynie ministra spraw zagr. Zaleskiego „wysunięto z naszej strony koncepcję federacji Europy środkowo-wschodniej: podjął ją skwapliwie rząd brytyjski i długo hodował póki nie zwarzył jej lodowaty podmuch ze wschodu.“

Stawały układy morski i lotniczy z Anglią, nowy układ wojskowy z Francją. Przelamywała się w opinii obcej cierpka rezerwa w stosunku do zwyciężonego sojusznika. Niczego nie zaniedbano, by zapoznać naszych sojuszników z przyczynami naszej przegranej i naszymi drogo okupionymi doświadczeniami.

Wydzielona brygada „podhalańska“ miała niebawem iść na pomoc walczącej przeciw sowieckim najeźdźcom Finlandji w ramach tworzonego korpusu międzynarodowego. W chwili gdy w Genewie chciano uznać miejsce Polski za nieobsadzone — bo Polska utraciła terytorium państwowe — bandera i sztandar stwierdzały dobitnie, że Polska żyje, Polska jest. One legitymowały Rząd polski, naszą Radę Narodową i naszą organizację państwową wobec świata.

Ta myśl przewodnia kazała tworzyć w Syrii naszą brygadę Karpaczką Kopańskiego w składzie Armée d'Orient generała Weyganda — a brygadę Podhalańską — gdy spóźniona interwencja międzynarodowa na pomoc Finlandji upadła, wyprawić na ratunek najeżanej Norwegii do Narwiku.

Zarzucono, że gdy nagle skończyła się drôle de guerre i runęły przez wyłom w Ardenach dywizje pancerne niemieckie wielkim zagonem, siły naszej armii, już licznej, choć nie dozbrojonej, nie były skoncentrowane, a dwie dywizje względnie gotowe znajdowały się w odwodach frontu za linią Maginota; że Sikorski uległ naleganiom francuskim o wystawienie 12 kompanii przeciwpancernych, a

później o wysłanie w bój pierwszego rzutu dywizji pancernej — która dopiero sprzęt dostała. Ale to było gdy już rozwalony był front. Gdy do siedziby chwilowej Sikorskiego, naszej ambasady w pałacu Talleyranda przybył stary marszałek Pétain — i Sikorski odprowadziwszy go do samochodu mówił mi zmienionym głosem — widzisz, jak mogłem odmówić, prosił o ratunek dla Francji.

Złe się stało, że Generał Sikorski wyjechał na front do Lotaryngii i dalej — szukać Weyganda, coś ratować — gdy właśnie wódz francuski zawiadamiał swój rząd o konieczności podjęcia kroków o zawieszenie broni. W nocy z 13 na 14 była już o tym wiadomość w Angers. Gdyby był tam Generał bylibyśmy zapewne zdołali wydobyć z katastrofy znacznie więcej z naszych wojsk w Bretanii. Ale to nie mogło się stać póki Francuzi jeszcze walczyli. Inaczej bylibyśmy — jak Leopold belgijski obciążeni przed światem odpowiedzialnością za klęskę. A tak jak było, ewakuowaliśmy się za późno i z utratą większej części wojska, ale jako ci, którzy nie kapitulują i byli wierni sojuszowi do ostatka, a idą walczyć dalej przy boku Anglii, która choć już prawie bezbronna — nie składa broni.

Był to moment bardziej tragiczny jeszcze, jak w końcu kampanii wrześniowej. W Polsce przechodząca wszystko czego oczekiwano polityka zagłady narodu zaczynała u Niemców od jego kulturalnej i politycznej elity, u Sowietów od elementu walczącego. Już w Paryżu doszły nas na przedwiośni wiadomości o wrogim traktowaniu naszych oficerów zagarniętych w sowiecką niewolę i obawach, że nastąpi ich likwidacja. Już kolataliśmy o wstawiennictwo za nimi do Prezydenta Roosevelta. Daremnie. A mogła jeszcze zapobiec ich eksterminacji, która zaciążyła straszliwie na przyszłości stosunków polsko-sowieckich zanim nawet wypłynęła w *Völkischer Beobachter* nazwa „Katyń“.

Gdy waliła się Francja, Hitler wyciągał rękę do Anglii o pokój. Daruje jej imperium za zwrotem kolonii niemieckich — tylko Europę sobie zostawia i oczywiście Polskę na zatrąte.

Wtedy to ręce Sikorskiego i Churchilla splotły się w uścisku. Na wspólną walkę do końca.

Nasze okręty już brały udział w bitwie o Atlantyk. Niebawem zaś nasze myśliwce udziałem swym w bitwie o Wielką Brytanię zapiszą wspaniałą kartę polsko-angielskiego braterstwa broni.

Wojsko trzeba odbudować z ocalałych szczątków naszej armii wyewakuowanych i napływających z wolna przez zielone granice i cichą ewakuację; na Bliskim Wschodzie rośnie w siły brygada Kopańskiego. Bezcenny to materiał kadrowy na całą armię. Z samych oficerów kilka batalionów pełni służbę żołnierską. Cały wysiłek nasz zmierza do zdobycia masy ochotników na wypełnienie szeregów. Pierwsze próby podjęte za Oceanem zawiodły. Nie od razu uświadamiamy sobie całą różnicę między Ameryką Wilsona, a Ameryką Roosevelta i New Deal, między Polonią amerykańską porwaną natchnionymi apelami Paderewskiego a nowymi pokoleniami, które w wyborze między służbą w siłach zbrojnych amerykańskich a wojskiem polskim raczej wybiorą służbę swego kraju urodzenia. Pierwsza podróż Sikorskiego do Ameryki poparta przez Churchilla ma poruszyć koła polityczne amerykańskie grozą eksterminacji europejskich narodów, a przebudzić milionowe rzesze Polaków do ratowania ich dawnej Ojczyzny. Miał wrażenie, że znalazł zrozumienie u Prezydenta i pewne poparcie dla planu zaciągu w Kanadzie i zainteresowanie w środowiskach politycznych amerykańskich i polonijnych i obietnicę pomocy w zaciągu ochotników dla Korpusu mającego w Kanadzie się utworzyć. Wracał z otuchą. „Ten kolos drgnął“.

W czasie, gdy Sikorski w Ameryce kolatał o ratowanie Europy cała sytuacja światowa zaczynała się odmieńać. Po niepowodzeniu w bitwach powietrznych Hitler zrezygnował z planu inwazji Wielkiej Brytanii, a jego parumilionowe armie koncentrowały się do rozprawy z sowieckim sojusznikiem. Gdy Generał wracał z Ameryki wydawało się, że lada dzień rozpocznie się inwazja Rosji. Ale nastąpiło tymczasem uderzenie Hitlera w Jugosławię i Grecję, sytuacja groźna na Bliskim Wschodzie, gesty Stalina niemal służące w stosunku do niedawnego spółnika. I rzadka wśród Polaków jednomyślność, że do walki między nimi dojść nie może. Sikorski nie podzielał tej

pewności, ale bądź co bądź nie przypuszczał, by wybuch nastąpić miał z dnia na dzień. A któż mógł przypuszczać, że Hitler rzuci wyzwanie przeznaczeniu wybierając 22 czerwca — datę ogłoszenia przez Napoleona jego „drugiej wojny polskiej“ 1812 r.

Wynikło stąd zaskoczenie. Na pierwszą wiadomość chciał Generał pędzić do Chequers do Churchilla. Zatrzymał go prof. Stroński, rozważnie radząc, by doczekać, co Churchill powie. Można było przewidzieć, że w tej chwili, gdy najazd hitlerowski pojawia się jako deska ratunku, powita Rosję jako sojusznika we wspólnej walce i o sojuszniku polskim na razie zapomni. Tak się też stało. Brak wzmianki o Polsce uspokoić musiał Stalina, że nie będzie ona przeszkodą w sojuszu z Zachodem w wojnie z Niemcami. Mowa Sikorskiego łącząca perspektywę wspólnej walki z oczekiwaniem, że Rosja uzna naruszony przedwojenny stan prawny, nie mogła już tego faktu odwrócić. Reakcja Roosevelta, w liście do admirała Leahy szła dalej jeszcze. „A teraz ta dywersja rosyjska. Nie przejmowałbym się tym, gdyby Rosja opanowała Europę“.

W takiej to sytuacji rozgrywał się dramat rokowań Sikorskiego z Sowietami. Tamta strona wychodziła z założenia, że państwo polskie nie istnieje, że w wyniku wojny może powstać nowe, jednolite etnograficznie, a tymczasem może powstać w Moskwie polski Komitet Narodowy i on będzie tworzył korpus polski. To Sikorski z miejsca odrzucił — wymógł uznanie układów z Hitlerem co do rozbioru Polski za nieważne i uznanie ciągłości bytu państwa polskiego przez nawiązanie stosunków dyplomatycznych z jego rządem i zgodę na tworzenie w Rosji armii polskiej rządowi temu podległej.

To było osiągnięcie — i to wielkie. W sprawie granic zaś stanowiska obu stron były nie do pogodzenia, a tak zwane gwarancje angielskie i amerykańskie nie wychodziły poza zasadę, że nie uznają zmian terytorialnych, dokonanych w czasie wojny, bez zgody stron zainteresowanych.

Ale rzeczą w tej chwili najważniejszą było ratowanie ludzi — setek tysięcy więźniów, internowanych, zesłańców i Sikorski ważąc w sobie czy akt podpisać jakby słyszał szept

(Ciąg dalszy na str. 6)

tej masy ludzkiej. — Śpiesz się — ginie. Znalazła się formuła zwolnienia — jedyna usuwająca możliwość dyskryminacji, amnestia w sensie prawa międzynarodowego. Taka jak w traktacie ryskim. Jak niegdyś w traktacie wiedeńskim, gdzie otrzymał ją naród polski za wszystko co przeciw trzem rozbiornikom nabroił. Rozjaśniała się dusza Sikorskiego na myśl o tej armii zmartwychwstańców, którzy z gen. Andersem na czele stanowili niebawem główną siłę jaką miała Polska Walcząca. Wypadło mu stanąć oko w oko ze Stalinem. Upominać się o tysiące tych, których nie zdołano dotąd odnaleźć. O stworzenie odpowiednich warunków dla przygotowania armii do boju. Zaprotestował przeciw wyłączeniu z pojęcia obywateli polskich nie-Polaków. Przeciw dyskusji co do naszych granic przedwojennych. Narzucił Stalinowi sformułowanie wspólnej deklaracji, w duchu prawa narodów.

Ale zanim Rosję opuścił nastąpiła przemiana w całym położeniu świata. Pearl Harbour. Zdruzgotana potęga amerykańska na Pacyfiku. Zagrożony cały stan posiadania brytyjski na Dalekim Wschodzie. A są sukcesy Rosji — odcisnienie Niemców na Mołajsk. W obu mocarstwach Zachodu jest poczucie zależności od dalszych sukcesów sowieckich i własnej czasowej niemocy. Zmora odrębnego pokoju Rosji z Niemcami. I gotowość poświęcenia jej Polski i innych europejskich narodów.

Z tą polityką zmagał się Sikorski do końca. Wizji Europy pod hegemonią sowiecką przeciwstawiała polityka nasza wizję wielkiej federacji narodów Europy środk.-wschod. roztoczoną przez Ambasadora Raczyńskiego w jego pamiętnym wywiadzie w „Sunday Times“, który wywołał ostry protest sowiecki i ostrzejszą jeszcze replikę Sikorskiego. Z jego inicjatywy gotowa była do podpisu łączna deklaracja przedstawicieli państw okupowanych za niepodległością narodów. Foreign Office wymogło odroczenie jej ogłoszenia przy poparciu przez dyplomację amerykańską.

Wysiłki wspólne Ambasadora Raczyńskiego i premiera Sikorskiego w Washingtonie dały w wyniku wielki sukces dyplomatyczny: pod naciskiem amerykańskim zn. kły z

traktatu przymierza anglo-sowieckiego już gotowego do podpisu klauzule terytorialne uznające zabory rosyjskie aż do 1941 roku — z ominięciem na razie Polski. Było to porażką Edena, dla Churchilla zaś raczej vis grata. Gdy jednak zbolały Mołotow na wyjednane zaproszenie Prezydenta stanął się w Washingtonie powitała go zapowiedź Prezydenta, że na przyszłość będzie czterech policjantów świata — Ameryka, Wielka Brytania, Sowiety i Chiny, a inne państwa nie będą miały głosu i będą rozbrojone, bez własnych armii i wymienia Hiszpanię, Włochy, Francję, Polskę, Turcję. Na co uspokojony już Mołotow zaznacza, że dla Polski i Turcji to byłoby zbyt ciężkie, bo to dumne narody. Sowiety wchodzą już w swą rolę policjanta Europy, a w pierwszym rzędzie Polski.

Niepowodzenie Sowietów w układach z Anglią o uznanie w traktacie ich zaborów dokonanych do spółki z Hitlerem, wywołało wrogą reakcję Kremla w stosunku do Polski. Wstrzymano rekrutację do wojska polskiego, a Mołotow w rozmowie z Churchillem w Londynie ofiarował do jego dyspozycji trzy gotowe dywizje wojska polskiego z armii generała Andersa. Rząd polski był przeciwny całkowitemu wycofaniu armii polskiej z Rosji; wiadomym było, że z tą chwilą skończy się i opieka nasza nad wygnańczę ludnością i możność wydobycia z niej dalszych sił walczących. Ale sprawy były przesądzone przez Stalina a sprawa tak rozegrana, by całą odpowiedzialność za układ z Churchillem przesunąć na dowództwo polskie i rząd polski.

Armia nasza opuszczała wrogą już jawnie Rosję. Generał Sikorski pisał 6 sierpnia do mówiącego te słowa, wtedy dowódcy Korpusu I-go w Szkocji: „Z Rosji wychodzi cała nasza armia. Ewakuacja rozpoczęła się 5-go bm. Jest to w obecnych warunkach jedyne wyjście z tym, że walczymy dalej nieustępliwie nie tylko o przywrócenie opieki, ale i o dalszą rekrutację. Idzie to wszystko ciężko, jak po twardej grudzie. Lecz wierzę, że uratujemy samą koncepcję porozumienia z Rosją, a przede wszystkim ten milion naszych obywateli, którzy oczekują od nas ratunku... W wierze mej utwierdza mnie list Roosevelta, któ-

ry otrzymałem przed dwoma dniami, a który podziela całkowicie obecną politykę naszą wobec Sowietów i obiecuje poparcie naszych postulatów.“ Ale Kreml nie obawiał się nacisku z tej strony. Wymiana not między rządem naszym a Kremlem zamieniła się ze stron obu w piętrzenie skarg i zarzutów, a sowieckie były już literalnie aktami oskarżenia o niewypełnienie przez Polskę zawartych układów i naruszenia konwencji wojskowej. Szło o odmowę wysłania oddziałów wojska polskiego na front i o jego wyprowadzenie z Rosji w chwili jej śmiertelnej rozprawy z Niemcami. Już wroga propaganda nawet w Wielkiej Brytanii czepiała się wyjścia naszej armii z Rosji, jako „ucieczki spod Stalingradu“.

Nastąpić miała w grudniu za trzeciej podróży Sikorskiego do Ameryki jeszcze jedna próba uzyskania rzeczywistej pomocy Roosevelta dla sprawy ratowania Europy środkowej przed groźącym zalewem. Celem było uzyskanie od Prezydenta poparcia dla polskich celów wojny na wschodzie i zachodzie. Ale szło również o uzgodnioną z Churchillem koncepcję tej wojny, jako wojny oswobodzicielskiej dla narodów Europy. Szło o to, by w spodziewanej na rok nadchodzący ofensywie wprowadzić siły główne sprzymierzonych przez Bałkany na oś Belgrad-Warszawa w związku z odbudowaniem tam wojsk wyzwolenia Polski, Czech, Jugosławii przy pomocy Aliantów.

Wejście na Bałkany przez Turcję uznali obaj za rozwiązanie idealne. Sikorski wysunął od razu warunki przymierza z Turcją z ewentualną rolą Polski w układach. Co do stosunków polsko-rosyjskich nie ukrywał trudności. Liczył na pośrednictwo Prezydenta, podkreślał, że Rosja choć zwycięża, to dziś i jutro będzie zależała od pomocy materialnej Stanów i że ten fakt trzeba politycznie wykorzystać. Gdy Prezydent uspokajał, że Stalin nie chce od Polski, a żądania jego na północy oraz w Besarabii nie dotyczą Polski ani bezpośrednio ani nawet pośrednio, Sikorski podejmował się nawet zgodnie z radą Churchilla jechać do Stalina, ale z listem od Prezydenta w tym duchu. Prezydent przyrzekł list utrzymany „w duchu Karty atlantyckiej“. Zaczęły się te-



raz rozmowy konkretne z adm. Leahy nad planami wojennymi z uwzględnieniem sił zbrojnych krajowych i pomocy dla nich. Uzyskał Sikorski znaczne fundusze na przetrzuty. Pierwsza faza dała dobre wyniki co do wszystkich wielkich zagadnień wojennej współpracy i pomyslnie poszły dyskusje w sprawie naszych celów wojny. Niepokój wywołała mowa min. Edena zapowiadająca, że przyszła organizacja Europy dokona się pod przewodnictwem Wielkiej Brytanii i Rosji. Sikorski wracał pełen otuchy. Ale już sytuacja światowa zaczynała się odmieniać. Zwycięstwo sowieckie pod Stalingradem przybrało rozmia-ry katastrofalne dla Niemiec, rozstrzygając losy wojny. Stalin czuł się już nie jednym z policjantów świata, ale tym głównym. Próba polsko-brytyjska wyzwolenia Europy środkowej bez jego aprobaty była dlań wyzwaniem. Odpowiadał uderzeniem w Polskę. A gdy generała Sikorskiego witano w Szkocji i Londynie, jako zwiastuna dobrej nowiny — rękami wolności i niepodległości Polski większej niż przedwojenna, nadeszła 16 stycznia nota sowiecka, odbierająca Polakom na terytorium sowieckim obywatelstwo polskie i pozbawiająca rząd nasz prawa opieki nad nimi. Była to niemal zapowiedź zerwania.

Nasz nowy ambasador w Moskwie, Tadeusz Romer, wezwany na gwałt, przybył do Londynu na narady Rządu z udziałem Prezydenta Rzeczypospolitej. Podejmowano w Moskwie kroki dyplomatyczne, by przez perswazję uzyskać cofnięcie decyzji. Jako argument wprowadzał Generał rolę Polski i naszych sił podziemnych, rosnącą ze zbliżaniem się zaplecza armij niemieckich ku naszym ziemiom. Starał się zainteresować raz jeszcze żywą siłą polską w Rosji. Proponował nową umowę. Długo ciągnęły się rozmowy. Daremnie. Istotną była sprawa naszych ziem wschodnich — ultymatywne żądanie Stalina, a nasze „nie możemy“, któremu towarzyszyło z Londynu wołanie polityków i niepolityków głośnym protestem.

W tej sytuacji zaskoczył nas komunikat Goebbelsa o odkryciu masowych grobów oficerów polskich pod Katyniem. Rząd nasz nie mógł sprawy przemilczeć. Nie mógł również ze względu na zachodnich

aliantów wprost oskarżać <sup>B.D.I.C.</sup> Sowiety, biorąc na się odium zerwania i wywołując izolację Polski. Pozostawiało podanie do wiadomości publicznej suchego stanu sprawy, jako wymagającej zbadania przez organ powołany prawem międzynarodowym do opieki nad losem jeńców. Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Stąd mój podpis pod komunikatem jako ministra, do którego należały sprawy jeńców. Zdaniem wielkiego znawcy prawa międzynarodowego, zmarłego niedawno Henri de Montfort, Sowiety mogły wtedy na krok ten odpowiedzieć odmową zgody na badania na ich terytorium będącym pod niemiecką okupacją — i tak postąpiły, ale do zerwania z nami nie miały powodu. Czy dojdzie do niego zależało wtedy od reakcji Zachodu. Liczyliśmy na pewien wstrząs w opinii świata, który zmusi rządy do mocnego ujęcia się za Polską. Reakcja w opinii była gorsza niż można było przewidzieć: oburzenie na Polaków, że prowokują Sowiety.

Churchill istotnie ostrzegwał Sikorskiego — cóż z protestu, tym ich nie wskrzesicie, a narazicie się na nieszczęścia. Ale nas rozumiał i mocno ujmował się za nami wobec Waszyngtonu i Moskwy, gdy Sowiety zerwały stosunki z nami. Martwił się tą komplikacją. Chciał doprowadzić przez wspólną démarche brytyjsko-amerykańską do przywrócenia współpracy, w czym argumentem była rosnąca rola Polski a zwłaszcza Armii Krajowej na tyłach niemieckich i jej rosnący potencjał.

W te krytyczne tygodnie Sikorski był już na wyjeździe do Armii na Wschodzie. Nieprawdą jest, że go wypychał Churchill, choć niewątpliwie mu zależało, by ta armia w związku ze spodziewaną ofensywą od południa była całkowicie pewnym narzędziem wojny i w dyspozycji Naczelnego Wodza. A Sikorski pochłonięty ciężkimi wysiłkami politycznymi nie mógł do niej się udać po jej wyjściu z Rosji, a teraz nie chciał odwlekać podróży. Odradzali mu ją niektórzy koledzy z rządu i inni przyjaciele, obawiając się o jego życie, tak już parokrotnie zagrożone. Ale on był i wodzem, i żołnierzem. Choć miewał przecucia, nie zachwiał się w decyzji. Odlatywał w połowie maja. Powrót przewidywał na początek lipca; tymczasem

nalegał u Roosevelta o mocne listowne poparcie dla ewentualnych układów.

Celem jaki miał do osiągnięcia w Armii na Wschodzie było opanowanie naturalnego zupełnie tam normalnego kryzysu. Bo przecież byli to przeważnie żołnierze z zagrożonych ziem wschodnich, po ciężkich przeprawach w sowieckich łagrach i więzieniach, od początku trawieni trwogą o los tych, których część odkryto w Katyniu. Osiągnął swój cel, umocnienie moralnej jedności wojska i narodu w tej przełomowej chwili. Przed wyjazdem mówił mi długo o swych zgrzyotach i trudnościach nie tylko w polityce zewnętrznej i o konieczności przywrócenia takiej zgody i jedności na obczyźnie jaka była na początku w okresie francuskim i jakiej przykład dawała bohaterka Polska Podziemna. Do swych przeciwników politycznych chciał rękę wyciągnąć. Darowywał uzasadnione urazy. Szedł w tę ostatnią drogę przeniknięty duchem poświęcenia, z jasną myślą i sercem czystym.

Czy mógł Sikorski ocalić nas od sowieckich zaborów i niewoli? Czy mógł zapobiec decyzjom teherańskim? Czy mógł wymóc na Rooseveltcie i Churchillowi nawrót do tych zasad i tych zamiarów, które były im niedawno wspólne? Wiemy ile z jego wysiłków już przed jego zgonem poszło na marne. Ile jego przewidywań i przestróg, które potwierdził bieg wypadków. To pewne, że gdy Churchill jechał do Teheranu i daremnie usiłował rozmówić się po drodze z Rooseveltem, gdy w Teheranie Roosevelt był gościem Stalina i nie chciał z Churchilllem mówić inaczej jak przy Stalinie, gdy on poczuł się izolowany, jego plany poza jego plecami przekreślone, gdy Stalin ważył się go prowokować z demonstracyjnym lekceważeniem, on zaś gorączkowo czepiał się resztek nadziei ratowania Europy od zalewu, wrywał się do Włoch, do Alexandra jako możliwego zbawcy — to napewno zdawał sobie sprawę jak bardzo mu brakowało Sikorskiego.

Mamy ocenę Sikorskiego jako męża stanu piórem de Gaulle'a. Nie wiązała ich przyjaźń. Dzieliła hierarchia polityczna — Sikorski jako legalny szef rządu i wódz naczelny Polski walczącej, de Gaulle jako

(Dokończenie na str. 8)

**C**CZECHOSŁOWACJA słusznie zajmowała przez jakiś czas, gdy sprawa rozruchów studenckich chwilowo wyblakła, czołowe miejsce w nagłówkach prasy „imperialistów zachodnich“. Ostatnio została wyparta przez Konwencję w Miani i transplantację serca świni. Wolno wszakże przewidywać, że wkrótce Europa Środkowa pojawi się znowu wielkimi literami na mانشetach dzienników. Warto więc analizować nadal istotę tego tak doniosłego dla nas zagadnienia.

Istotą rządów komunistycznych jest nie „socjalizm“ — a totalizm. Komunizm wprowadzany w życie, przeradza się nieubłaganie w kapitalizm państwowy i monopole — w rękach biurokracji. Totalizm sowiecki upodobnił się do carskiego i stał się imperializmem wielko-rosyjskim. Trzyma on narody ZSSR w niewoli i dąży nadal do ekspansji. Państwa położone za żelazną kurtyną zostały zredukowane do roli wasali. Reżymy, które wbrew woli ludności nimi rządzą, by utrzymać się u władzy i trwać w komunizmie muszą być również totalne.

Czechosłowacja położona jest w samym środku Europy. Ze wszystkich państw środkowoeuropejskich wysunięta jest najbardziej na Zachód i ma z nim najdłuższą wspólną granicę. Nie jest ona państwem jednolitym. Składa się z dwóch odrębnych narodów. Mimo podobieństwa języków, różnią się one tradycją i charakterem narodowym. W obecnych wydarzeniach przewodzą Słowa-

wódz „wolnych Francuzów“ dopiero wyrastający na przywódcę i reprezentanta swego narodu. Choć już utożsamia siebie z Francją, alianci oglądają się za kimś znaczniejszym i nawet Sikorskiemu bliższym byłby generał Giraud. Miał de Gaulle powód do niechęci. A w tym co napisał po latach jest tylko podziw i uznanie dla Sikorskiego, jego siły charakteru, odwagi, potęgi woli, uznanie jego roli dominującej wśród swoich i wśród rządów wygnańczych. Strata uznana za niepowetowaną, bo człowiek nie do zastąpienia.

Takim był sąd wielkich współczesnych — gdy wzgląd na Sowiety ust im nie zamykał. I takim będzie sąd historii.

Marian Kukiel

## KRYSTYN OSTROWSKI

cy. Już dziś obiecuje się przekształcenie republiki na federację obojga narodów. Dubczek (którego nazwisko nb. znaczy po słowacku nie co innego jak „Dąbczak“) jest Słowakiem i mocno to podkreśla.

Demokracja jest pojęciem integralnym. Istotą jej jest władza ustawodawcza i wykonawcza wyłaniana drogą wieloprzymiotnikowych wyborów, system wielopartyjny — a więc istnienie opozycji i całkowita wolność prasy i wypowiedzi. Prawa mniejszości i jednostek zapewnione i chronione. Nie byłby to ustrój demokratyczny, gdyby z góry przesądzał, że ogranicza się to do osób i stronnictw stojących na gruncie np. socjalizmu. Można natomiast przewidzieć, że swobodnie wyrażona wola obywateli mogłaby postanowić istnienie socjalistycznego porządku społeczno-gospodarczego. Jak długo byłoby to zgodne z wolą powszechną, nie byłoby to w zasadzie sprzeczne z zasadami demokracji. Wszelka „demokratyzacja“, o ile jest połowiczna, jest tylko liberalizacją reżymu. Można ją osiągnąć drogą ewolucji. Trudno natomiast przypuścić, by w krajach komunistycznych mogło dojść do pełnej demokracji bez przynajmniej końcowego aktu rewolucyjnego.

O tych elementarnych prawdach należy pamiętać przy rozpatrywaniu obecnych wydarzeń.

Narody czeski i słowacki niedwuznacznie okazują, że chcą powrotu do pełnej demokracji. Gdyby to było wykonalne, nie cofnęłyby się przed dokonaniem przewrotu. Natomiast Partia komunistyczna, w której czynniki liberalne wzięły górę, nie ukrywa, że ma zamiar ograniczyć się do daleko idącego rozluźnienia systemu, nie schodząc jednak z platformy „socjalizmu“. W jakim stopniu jest to skutkiem presji sowieckiej — trudno jeszcze wiedzieć.

Czy Dubczek i towarzysze chcą szczerze demokracji, czy też liberalizują, by w ten sposób ratować zagrożony od wewnątrz komunizm — okaże się z czasem. W każdym razie tak stawiał sprawę w Cernej nad Tyśą. Jako dotychczas prawowiernemu

# TAK ŻŁE

komuniście, i to szkolonemu w Sowietach — dano mu wiarę. Raczej nie-słusznie — gdyż na tle sowieckich partnerów wyglądał dodatnio i dzwinnie zachodnio. Robi wrażenie mocnego i politycznie umiejętnego. Nie należy jednak zapominać jak bardzo komunizm deprawuje i uczy kamuflarzu. Długo będzie trwała obawa, że w pewnej chwili może się potoczyć śladem Gomułki...

Ze wszystkich krajów Środkowej Europy, mimo komunistycznego wyniszczenia, Czechosłowacja jest najbardziej dojrzała, by wejść do Zjednoczonej Europy i tam jest jej miejsce. Gdyby mogła. Obecne przemiany nieubłaganie ku temu prowadzą. Są one pierwszym etapem na tej drodze. Gdy koniunktura polityczna na to pozwoli, nastąpią dalsze etapy — bo będzie się ich domagać *vox populi*. Toruje to i nam drogę, mimo, że tkwimy wciąż jeszcze zgomułowani na dnie komunistycznego worka.

Dla Sowietów wypadki czechosłowackie będą miały poważne konsekwencje, niezależnie od tego jaką by linię postępowania obrały. Każda dałaby ujemne wyniki. Tak źle, a tak niedobrze. Niedarmo zjechało nad Tyśę całe Politbiuro z Moskwy. Najwyraźniej nie byli między sobą zgodni i żaden nie chciał brać na siebie całej odpowiedzialności.

Rokosz czechosłowacki hamuje przede wszystkim szanse Sowietów dalszej ekspansji na zachód, na resztę Europy. Temu, między innymi można przypisać, że nie próbowali komuniści w czasie rozruchów studenckich we Francji, ująć władzy, kiedy zdawało się, że leży na ulicy. Jeżeli nawet naprawdę wolą oni rządy de Gaulle'a od wszelkich innych, to jednak na pewno jeszcze bardziej, by się im podobała Francja Sowiecka.

Ważniejszą rzeczą jest, że wśród narodów zniewolonych za Kurtyną, z których, każdy na własny sposób, zaczął się otrząsać z hegemonii rosyjskiej, powstaje nowa solidarność. Tito jako najdawniejszy dysydent stara się objąć nad nimi przewodztwo. Czesi i Słowacy poszli najdalej. Na nich będą musieli tamci równać, gdy

# A TAK NIEDOBRZE

B.D.I.C

ich społeczeństwa przekonają się, że uszło to bezkarnie. Teraz kolej na Węgry. Nawet oblesny Kadar zajął postawę pośrednią, i dopiero w Bratysławie, pod presją, polityce Sowietkiej się niechętnie odporządkował. Jeżeli teraz Węgrzy, podniesieni na duchu, potrafią się go pozbyć i dołączyć do Jugosławii i Rumunii, powstanie na peryferii ZSSR wraz z Czechosłowacją — blok komunistycznych protestantów, o poważnym potencjale. Sytuacja na Zachodzie podobna do chińskiej. Polska mogłaby zacząć wydłubywać się z matni.

Sowiety zdają sobie lepiej sprawę ze swych wielkich trudności niż Zachód.

Podobno od jakiegoś czasu przestały one jakoby popierać ruchy rewolucyjne w dalekich krajach. Jedynym objawem aktywnego działania jest pojawienie się ich floty na Morzu Śródziemnym i w Zatoce Perkiej.

Tymczasem wszystkie partie komunistyczne na Zachodzie, z wyjątkiem bodajże tylko islandzkiej wypowiedziały się głośno po stronie Czechosłowacji. Konsolidacja „dobrze myślących“ partii dookoła Sowietów na listopadowym soborze komunizmu w Moskwie, do czego przywiązują one wielką wagę, stała pod znakiem zapytania.

Aktywność Sowietów wśród narodów muzułmańskich, mimo obecności floty, zdaje się też po trochu zamierać. Niemalą rolę w tym wszystkim odegrał Izrael. Obecny impas potrafi on na pewno wykorzystać dla skonsolidowania swej pozycji.

Właściwe rozwiązanie sprawy Czechosłowackiej było zatem dla Sowietów problemem kluczowym. Mieli przed sobą dwie drogi. Każda zawierała więcej niebezpieczeństw, niż korzyści, trzeba było wybierać mniejsze zło. Spróbowali znaleźć drogę pośrednią — raczej bez powodzenia.

Pozornie najprostszym było użycie siły. Zrobić nowy „Budapeszt w Pradze i Bratysławie. Chociaż państwa zachodnie, podobno na prośbę Czechosłowacji, powstrzymały się od wyrażania poparcia, a nawet się od nie-

go odzęgnywały, to jednak świat od tamtych niedawnych czasów się zmienił. Przynajmniej psychologiczna reakcja byłaby mocniejsza. Mogłaby objąć nawet zdezorientowaną młodzież i ją otrzeźwić. Szanse odgrywania się „ideologicznego“ byłyby potem znikome. Pozostałyby tylko nagi, azjatycki imperializm, który przy całej ludzkiej naiwności w dzisiejszych czasach nie popłaca. Nie da się w ten sposób prowadzić ekspansji. Imperializm wielkorosyjski staje się cynicznym anachronizmem.

Zgnieść wojskowo rebelię Czechów i Słowaków nie byłoby tak trudno, jakkolwiek tylko Wschodnie Niemcy i niestety PRL, zgodziłyby się wziąć w tym udział. Jak by się zachowali polscy żołnierze w obliczu walczących o wolność sąsiadów, dopiero by się okazało. Skutki zastosowania siły zapowiadały się politycznie złe.

Nie lepiej zapowiadała się droga rokowań, a więc koniecznych ustępstw i zaakceptowania w dużej mierze tego, co się stało. Swoim zwyczajem poparły je Sowiety szantażem. Urządzono komedię manewrów Paktu Warszawskiego na terenie Czechosłowacji. Gdy wywołało to silne reakcje, ociągając się, ale dziwnie pokornie, wycofali się z jej granic. Dubczek wygrywał na punkty. Zarządzono więc wielkie ćwiczenia na pograniczu ZSSR. Było to robione zbyt ostentacyjnie, by nie widzieć w tym ponownej próby zastraszenia, bez zamiaru działania naprawdę. Dubczek wytrzymał nerwowo i nadal wygrywał. Dramatyczny zjazd w Cernej, zgodnie, doprowadzili do układu, w którym Czechosłowacy, działający wbrew przewidywaniom jednomyślnie, jakoby nic ze swego zasadniczego stanowiska nie ustąpili. Przysięgają się na wszystkie świętości, że nie ma tajnych ustępstw. Przyszłość okaże, jak zdołali, przy tak nierównych siłach, to osiągnąć. Trudno przypuścić, by używali argumentów humanitarnych praw i słuszności. Oczywiście, Dubczek zapewnił, że reformy ograniczą się do spraw wewnętrznych i że Czesi pozostaną w bloku komunistycznym i Pakcie Warszawskim — ale

zreformowanym. To było od początku wiadome. W każdym razie jest to wielkim tryumfem Dubczeka i tych, którzy mu towarzyszyli, i wielką ulgą dla Sowietów, Czechów i nas wszystkich.

Zjazd w Bratysławie miał już tylko charakter demonstracyjny. Sowietom chodziło o upokorzenie i zmuszenie na zapas do posłuszeństwa przewódców reżymów, które przy nich karnie trwały. Musieli oni podpisać układ, w którego przygotowaniu nie brali udziału, a nawet któremu byli przeciwni. Dubczek skorzystał z tego, by podkreślić rolę Bratysławy.

W Pradze nadal dokonują się daleko idące przeobrażenia. Społeczeństwo domaga się coraz dalej idących. Na razie Sowiety udają, że wszystko to dzieje się po ich myśli. Mają jednak jeszcze jeden środek nacisku w zapasie. Jest nim presja gospodarza. Komunizm cofnął stan gospodarczy kraju o całe dziesięciolecie. Rosja stała się głównym dostawcą surowców i odbiorcą większości wytworów. Przystawić się na Zachód nie będzie łatwo. Wymaga to inwestycji, a poziom produkcji pod względem jakości spadł tak bardzo, że w swym obecnym stanie, nie nadaje się do eksportu do państw o większych wymaganiach. Sytuacja ekonomiczna była jedną z przyczyn konieczności reform. Teraz, gdy zaczyna się przestawianie może się przejściowo jeszcze poważnie pogorszyć. Popularność nowych władców może bardzo ucierpieć. Na to liczą ich przeciwnicy. Myślę, że pragnienie zmiany jest tak silne, a dojrzałość okazała się tak duża, że potrafią oni wszyscy zacisnąć zęby i dotrwać do lepszych czasów, które na pewno nadejdą.

Zwracałem już uwagę na to, że sprawa czechosłowacka będzie mierzniem rzeczywistej siły Sowietów. Nie zdaje się, by wskaźnik ten wiódł. Mając przed sobą różne alternatywy, co prawda, wszystkie nie pomyślnie, wybrały one, nie bez wahania, drogę najmniejszego oporu. Daje to dużo do myślenia i pozwala na daleko idące wnioski. Nie może nas martwić stwierdzenie, że liliput czechosłowacki potrafił Goliata rosyjskiego „wynaczyć“. Zdołał to osiągnąć, bo władcy imperium sowieckiego mieli przed sobą tylko dwie drogi. Jedna była zła, a druga też niedobra.

# ZJAZD SPK W W. BRYTANII

W dniach 13 i 14 lipca br. obradował w Londynie XXI Zjazd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w W. Brytanii.

Uroczyste otwarcie Zjazdu nastąpiło w sali teatralnej Ogniska Polskiego, w obecności wielkiej liczby zaproszonych gości oraz delegatów 100 kół SPK w W. Brytanii. Po wprowadzeniu na salę sztandaru organizacyjnego i odśpiewaniu hymnu narodowego Naczelnym Kapelanem SPK ks. Infułat B. Michalski odczytał modlitwę-inwokację oraz w serdecznych słowach przemówił do zebranych.

Z kolei prezes Zarządu Ogniska Brytyjskiego S. Soboniewski powitał przedstawiciela gen. Andersa w osobie gen. R. Odzierzyńskiego, przedstawiciela życia politycznego, duchowieństwa, organizacji oraz instytucji społecznych, naukowych, kulturalnych i zawodowych, bratnich orga-

nizacji kombatanckich oraz przybyłych na Zjazd delegatów.

Przemówienia powitalne wygłosili: prezes Zarządu Federacji SPK gen. K. Ziemiński; prezes Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii red. P. Hęciak.

Na zakończenie części inauguracyjnej sekretarz Zarządu odczytał liczne depesze oraz listy z życzeniami wśród nich od kolegów z 22 krajów, gdzie działa SPK, co jest dowodem serdecznej więzi, która łączy rozsiane po świecie ogniska kombatanckie.

W części obrad plenarnych, które toczyły się przez dwa dni Zjazd wysłuchał sprawozdań ustępującego Zarządu, odbył obszerną dyskusję nad nimi, w której na pierwszy plan wysunięto zagadnienie opieki społecznej w różnorodnych formach, a zwłaszcza nad starymi, samotnymi i chorymi kolegami, przeorganizowanie kół londyńskich zgodnie z geografią roz-

mieszczenia Polaków w tym mieście, pomocy kołom mniejszym na pracę społeczną, przejawów infiltracji reżymowej, pomocy młodzieży, zwłaszcza harcerskiej w związku z przygotowaniem do obchodu 25-lecia zwycięstwa pod Monte Cassino.

Po udzieleniu absolutorium ustępującemu Zarządowi z podziękowaniem za ofiarną i owocną pracę w ciągu ubiegłej kadencji, Zjazd wybrał nowy Zarząd w osobach: S. Soboniewski — prezes; S. Brewka i J. Wawrzekiewicz — wiceprezesi; T. Krasoń — sekretarz; M. Siewiński — skarbnik; Cz. Czaplinski, S. Karczmarczyk, J. Raca i R. Zakrzewski — członkowie. Przewodniczył inż. J. Żaba.

Zjazd uchwalił również szereg wniosków, z których główne zamieszczamy poniżej.

## U C H W A Ł Y

### W SPRAWIE SYTUACJI MIĘDZYNARODOWEJ I POŁOŻENIA W KRAJU

Demonstracje polskiej młodzieży w marcu 1968 roku, walka polityczna w Czechosłowacji, głosy protestów i procesy pisarzy rosyjskich są objawami walki narodów Europy środkowo-wschodniej i narodu rosyjskiego o odzyskanie wolności jednostki i narodów. Te dążenia wolnościowe są tłumione przemocą przez reakcyjne rządy komunistyczne w Polsce i w Rosji samej. Jesteśmy świadkami używania całego systemu nacisków, aż do groźby użycia na wzór węgierski interwencji wojskowej ze strony Rosji Sowieckiej do stłumienia próby poszerzenia zakresu wolności.

Dążenia wolnościowe w Europie środkowo-wschodniej i w samym Związku Sowieckim odbijają się żywym echem sympatii i budzą nadzieje w opinii zachodniego świata. Z drugiej strony rządy większości państw zachodnich zajęte własnymi kłopotami czynią bardzo niewiele, by pomóc narodom Europy środkowo-wschodniej w poszerzeniu zakresu wolności. Wyrządzają przez to ogromną szkodę nie tylko narodom pozbawionym wolności, ale i swoim własnym. Nie uznają one dotychczas praw narodu polskiego do Ziemi Odzyskanych, ułatwiają przez to rządowi moskiewskiemu uprawianie szantażu w stosunku do Polski, a rewizjonistom niemieckim ży-

wienie nadziei odwetu w stosunku do narodu polskiego. W tej sytuacji naród polski i narody Europy środkowo-wschodniej są zdane przede wszystkim na własne siły.

Polacy w wolnym świecie, rozumiejąc położenie międzynarodowe, sytuację w Polsce i innych krajach uzależnionych od sowieckiej przemocy, widzą nadal swą rolę w głoszeniu prawdy o rzeczywistych dążeniach narodu polskiego. Dlatego też próby komunistycznego reżymu zniszczenia niezależnej emigracji politycznej oceniamy jako jeszcze jeden przejaw dążenia komunizmu moskiewskiego do utrzymania i rozszerzenia terroru.

Kombatancki Polacy ze swego dorocznego zjazdu w W. Brytanii ślą Narodowi Polakom wyrazy otuchy i wiary w zwycięstwo sprawiedliwości. Walka o wolność i lepszą przyszłość Polski trwa w kraju i na emigracji.

### W SPRAWIE DEMONSTRACJI MŁODZIEŻY W KRAJU

Marcowe demonstracje młodzieży akademickiej w kraju były spontanicznym wyrazem dążeń do poszerzenia swobód obywatelskich, oraz protestem przeciw zakłamanemu wyrażającemu się w jaskrawej różnicy między zasadami konstytucji PRL, a praktyką administracji.

Wystąpienia te świadczą, że mimo

tyloletniej indoktrynacji komunistycznej młodzież polska pozostała wierna ideałom prawdziwej wolności i niepodległości Polski, oraz rzetelnej demokracji politycznej i społecznej.

Młodzież nie wygrała tej bitwy, ale przez swoje wystąpienie w obronie wolności nauki i kultury zapisała się chlubnie w historii walki z dyktaturą komunistyczną w kraju.

Wierzymy, że przyszłość Polski należy do młodzieży, która w sprzyjających warunkach będzie mogła zrealizować swoje ideały.

XXI Zjazd SPK w Wielkiej Brytanii potępił zastosowanie brutalnych represji i sankcji karnych w stosunku do demonstrantów w postaci, między innymi, przerwania ich studiów i powołania do służby wojskowej. W naszej historii wojsko polskie, stojące na straży niepodległości kraju, ma swoje chlubne miejsce. Służba w nim była zawsze zaszczytem. Przez użycie służby wojskowej jako środka kary, reżym komunistyczny w Polsce sięgnął do wzorów carskiego okupanta w Polsce porzobrowej.

### W SPRAWIE AKCJI DYWERSYJNEJ WŚRÓD EMIGRACJI

W ciągu ostatnich dwóch lat ujawniły się w W. Brytanii organizacje, które otwarcie propagują współpracę z reżymem komunistycznym w Polsce.

Choć te agencje zbałamucyły nie-liczne tylko jednostki wśród naszej społeczności, trzeba zwrócić na nie uwagę, ponieważ przykrywają one swoją dywersyjną działalność narodowymi hasłami i grają na rodzinnych i patriotycznych sentymentach społeczeństwa na emigracji.

Służalność tych organizacji wobec ich reżymowych mocodawców nie ulega żadnej wątpliwości i ujawniła się jasnym w sprawie marcowych manifestacji studenckich w Polsce.

„Zrzeszenie Polonii Brytyjskiej“ i stowarzyszenie „Odra i Nysa“ wydały szeroko kolportowane oświadczenia, w których stoją po stronie władz reżymowych i bronią ich brutalnych metod zastosowanych wobec studentów i profesorów.

Zarząd SPK w Wielkiej Brytanii w wydanym ostatnio apelu przypomniał naszą ideologiczną postawę niepodległościową i demaskował akcję agencji reżymowych.

XXI Zjazd SPK w Wielkiej Brytanii, solidaryzując się z apelem zarządu, ostrzega raz jeszcze przed dywersyjną propagandą i wzywa wszystkich kombatantów do uświadamiania naszych rodaków o akcji ludzi będących na usługach komunistycznego reżymu.

Zjazd apeluje do całego niepodległościowego społeczeństwa na emigracji o wytrwały opór przeciw próbom siania zamętu w naszych szeregach.

#### W SPRAWIE ANTYŻYDOWSKIEJ AKCJI REŻYMU I JEJ SKUTKÓW

Zjazd SPK w Wielkiej Brytanii, obradujący w dniach 13 i 14 lipca 1968 roku:

— stwierdza, że akcja reżymu komunistycznego w Polsce, wynikająca z antyżydowskiej polityki Moskwy, przyniosła Polsce szkodę w opinii światowej i jest sprzeczna ze stanowiskiem narodu w kraju i na emigracji;

— wyraża ubolewanie, że niektóre żydowskie ośrodki na Zachodzie, a także w Izraelu, podjęły szeroką akcję skierowaną przeciw narodowi polskiemu, nie chcąc dostrzegać różnicy pomiędzy narodem a narzuconym reżymem, niepomne na tradycję wielowiekowego współżycia, historię wspólnego cierpienia w okresie zaborów i 2-giej wojny światowej, oraz na ofiary tysięcy Polaków, którzy oddali swe życie, niosąc pomoc Żydom w czasie okupacji Polski;

— przesyła pozdrowienia Żydom — obywatelom Polskim, naszym towarzyszom broni z okresu statniej wojny, zarówno w AK, jak i w polskich siłach zbrojnych poza granicami kraju.

#### POLSKOŚĆ MŁODEGO POKOLENIA

W stałej trosce o utrzymanie młodego pokolenia przy polskości, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów już od

wielu lat prowadzi wielostronną działalność kulturalno-oświatową wśród dzieci i młodzieży. SPK w W. Brytanii, opierając się na dotychczasowym dorobku własnym i innych organizacji polskich oraz na uchwałach światowych zjazdów SPK w latach 1963 i 1966, zaleca stosowanie następujących form i środków działania:

1) Organizowanie, prowadzenie i wspomaganie szkół polskich wszelkiego typu, szczególnie przedszkoli, szkół przedmiotów ojczystych i szkół średnich; współpracę z polskimi ośrodkami naukowymi; organizowanie i popieranie kursów wiedzy o Polsce, historii i literatury polskiej.

2) Wydawanie lub udział w wydawaniu i rozpowszechnianiu podręczników szkolnych, lektury młodzieżowej i materiałów oświatowych.

3) Organizowanie i popieranie wszelkiego rodzaju konkursów, a w szczególności konkursów teatralnych i śpiewaczych.

4) Organizowanie i popieranie drużyn sportowych wśród młodzieży i młodocianych; otoczenie opieką wychowawczą młodzieży opuszczającej szkoły przedmiotów ojczystych; udzielanie pomocy organizacjom młodzieżowym, jak: a) Związek Harcerstwa Polskiego, b) Związek Polskich Klubów Sportowych, c) Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej i innym.

Naczelnym dążeniem pracy oświatowej wśród młodzieży winien być jej harmonijny rozwój tak fizyczny jak duchowy. Umiejętne połączenie elementów wiedzy, przeżyć artystycznych, wysiłku fizycznego i zabawy z wychowaniem narodowym i wyrobieniem społecznym jest drogą do tego celu.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów na XXI Zjeździe wyraża głębokie uznanie nauczycielom i rodzicom, duchowieństwu i organizacjom społecznym za ich wieki wkład w dzieło wychowania młodego pokolenia i wierzy, że to dzieło może dokonać się tylko zbiorowym wysiłkiem całej społeczności polskiej, przy udziale czynników stojących na gruncie walki o pełną niepodległość Polski.

#### W SPRAWIE SZKOLNICTWA OJCZYSTEGO

Zjazd SPK w W. Brytanii wita z uznaniem wysiłki zarządu w dziele ujednolicenia nadzoru pedagogicznego nad szkołami przedmiotów ojczystych. Tylko harmijna współpraca organizacji działających na polu szkolnictwa ojczystego może przynieść pożądane wyniki. Jednolity nadzór pedagogiczny nad szkołami ojczystymi jest jedną tylko częścią problemu jednolitego ustroju szkolnictwa, toteż XXI Zjazd wzywa zarząd SPK w W. Brytanii do nieustawiania w dążeniu do pełnego osiągnięcia tego celu.

#### BIBLIOTEKA „KULTURY“

Kazimierz Wierzyński

## CZARNY POLONEZ

poezje

„To wstrząsający poemat, trafiający... w sam rdzeń obecnej polskiej kondycji. Gdyby to można opublikować w Polsce, cały kraj by się od tego zatrząsł. Poemat, który będzie kiedyś manifestem rewolucji w Polsce“.

Piotr Guzy (KULTURA)

Cena 12 sh, 1.75 dol., 7 f.

#### KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bld. Saint-Germain, PARIS 6.

Tel.: 326 04-42

#### OSTATNIE NOWOŚCI

##### WYDAWNICZE

Hamel — „SŁOWNIK FRANCUSKO-POLSKI“ Fr. 20.00

Hamel — „SŁOWNIK POLSKO-FRANCUSKI“ Fr. 20.00

Marek Hlasko — „SOWA, CÓRKA PIEKARZA“  
Nowa powieść znanego pisarza  
206 stron Fr. 15.00

Zygmunt Zaremba — „SŁOWO O WACŁAWIE MACHAJSKIM“  
Studium o polskim rewolucjoniscie, przyjacielu Stefana Żeromskiego  
146 stron Fr. 9.00

Szymon Konarski — „O HERALDYCE I HERALDYCZNM SNOBIZMIE“  
Źródłowy szkic historyczny  
90 stron Fr. 12.00

— „POLSKA W PAMIĘTIKACH GEN. de GAULLE'A, 1944—1946“ (wznowienie)  
Wybór tekstów i przedmowa Kajetana Morawskiego  
40 stron Fr. 5.00

#### W KSIĘGARNI SPK KUPI SZ KAŻDĄ KSIĄŻKĘ!

# ZJAZD SPK W. BRYTANIA



Inauguracja Zjazdu w sali Ogniska Polskiego w Londynie



Zarząd SPK W. Brytania. Od lewej: J. Raca, T. Krasoń, Cz. Czaplński, S. Soboniewski, S. Brewka, J. Wawrzkiwicz, S. Kaczmarczyk



Prezydium Zjazdu. Od lewej: P. Piałucha, J. Żaba — przewodniczący, Z. Wojnarowski, W. Szablewski, S. Żmijewski, T. Estkowski

Fot. W. Bednarski

# TAM SIĘ TEŻ ŻYŁO (VI)

## BOBUŚ JEST CHORY

Na domiar wszystkiego Bobuś zachorował. Nasz obozowy doktor, bakteriolog, stwierdził, że to tyfus, szkarlatyna, zapalenie płuc, albo może nawet wszystko razem. A że na wszystkie choroby mieliśmy do dyspozycji tylko jedno lekarstwo, kolorowe pastylki rzekomo witaminowe, diagnoza i tak niewiele zmieniała. Rozpalony i nieprzytomny dzieciak rzucał się jak wyjęta z wody rybka, łapiąc rozpaczliwie barakowe powietrze popękanymi od gorączki wargami. Nocami majaczył:

„Mamusiu, powiedz Niemcowi, żeby mnie tak nie bił! Zabierzcie te myszy, gryzą mnie, boli, mam, boli, odpędź myszy, poraniły mnie, krew, wszędzie krew, boję się, boję, mam, ratuj, boję się...!“ Czasem uspakał się, leżał nieruchomo, a woskową skurczoną buzię rozświetlała para wielkich oczu, jak z niebieskiego szkła. Jęczał cichutko: „Nie krzyczcie tak na mnie, bolą mnie dziurki w głowie... Pozwól mi zerwać kwiatki za mamusi, muszę zanieść kwiatki za druty...“

Cieniutki głosik chorego dziecka kroił serce brzytwami rozpaczy. Bobuś nikogo nie poznawał, a kiedy ktoś podchodził do niego, bił na oślep zaciśniętymi piąstkami zanosząc się histerycznym krzykiem, wyrzucając tę Niemkę z psem, ona, zabije mnie, zabije...

W baraku egipskie ciemności, z powodu alarmów lotniczych; jeszcze chwila, a warczące potwory osiadają na trzęsącym się dachu wraz ze śmiercionośnym ładunkiem. Zawodzi wichry, a przez niedomykające się drzwi i okna wchodzi dziki krzyk. Moje dziecko jest chore, nie więcej mnie nie obchodzi. Staram się uspokoić go niedorzecznymi słowami, śpiewam mu stare kołysanki i piosenki o pomarańczach, opowiadam mu o Palestynie, chlebek tam będzie i zabawki, ile dusza zapagnie, i tatuś, i babcia, i... łamie się głos, już więcej nie mogę.

Bajki o przyszłości nie pomagają choremu dziecku. Co to są pomarańcze, mamusiu? Czy w tej Palestynie

będziemy mieli oddzielny barak?, pyta w chwilach przytomności. Pod głowami, nad głowami skaczą myszy i szczury, wygryzając dziury we wszystkim co jadalne i niejadalne na równi, mogą ugryźć dziecko, mogą ugryźć dziecko, powtarzam sobie podczas bezsennych nocy, zwinęta w kłębek w nogach pryczy, i co chwila dotykam gorącego ciała, jeszcze żyje. Boże, jeżeli jesteś, zabierz mnie, już dłużej nie mogę, zostaw dziecko...

Niuta, która nie straciła głowy, postawiła Bobusiowi bańki, posługując się uzbieranymi w baraku szklanceczkami z grubego szkła o ostrych kantach. „Mój Adaś byłby...“, zaczyna mówić i przerywa. Kilka łez spada na ciemne wypukłości na wynędzniałych pleckach. Mała i Sonia wstają w nocy i błądząc po omacku w ciemnościach i mrozie podchodzą do naszej pryczy, żeby chociaż ciepłym słowem pomóc dziecku, pomóc mnie. Matka małego Natanka dała dla niego kawałek masła, odebrany od ust własnemu dziecku. „Śpij, kochanie, czy poznajesz ciocie?“

Naraz znów rozkaz przeprowadzki, który to już raz? Z opustoszałego baraku wychodzę nieomal ostatnia, a jeden z notorycznych bynochów nosi Bobusia otulonego w pled, który rozwija się po drodze i spada. Z pół-nagim dzieckiem, które ma pewno 40 stopni grączki, wchodzimy do nowego baraku. Nie ma w nim jeszcze prycz, okna bez szyb, a przez otwarte na oścież drzwi przewija się potok ludzi z tobołkami i paczkami, wchodzą i wychodzą, wchodzą i wychodzą. Na gołe deski rzucam ślubną poduszkę, kładę na niej Bobusia i przykrywam go wszystkimi łachami jakie mam. Jedyny mój skarb, ślubną obrączkę daję mu do zabawy. Bobuś nie może utrzymać jej w słabych rączkach, obrączka spada, toczy się po podłodze, ginie między setkami nóg, w chaosie gratów. Nie szukam, po co? Zanoszę się histerycznym płaczem, krzyczę, usypiam na brudnej podłodze.

Nie wiem, jakim cudem, może pomogły bańki, ale Bobuś wyzdrowiał, znów śmiał się i dokazywał, jakby

nigdy nie. Stasio, cały już spuchnięty z głodu, tylko mu piegi widać w obrzękłej twarzy, oddaje mu kilka kostek zaoszczędzonego cukru i kawałek margaryny, oraz cały bochenek chleba, którym zapłacono mu za kilka miesięcy nauczania 15-letniego Jurka. Ja żyję na nowo.

## ZDAŻĄ CZY NIE ZDAŻĄ?

W nowym obozie byliśmy razem z Węgrami, którzy całymi dniami iskali wszy z włosów, z bielizny i z ubrań. Na rozwieszanej na drutach upranej bieliznie spacerowały miliony wszy, które nie obawiały się widocznie zimnej wody. Nie pomagało nam już skrupulatne zachowywanie czystości osobistej, wszy przełaziły z jednych na drugich, bez dyskryminacji, byliśmy więc tak samo zawszeni jak nasi węgierscy sąsiedzi.

Te ostatnie miesiące przed uwolnieniem odznaczały się obłąkanym napięciem. Kto zwycięży? My z za drutów, silni tylko żądzą przeżycia i nienawiścią do ciemięźców, czy oni, wydający już ostatnie tchnienie, ale jeszcze straszni, władcy naszej powolnej czy gwałtownej śmierci.

Dezorganizacja i chaos doszły do szczytów. Minął bezpowrotnie okres, kiedy w oznaczonych porach krzyczało się: „Dziurni po zupę! Dziurni po kawę!“ Nie dostawialiśmy tygodniami gorącej „kawy“, a woda z liśmi zwana szumnie „zupą“ przychodziła nieraz o 1-ej, drugiej w nocy. Zwlekaliśmy się ostatkiem sił z prycz, aby po ciemku wlać trochę wrzątku do pustych żołądków. Chleb prawie znikł z naszego menu. Trochę surowej brukwi kradzionej lub wyszmalcowanej od Niemców, kilka buraków, tym żyliśmy. I nerwami. Może także jeszcze odrobiną nadziei. Dzień w dzień wynoszono trupy z baraku, opróżniały się miejsca na pryczach. Spaliśmy po 6 osób na trzypiętrowych pryczach, ustawionych tak blisko jedna drugiej, że ledwo można się było precyzyjnie. Ukradziono mi wszystko, co sobie zaoszczędziłam „na czarną godzinę“, tę najczarniejszą. Postanowiłam so-

(Ciąg dalszy na str. 14)

bie wtedy nie zabezpieczać się, los jest i tak silniejszy. Ponure myśli nie przerywały codziennych rytuałów.

Niemcy byli już u kresu sił. Gazy niemieckie wiły się w śmiertelnych drgawkach, ginie, ale nie damy się, to co nas czeka jest straszniejsze niż śmierć, brońmy się do ostatka, heil Hitler, heil, heil... Coraz słabiej. Podała się jedna wielka niemiecka armia, front zbliżał się do Bergen Belzen. Obozowi politycy siedzą cały dzień nad mapą, czy zdażą, czy doczekamy? Koniec wojny tuż, tuż, już tylko kawałek Niemiec stawia opór. Znów nie dostaniemy dzisiaj chleba? Mają ewakuować Czechosłowaków, a co z nami? Anglicy zbliżają się do Hanoweru, czy zdażą, czy zdażą! Jesteśmy na wszelki wypadek zapakowani, nie wiemy co nam przyniesie każda następna chwila. „Śpij, Bobusiu, śpij, nie się nie stało“. Potoki ludzi, kaelowcy, żołnierze, zwyczajni Niemcy, przelewają się w beładnym pośpiechu w jedną i drugą stronę szosy za drutami, transporty wyjeżdżają i przyjeżdżają. Dokąd? Po co? Ewakuacja?

Dnia 6 kwietnia 1945 roku każą nam wyjść z obozu, chorzy mogą zostać. Co robić? Kto wyciągnie gałkę życia? Anglicy pod Hanowerem, iść, nie iść...? Pan L. zostaje, jego córka ma jakieś pozadrutowe stosunki, pewno on coś wie, może więc zostać? W obozie zostało około 100 osób, reszta postanawia nie przeciwstawiać się losowi, co ma być to będzie, nie mamy już nic do stracenia.

Zapakowałam do plecaka swoją słynną już poduszkę, włożyłam zielony kostium z rudym liskiem i tak uzbrojona ruszyłam w ostatnią drogę pod niemiecką eskortą. Nie uniosę poduszki, to rzucę po drodze, myślałam sobie, niewielka będzie strata, a jednak to taki dobry przyjaciel ta zniszczona, wypłowiała poduszka, która w najgorszych czasach stanowiąła mój dom.

Do stacji kolejowej w Celle, do której nas prowadzą, jest około 20 kilometrów. Idziemy, oczywiście, pieszo, w tempie niemieckiego marszu. Biedni ci z walizkami, skąpili a skąpili, teraz rozdają na prawo i lewo czego nie są w stanie unieść, resztę rzucają po drodze (może podnieść w dziecinne marynarskie paletko, e, nie warto!). Ci już dawno bez rzeczy mają Schadenfreude.

Idziemy szosą, a po bokach przesuwają się pola, wioski, ludzie na rowerach, Niemcy z wózkami rzeczy. Niemcy z wózkami rzeczy, jak my w ghecie? Coraz trudniej chodzić, prędzej, schneller, verflucht... krzyczą Niemcy, gdy zwalniamy kroku. Dodatkowy rodzaj tortury, kiedy pozwalają nam na chwilę usiąść, myślimy, że to już nasz koniec, nie wstaniemy. Ale wstajemy i wlecemy się dalej, nawet 70-letnia pani D. chodzi i jeszcze na dodatek trzyma kurczowo jakąś paczkę. Od czasu do czasu Bobusia ktoś posadzi sobie na ramiona, na kilka chwil, jakże jestem wdzięczna, chociaż dziecko ani razu nie skarżyło się na zmęczenie.

Nareszcie stacja kolejowa w Celle, prowincjonalna stacyjka, która wydaje nam się rajem, można będzie nareszcie odpocząć! Jakaś dobrze ubrana Niemka odwraca się na nasz widok z przerażeniem na twarzy i ucieka. Na błyszczących szynach stoi długi pociąg, kilkadziesiąt wagonów bydlęcych i kilka osobowych. Węgrzy, Czesi, my, około 3.000 ludzi, pakują nas do wagonów jak sardynki, szczęśliwie dostałam się do wagonu osobowego! Kawałek chleba na drogę, gwizd lokomotywy, jedziemy. Ścisk, że nogi nie można wyciągnąć, turkot kół zagłusza walenie serca, burczenie w żołądkach. „Mamo, pić!“ Pić! Nie ma wody.

Dzień, drugi, trzeci, pociąg jedzie bardzo powoli, niemal co godzina przystaje, często w czystym polu. Pijemy wodę z brudnych strumyków, do których tuż obok ktoś siusia, kto inny myje się. W napchanym przedziale moja poduszka stale spada z siatki, Mulek grozi, że wyrzuci ją przez okno, Bobuś schodzi z pociągu na jakimś postoju i uspokaja mnie, że on tylko „zorganizuje“ krowę, żebyśmy mieli co jeść. Czasem na torach kolejowych widzimy rozsypane suszone kartofle i lupiny. „Dlaczego nie idziesz wziąć trochę, jak inni, masz dziecko“, namawia Sławcia, a mnie jeszcze wstyd, ale idę i zbieram. Gotujemy je na ogniskach rozpalanych na kamieniach, które co chwila trzeba gasić, bo nalot. Niemiecka obsługa pociągu chowa się podczas nalotów do pobliskich lasów czy rowów, a nam każe siedzieć w pociągu, który stanowi świetny cel. Kto wychodzi dostaje kulę w łeb od schowanych Niemców. W charakte-

rze ochrony przed bombami chowam dziecko pod siebie, głowę przykrywam poduszką i czuję się wtedy bezpieczna. Chociaż przeważnie nie już nie czuję. Dokąd jedziemy, jak długo to potrwa, jesteśmy już tak słabi z głodu i pragnienia, że nie myślimy.

13-go kwietnia stajemy obok jakiegoś lasu, szumią drzewa, świergocą ptaki, lekki wiaterek marszczy powierzchnię rzeki. Ktoś mówi, jesteśmy niedaleko Magdeburga. To Piłsudski był uwięziony w Magdeburgu, prawda? Ostrzeliwują nas z samolotów, Niemcy strzelają do nas z lasu, ja pod poduszką, niewielki widzę. Mulek poszedł „na rekonesans“, a kiedy wrócił, opowiada, że wyłowili z rzeki nasze „auslanderskie“ papiery. Okazuje się, że w lutym przyszyły dla nas certyfikaty palestyńskie ze Szwajcarii. To jednak ten Kastner nie zapomniał! Dlaczego Niemcy wrzucili te papiery do wody? Co z nami będzie?

Po obu stronach pociągu leżą trupy, maszynista uciekł na lokomotywie, stoimy więc w pociągu bez lokomotywy, z niemiecką obsługą, która w przerwach między strzelaniną bije nas, pluje na nas, przeklina. Mają rozkaz wykończyć nas, a ciała wrzucić do Elby, jak to zrobili w ostatnich miesiącach z dziesiątkami tysięcy kaelowców. Czy już? Może jeszcze godzinę, dwie?

Garstka ludzi-widm przedostała się z pociągu do pobliskiego miasteczka, wyprosilili u Niemców trochę żywności. Tacy byli zupełnie zwyczajni, jakby nie byli Niemcami, dziwi się ktoś. Poszedł także Stasio z Helą i za mój połamany złoty zegarek dostali kurę i trochę kartofli. Jakie

Wzmacniają nerwy i oczyszczają krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

## KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.



szcęście! Renia czyści kurę i gotuje ją na pożyczonym od Czechosłowaków prymusie. Sławica radzi, żeby dosypać resztki suszonych kartofli, będzie więcej. Cały przedział bierze udział w uczcie, nie zwracając uwagi na strzały i bezustanną kano nadę, której groźne odgłosy dochodzą z daleka, z bliska, co za różnica skąd. Jemy. Zdążą? Nie zdążą? Jak zdobyliście tyle kartofli?

Naraz, jakże niepozorny! ukazuje się pierwszy amerykański żołnierz, a za nim grupa innych. Jeden z naszych cwaniaków już poznał kolegę swego przyjaciela z Ameryki. Amerykański żołnierz macha ręką, ma zgniecione spodnie. Jesteśmy wolni.

### DISPLACED PERSONS ŚWIATA

Jesteśmy wybawieni. Stasio rzuca się na trawę i płacze. Inni płaczą, śmieją się, całują. Mnie nie chce się płakać, czuję się głupio, całkiem pusta w środku. Tak więc skończyła się dla nas wojna? Bez patosu, nie-dramatycznie, amerykański żołnierz w pogńcionych spodniach, i już koniec, po tylu latach, tylu wiekach...

Magdeburg wzięty, 9-ta Armia Amerykańska objęła nas w posiadanie. Bobuś przynosi mi z dumą plecak z brudnym ręcznikiem i wyszczerbionym grzebieniem. Dzieci kopią Niemców, odbierają im broń, rowery i plecaki. Dorosli są za słabi, żeby się mścić, nie odczuwają triumfu, nie właściwie nie czują. Rzucili jakiegoś strażnika na ziemię, klęcz, krzyczą, znęcają się nad nim, ale bez przekonania, jakby z obowiązku, łagodnie, są jeszcze zupełnie oszalomieni, nie wiedzą co robić z nim, ze sobą. A przecież wczoraj ten sam strażnik walił w twarz kobiety, które błagały go o kilka sucharów. Tylko... że co to da?... Amerykanie częstują papierosami, rozdają tabliczki czekolady, aren't you happy?, pytają. Happy znaczy szczęśliwi, czy jesteśmy szczęśliwi? Nie ośmielamy się zadać sobie tego pytania. Mama, Ojciec, Piotr, Witek, Helenka... Przeżyliśmy, i co dalej? Te kartofle nie będą nam już potrzebne?, pytamy niespokojnie Amerykanów.

Dziewczynki flirtują z żołnierzami, śpiewy, rozmowy, opowiadania, Amerykanie fotografują ze wszystkich stron pociąg-widmo i nas, widma z pociągu. Trzeba rozpaść ognisko i zagotować kilka kartofli, trzeba umyć

Bobusia i położyć go spać. Pani M. krzyczy w niebogłose: w tej chwili umarł jej mąż, już wolny człowiek, została z czworgiem dzieci, akurat kiedy koniec wojny. Wielki blondas w amerykańskim mundurze przynosi butelkę wina do przedziału. Czy chcę jedwabne pończochy? A możebym z nim poszła na spacer?, przecież on dla mnie walczył, walczył... Jestem pusta i lekka jak bańka mydlana, kręci mi się w głowie, od wina, od wolności, która przyszła za późno, żeby być szczęśliwą. „A moja mała nie doczekała“, mówi Sonia i płacze. Ze szczęścia?

Nazajutrz opuszczamy pociąg. Zabierają nas do pięknego Hillersleben, z którego wyrzucili przed tym Niemców. Stajemy się Displaced Persons świata.

\* \* \*

Przeczytacie tę garść wspomnień z obozu koncentracyjnego Bergen-Belzen i powiecie, jakie to straszne, dobrze że już to mamy za sobą!, po czym wróćcie spokojnie do swoich codziennych spraw, obojętni na wszystko co tych spraw nie tyczy. Co robić, inaczej nie można, przedstawienie musi toczyć się dalej... Upłynęło już przecież ćwierć wieku, kawał czasu!

W ciągu tego ćwierć wieku od zakończenia nieludzkiej wojny przyzwyczajaliśmy się, że gwałt rośnie na gwałcie, że znów ludobójstwa, które robią na nas niewielkie wrażenie, bo dokonywane są daleko od nas i wobec innych; okrucieństwa muszą być coraz bardziej okrutne, żeby wzbudziły zainteresowanie, i to też na krótką chwilę. Dostyc napięcia i bez tego, mówimy w samoobronie. Potworne maszyny biurokracji i totalitaryzmów w różnych kolorach miały na proszek ludzi z coraz innych powodów, bo czarni, bo biali, bo katolicy, bo Żydzi, bo są inni lub ośmielają się myśleć inaczej niż przykazał z góry. Sprzedaje i morduje człowiek człowieka za kawałek ziemi, za jeszcze jeden slogan, za miskę soczewicy.

Nie nauczyła nas historia, że w skomplikowanym świecie wszystkie kółka zazębiają się, a nieludzkie czyny lub śmiertcionośne słowa odbijają rokoszetem, godząc w końcu w nas samych. Nie wierzymy cudzym doświadczeniom, dopóki nie doświadczamy ich sami, na własnej skórze.

Mina Tomkiewicz

Kazimierz Schleyen

## LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: 30 sh.

Do nabycia:

Gryf — Księgarnia SPK,

20, Queens Gate, Terrace,

LONDON, S.W. 7.

## Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.

Wylączne przedstawicielstwo  
Instytutu Literackiego i  
„Kultury“ na Wielką Brytanię

Aleksander Hertz

SZKICE  
O IDEOLOGIACH 20/-

Herling-Grudziński G.  
INNY ŚWIAT 25/-

Singer Bernard  
OD WITOSA  
DO SŁAWKA 30/-

Witos Wincenty  
MOJE WSPOMNIENIA  
3 tomy 145/-

Zaremba Paweł  
HISTORIA POLSKI  
tom I 33/6

Przesyłka każdej książki 3s.

Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“ 18/6

„MATKI I ŻONY“ 18/6

„MIĘDZY LONDYNEM  
I WARSZAWĄ“ 18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej formie wprowadzają czytelnika w atmosferę walki, zaskakujących osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść 12/6

Skład główny:

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,

London, S.W.7.

i wszystkie kioski i księgarnie  
polskie

# ARCHITEKCI WNETRZA

Największe doświadczenie, poza skórą, uzyskano z przeszczepieniem nerek. Większe kliniki amerykańskie rozporządzają statystyką idącą w tysiące przypadków. Przyjęcie się przeszczepu nerkowego, jak i każdego innego, jest tym prawdopodobniejsze im bardziej są zbliżone do siebie biologiczne właściwości dawcy i biorcy. Nerka identycznego bliźniaka stanowi idealny materiał, nie zawodzący z reguły. Pewne szanse przetrwania posiadają narządy bliskich krewnych, bardzo wątpliwe innych, przypadkowych dawców. Poprawić je można, do pewnego stopnia, „uwarunkowaniem“ organizmu biorcy rozmaitymi, poprzednio wzmiankowanymi sposobami i w ten sposób zachęcić czy zniewolić do milczącego przyjęcia ostatniej deski ratunku.

Z przeszczepieniem serca u zwierząt — to samo odnosi się do ludzi — wyłaniają się dodatkowe trudności. Mięsień sercowy jest tak spragniony i zależny od odżywczego tlenu, w który zapatruje go krew przy każdorazowym obiegu, że wydobyte z klatki piersiowej, tzn. wyłączone z obiegu, zamiera szybko. Skoro więc tylko przestaje bić, nigdy przed niewątpliwym stwierdzeniem tego faktu, otwiera się klatkę piersiową i włącza je do aparatu płucno-sercowego. Ten tłoczy ochłodzoną krew przez serce. Gdy temperatura serca obniża się dostatecznie, przecina się połączenie z dużymi naczyniami i w ten sposób przerywa wszelką łączność narządu ze zwłokami. Wydobyte serce trzyma się w chłodnym roztworze soli kuchennej. W międzyczasie serce biorcy zostaje usunięte, on sam dostatecznie ochłodzony. Życiodajny kwiobieg załatwia maszyna. Przeszczep umieszcza się we właściwym miejscu biorcy, łączy odpowiednimi naczyniami i przystępuje do najdramatyczniejszego momentu, do wyłączenia maszyny i przepuszczenia pierwszego, normalnego, własnego strumienia krwi przez nowe serce, szybkie ogrzanie ciała i krwi, i... trwożnego wyczekiwania, czy nastąpi automatyczny skurcz przeszczepionego narządu. W przypadku Washkanskiego zawiódł i należało użyć prądu elektrycznego, aby pobudzić serce do akcji, w przypadku dra Blaibergera poczęło bić natychmiast. Tryumf był zupełny.

Czyż można się dziwić, że przemysł filmowy ofiarował pół miliona dolarów za prawo utrwalenia tego historycznego momentu? Czy można się dziwić, że bezinteresowny uczony odrzucił propozycję?

Ponieważ wydobyte serce może przetrwać zaledwie kilka godzin, zachodzi potrzeba prawie równoczesnego operowania dawcy i biorcy. Stąd konieczność szybkiego postępowania, pospiesznego

mobilizowania aparatu technicznego i grup lekarskich, z których każda ma wyznaczone zadanie. Tak postąpiono w przypadku Washkanskiego i dzięki temu pacjent przeżył pierwszą tego rodzaju operację mimo jej niezwykłości i zdradliwości. Przebieg operacji odbywał z programową precyznością, a rezultat zakwalifikowano jako odpowiadający najśmieszniejszym oczekiwaniom. Może był taki i nie należy ganić reporterów lub komentatorów za ich entuzjazm. Zrozumiała jest również odruchowa sympatia i żywiołowy dowód uznania całego świata.

Któż więc potępi tryumfujący zespół lekarski za pewną euforię i początkowo zbyt dużą dufność? Niewątpliwie „wishful thinking“ brało chwilami górę nad trzeźwą oceną. Stąd niezręczne, moim zdaniem, usiłowania zaciemnienia istotnego stanu rzeczy, gdy karta odwróciła się i anioł śmierci upomniał się o swoją daninę. Nie chciano przyjąć do wiadomości, że przeszczep, czego należało się spodziewać, spotkał się z odrzuceniem (moja własna ocena, nie potwierdzona w chwili, gdy to piszę, badaniem preparatów histologicznych) a wysuwano różne inne, niezbyt przekonujące, tłumaczenia. Oficjalnie nauka czeka na rzemieńce na autentyczne opracowanie i ogłoszenie w archiwalnych pismach szczegółów operacji, przebiegu pooperacyjnego i założeń, usprawiedliwiających optymizm kierownictwa.

Przed sądem nauki nic się nie ukryje. I z góry można przewidywać, że bez względu na wynik dochodzeń znajdują się inni śmiałkowie i puszcza się na awanturniczą przygodę (już się znaleźli), jeszcze ciągle niepewną i pełną niespodzianek. Pęd odkrywcy, podobnie jak nacisk twórcy, jest silniejszy od nakazu ostrożności.

Reakcja kół naukowych nie była jednolita. Obok głosów pochwalnych znalazły się ostrzegawcze i wręcz niechętnie. Do tych dołączył się prof. J. C. Callaghan, znakomity kardiolog kanadyjski. Swego młodego, południowo-afrykańskiego kolegę potraktował lekceważąco, nazywając jego robotę „medical sensationalism at its height“ i przepowiadając odrzucenie przeszczepionego serca jako pewnik naukowy. Podzielał

sceptycyzm prof. Calaghana, nie mniej jednak uważam, że ciernista droga, którą obrał prof. Barnard, zasługuje na sympatyczniejszą ocenę. Klęski rozczarowania nie powinny przesłaniać upragnionego, a tak ważnego celu.

Pewna grupa kardiologów angielskich, między nimi sławny D. G. Melrose, wynalazca maszyny płucno-sercowej, zajęła negatywne stanowisko, motywując je w nieco zakłopotany sposób. Jako przyczynę swej rezerwy podaje trudności natury techniczno-administracyjnej, jak niemożność trzymania zespołu lekarskiego w ciągłym pogotowiu etc. Z naukowego punktu widzenia można jedynie akceptować ich ostrożność w ocenie wartości obecnych metod, jeśli chodzi o oznaczenie zgodności lub niezgodności dawcy i biorcy.

pozytywnie natomiast, na ogół, wypowiedziało się liczniejsze zebranie lekarskie w londyńskiej telewizji. Również obecny na nim teolog wzbudził sensację bardzo przychylnym i życzliwym komentarzem.

Niemiecki profesor Forssman, laureat Nobla, nazwał operację „criminal“, jeśli doniesienie Radia Luksemburskiego zasługuje na wiarę. Sąd aż nadto pochopny, zważywszy, że koledzy profesora milczeli uparcie, gdy zbrodniarze, ci w ścisłym tego słowa znaczeniu, przeprowadzali najokrutniejsze operacje na więźniach obozów. W domu powieszono i go nie powinno się mówić o sznurze.

Arogują sobie również prawo do zabierania głosu różni opiekunowie zagrożonej ludzkości, powołując się na humanitarne i chrześcijańskie motywy. Niczym nieuzasadniona nieufność wobec elity stanu lekarskiego, pokryta szatą współczucia i sentymentalności, zaciemnia jedynie doniosłość i szlachetność celów pionierskiej ekipy. Troskę o godność umierającego człowieka i szacunek dla patosu śmierci dzieli każdy lekarz z tymi Don Kichotami publicystyki. Propagatorom świętości „cudzego serca“ łatwo pozwalać sobie na luksus przesadnej sentymentalności i domagać się przedłużania bezcelowej agonii w nieskończoność, bo czynią to na koszt męczennika-pacjenta i jego najbliższych. Lekarscy Prometeusze jednak nie mogą kosztem już poza życiem stojącego pacjenta postępować wbrew swemu najlepszemu przekonaniu i doświadczeniu, trzymać go sztucznie przy życiu, zwłaszcza, że mają pilną misję wydarcia naturze jeszcze jednej ważnej tajemnicy, by obdarzyć nią niecierpliwą ludzkość.

**PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA  
JEST REGULARNIE OPŁACA-  
NA PRENUMERATA**

# CIAŁA LUDZKIEGO (II)

I żadne piękno duchostwo nie zaważy na szali poczynań ludzi typu prof. Barnarda i żaden, niewłaściwie pojęty, odruch współczucia czy religijności nie wstrzyma farysowego lotu nieustraszonych pionierów.

Porzucimy jednak te partyzanckie polemiki i powrócimy do punktu wyjściowego. Zgodzimy się, że operacja udała się znakomicie. Serce młodego dziewczęcia umieszczono we wnętrzu klatki piersiowej starszego pacjenta, połączono z siecią rur naczyniowych, pobudzone prądem elektrycznym i... o dziwo! Obce serce w obcym ciele poczęło pracować i bić prawidłowo. Gdy się spogląda na fotografię tego architekta, który dokonał cudu chirurgicznego, zapomina się o jego mistrzostwie i widzi przed sobą marzycielskiego trubadura, opiewającego serce i jego rolę w miłości dwojga kochanków. Prof. Krystian Barnard spotka się z niejedną, surową krytyką. Zapisał bowiem rewolucyjną kartę w historii medycyny i kultury. Oceniając jednak rzecz na zimno, stwierdzimy, że nieśmiertelny Washkansky miał słabe tylko szanse przeżycia operacji. Cierpiał na cukrzycę, stanowiącą poważne ryzyko każdego zabiegu. Poddano go wszystkim przygotowaniom, aby zneutralizować odpornościowy dynamizm organizmu wobec przeszczepu. Pierwsze dwa tygodnie przeszły pod znakiem ogólnej euforii. Czternastego dnia odezwało się nieublagane prawo natury. Winę za incydent zwalano na płuca, później na białe ciała, wreszcie na jakieś szczególnie złośliwe mikroby.. Mimo heroicznej akcji ratowniczej pacjent zmarł, formalnie na oczach współczującego choć rozczarowanego świata. Czuliła żona apelowała, aby wszystkie zamierzone dowody pamięci i szczerze propozycje obrócić na dary dla kliniki, dla tej instytucji, która odważyła się być mądrą i nie zawahała się przed krokiem właściwie beznadziejnym. Nieślychanie piękny i kulturalny gest, najważniejszy dowód uznania i wdzięczności dla chirurga, a zrozumienia doniosłości celu, na którego ołtarzu jako pierwsza ofiara spoczęła osoba najbliższa. Ecce femina! .

A główny bohater, Louis Washkansky, nie umarł, przynajmniej nie zupełnie. Będzie żył w pamięci liryków, którzy pozadzroszczą mu serca młodej, pięknej dziewczyny, chociaż pieścił je tak krótko, w pamięci epików, w pogoni za każdym szczegółem homeryckich zmagania i roli tytanów lekarskich, Odezwie

się echem w pieśniach i baśniach ludowych lub akordach rapsodów muzycznych. Nie zapomną go autorzy fantastycznych romansów, a będą przywoływali na swe seanse metafizycy i mistycy. Powrócą do niego groźni powiernicy moralności i etyki, zwłaszcza ci z własnego mianowania, może i uczeni teologowie, może nawet sama kuria, chętnie zabierająca głos w sprawach lekarskich, zaczepiających o dziedzinę sumienia lub wiary. Przedmiot jest szczególnie pociągający, chociaż wszelka ostrożność wskazana. Już odezwała się przedwcześnie, przeczulona obowiązkowość lekarska, pytaniem, czy wolno i należy przylepić stygmat śmierci osobie, której serce bić przestało? Czy nie należy utrzymać jej sztucznie przy życiu?

Oznaczenie momentu śmierci nastęcza pewne trudności z lekarskiego i prawniczego stanowiska, niewątpliwie. Że kwestia przeszczepienia organu z jednego osobnika, żywego czy zmarłego, na drugiego budzi ludzko-etyczne wątpliwości, — zgoda. Z drugiej strony każdy trzeźwo myślący zgodzi się, że, jeśli pacjent znajduje się w nieprzytomnym stanie i nie ma nadziei przywrócenia go do świadomego życia, to na nikim nie ciąży obowiązek utrzymywania go, Bóg wie jak długo, kosztownymi i skomplikowanymi sposobami w tej beznadziejnej sytuacji. Encyklika papieska wyraźnie potwierdza słuszność przytoczonego stanowiska. Wszystkie

sztuczne zabiegi powinny być zaniechane, aby pacjentowi i otoczeniu oszczędzić zbyteczne męki fizyczne i psychiczne. Społeczeństwo nie może pozwolić sobie na luksus bezużytecznego życia, zwłaszcza, że bezapelacyjny kandydat śmierci może swymi tkankami lub narządami uratować inne cenne życie, jeśli tylko na czas zapadnie decyzja. Wszelkie już w prasie na ten temat pojawiające się spekulacje i gromy zawodowych besserwisserów lub intelektualnych cerberów moralności nie powinny przesłaniać istotnego i praktycznego stanu rzeczy.

Sprawy czysto-fachowo-lekarskie nie powinny obchodzić pięknoduchów, którzy przyjęli mord katyński spokojnie do wiadomości, a wietrzą krzywdę, gdy serce murzyna przeszczepia się białemu. Również niedobitków rasistów, widzących w tym akcie degradację człowieka białego. Ludzie prawdziwej nauki wiedzą dobrze, że nie istnieje żadna biologiczna różnica między przedstawicielami poszczególnych ras, z wyjątkiem przynależności do różnych grup krwi. A te różnice zaznaczają się nie tylko między rasami, ale w obrębie każdej rasy.

To są jednak rozważania, prowadzące nas za daleko. My w tej chwili stawiamy epitafium człowiekowi, do którego przez czternaście dni zwracały się myśli i gorące życzenia całego świata. Jego odwaga i determinacja nie były daremne. Nie wątpię, że historią wyznaczy mu honorowe miejsce w dziejach postępu kultury. Obok nazwiska lekarza znajdzie się nazwisko jego pacjenta. I to wzniesie obu pomnik trwalszy od spizu.

## DLA SZKÓŁ

We wrześniu będą do nabycia nowe wydawnictwa dla szkół przedmiotów ojezycznych:

ANNA BOGUSŁAWSKA

### POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

*Przewodnik dla nauczyciela*

JADWIGA OTWINOWSKA

### UCZMY SIĘ PISAĆ — Zeszyt III

*105 ćwiczeń oraz 10 tekstów przeznaczonych na dyktanda*

KSIĘGARNIA S. P. K. — 20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

**P**ISZĄC o książce Tadeusza Bieleckiego\*) należy na wstępie powiedzieć jedno: Temat nie jest dla autora przedmiotem, nad którym się pochyła z pewnego oddalenia, nie jest czymś, co leży poza nim i czemu się przygląda niejako bezosobście.

Bielecki pisał swoją książkę nie jako uczone historyk, dla którego przedmiotem badań mogą być rozmaite tematy i który nie przesądza z góry takiego czy innego ich wartościowania, ale jako wyznawca i nawet — nie wahamy się tego powiedzieć — wielbiciel. Jest to więc siłą rzeczy książka jednostronna, czego jednak w tym wypadku nie uważamy za zarzut, zwłaszcza, że już w tytule charakter ten jest uczciwie zaznaczony. Autor postanowił po prostu uwydatnić i oświetlić rolę jednego człowieka, a przez to również rolę prądu politycznego, którego człowiek ten był jednym z głównych twórców.

A trzeba powiedzieć, że miał dosyć materiału, ażeby cel swój osiągnąć bez konieczności uciekania się do przesady. Czytelnik nie odnosi wrażenia, że ma przed sobą panegiryk, chociaż autor pozostaje w każdym słowie książki wiernym uczniem i wyznawcą. Oczywiście, dla kogo Polska i naród polski jest niejako wartością „uboczną“, kto przeskakuje stopień „narodu“, ażeby od razu stanąć na jakimś „międzynarodowym“ stanowisku, do tego Dmowski nie przemawia dostatecznie, a może nawet wcale. Czyż jednak nawet dzisiejszy rozwój stosunków nie potwierdza tezy Dmowskiego o wadze i roli „narodu“ właśnie w stosunkach „międzynarodowych“? I czyż wreszcie słowo „międzynarodowy“ nie zawiera już samo w sobie uznania pojęcia i roli narodu? Może to dla niejednego brzmić jak paradoks, ale właśnie słowo „internacjonalizm“ (jako rodzaj wyznania wiary zakłada istnienie i rozwój „narodów“ („inter nationes“ — między narodami), jako tych członków, między którymi istnieją — i istnieć powinny — stosunki. Nie ma „internacjonalizmu“ bez „nacionalizmu“, inaczej słowo „inter“ zawisłoby w próżni.

Rzecz inna, że każde słowo i pojęcie można wypaczyć i każde może ulec zwyrodnieniu. Bielecki zagadnienie nacionalizmu porusza w swojej książce w sposób bardzo przejrzysty i bezstronny. Trzeba mu w pełni przyznać słusność, gdy uwydatnia wielką i pozytywną rolę Dmowskiego w rozwinięciu polskiego nacionalizmu. Dmowski — powiada autor — niechętnie używał słowa „nacionalizm“. W tej niechęci spoczywała

**JERZY DROBNIK**

## NA TEMAT KSIĄŻKI

głęboka świadomość, że jak wszystkie „...izmy“, słowo to przybierało zbyt łatwo charakter doktrynalny, pod który można było podciągnąć bardzo rozmaite treści. Dmowski — pisze trafnie Bielecki — „najchętniej posługiwał się nazwą „polska idea narodowa“... Jeżeli używał słowa nacionalizm, to raczej w stosunku do innych narodów“.

W ogóle rozdział „Świat idei Dmowskiego“ należy do bardzo pożytecznych części książki i umożliwia szerokie spojrzenie na zagadnienie narodu i tak zwanego „nacionalizmu“, tak często źle i ciasno pojmowane albo zgola nie rozumiane. I słusznie powiada Bielecki: „Ruch narodowy pod potężnym wpływem Dmowskiego nigdy nie zszedł na manowce sztywnej doktryny ciasnego nacionalizmu. Polska idea narodowa więcej buduje na przywiązaniu i miłości do własnego narodu, niż na nienawiści do obcych“. I ma też słusność stwierdzając, że polski tak zwany „nacionalizm“ był i jest prądem zupełnie różnym od nacionalizmu francuskiego i włoskiego. A dodajmy, że nie wspólnego nie miał z nacionalizmem niemieckim, który już przed Hitlerem opierał się na podstawie rasowej i na wywodzącym się z niej poczuciu wyższości „narodu panów“, któremu wszystkie inne narody miały służyć jako narody urodzonych niewolników!!

Interesujące są również strony książki, dotyczące kwestii żydowskiej. Wyjaśniają one stanowisko Dmowskiego i jednocześnie stanowisko ruchu narodowego w tej sprawie głównie faktem, że miasta w Polsce opanowane zostały przez Żydów i że dzięki temu nie mógł się wytworzyć w Polsce bardzo jej potrzebny silny stan trzeci. Asymilacja była zdaniem Dmowskiego, zważywszy liczbę, wartość i utrzymaną świadomie odrębność masy żydowskiej niemożliwa, a nawet w tych warunkach niepożądana. Stanowisko to nie miało jednak nic wspólnego z rasizmem.

Kto chce sobie zdać sprawę z podstaw ideologicznych i politycznej twórczości Dmowskiego, ten znajdzie w książce Bieleckiego doskonale dobraną i zużytą przez autora bardzo inteligentnie dokumentację. Dmowski przygotował zarówno ideologicznie jak w dużej mierze również organizacyjnie naród polski do nadchodzącego przewrotu pierwszej wojny światowej i wprowadził sprawę niepodległości Polski bardzo umiejętnie na forum międzynarodowe. Nie będziemy jednak na tym miejscu streszczać odnośnych rozdzia-

łów książki. Trzeba je przeczytać w oryginale. Stwierdźmy tylko, że historyczna rola, którą Dmowski odegrał zarówno przed jak też w czasie pierwszej wojny światowej oraz na konferencji pokoowej, uawnia się w książce Bieleckiego jasno i wyraźnie. I to jest dobre, zwłaszcza, że zawiera ona niejedną naukę na przyszłość.

A roza tym wydaje nam się, że świadomość, iż Polacy potrafili w decydujących chwilach wyłonić ze siebie mężów stanu tej miary, co Dmowski, może być dla narodu polskiego, który tak długi czas przeżył w niewoli i był systematycznie przez swoich ciemiężców poniżany, rzeczą ważną i zawsze jeszcze potrzebną. Trzeba pozbyć się ostatecznie istniejącego jeszcze tu i tam poczucia niższości wobec obcych. Jednym z najbardziej dodatnich rysów charakteru Dmowskiego — który dzielił zresztą ze swoim wielkim polskim przeciwnikiem wewnętrznym, Józefem Piłsudskim — było właśnie to zupełnie się u niego samego przez się rozumiejące poczucie równości praw i zdolności narodu polskiego do samodzielnego bytu i do samodzielnej twórczości. Nie było w nim śladu jakiegokolwiek uniżoności wobec obcych, ale też na odwrót nic ze zbytnej zarozumiałości, jaką odznaczają się na przykład polityczne teorie i polityczna literatura niemiecka. I wydaje nam się, że te właśnie strony jego charakteru ułatwiły mu niezmiernie działalność na terenie międzynarodowym. Wyczuwali to obcy politycy i mężowie stanu i odnosili się do Dmowskiego nie jako do przedstawiciela narodu „proszącego“, ale narodu równouprawnionego pod każdym względem. Nie lekceważmy tej pozornie nieuchwytej strony działalności Dmowskiego, której wprawdzie Bielecki osobno nie podkreśla, ale która wylania się bardzo wyraźnie z nakreślonego przez niego obrazu.

Interesujące są bardzo w książce Bieleckiego rozdziały o stosunkach Dmowskiego z Wyspiańskim i Żeromskim, których tu już osobno nie streszczamy, a także głosy o Dmowskim, zebrane ze wspomnień i pism ludzi mu współczesnych, względnie tych, którzy się z nim spotykali. Nie są to oczywiście wszystkie głosy i obejmują w zasadzie, jak autor to sam zaznacza, głównie głosy z lat 1954-1964. Jest ich jednak dosyć, ażeby odzwierciedlić postać Dmowskiego, odbitą w oczach bardzo rozmaitych indywidualności, chociaż często tylko migawkowo.

\*) Tadeusz Bielecki, „W szkole Dmowskiego“, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968.

# W SZKOLE DMOWSKIEGO

Zagadnieniem, które nasuwa się przy rozważaniu działalności Dmowskiego, jest zagadnienie władzy. Bielecki go wprost nie porusza, ale wylania się ono przy czytaniu jego książki jako pytanie, którego nie można pominąć.

Otóż nie ma na świecie nawet największego człowieka, który by posiadał wszystkie zalety i nie miał żadnych wad względnie braków. Dmowski, genialny jako myśliciel i pisarz polityczny, umiejący myśli swoje wpoić w mózg narodu, świetny również jako dyplomata na terenie międzynarodowym, nie był człowiekiem, posiadającym instynkt władzy, o którą potrafiłby walczyć, zdobyć ją i utrzymać. Ten brak nie byłby się ujawnił w czasach, w których organizacja władzy była mniej lub więcej ustabilizowana. Czynniki dzierżący władzę przekazywał ją wtedy według uznania ludziom, których powoływał do rządów. Takim czynnikiem był do czasu wstrząsów pierwszej wojny światowej monarcha, za wyjątkiem Francji, gdzie jednak parlamentarna procedura dochodzenia do władzy była stosunkowo uregulowana.

Obraz ten zmienił się zupełnie po roku 1918. Wstrząs wojny światowej był zbyt silny. Istniejące ustroje zostały albo rozbite albo co najmniej podważone. Źródło władzy, które dotychczas było pierwiastkiem nadrzędnym i trwałym, stało się przedmiotem niepohamowanych niczym walk wewnętrznych. Każdy uważał, że może władzę zdobyć. W tych warunkach wyłoniła się nie tylko możliwość, ale wprost nieodparta pokusa użycia w tym celu siły jako jedyne pewnego środka. Tylko czynnik, który by odważnie zdecydował się na próbę uporządkowania wewnętrznych rozgrywek przez rzucenie na wagę pełnego swojego autorytetu i zdolności i wziął czynny udział w walce o władzę, mógł skierować rozwój na inne tory.

W Polsce przed rokiem 1918 nie istniał i nie mógł istnieć żaden ośrodek rzeczywistej i uznanej polskiej władzy. Działalność najbardziej zasłużonych polityków rozwijała się więc poza zasięgiem zdobywania i wykonywania władzy. Wysiłek ich polegał wyłącznie na stwarzaniu organizacji, które zmierzały wprawdzie do zdobycia niepodległości, ale nie do zdobywania władzy w ramach narodu. Zagadnienie, kto miał rządzić, było teorią. Rządu polskiego przed rokiem 1918 w Polsce nie było i być nie mogło.

W tych warunkach ogromny wysiłek Dmowskiego — wysiłek twórczy, jak

to Bielecki bardzo słusznie podkreśla — szedł wyłącznie w kierunku organizacji myśli politycznej narodu. Walki toczyły się na terenie ideologicznym. Na zewnątrz zaś wysiłek działania szedł w kierunku uzyskania dla Polski uznania na terenie międzynarodowym. I tu jednak nie była to walka o to, kto będzie rządził w odrodzonej Polsce. Zaryzykujemy zdanie, że kto wie nawet, czy tak się dobrze nie stało. Zadanie było na terenie międzynarodowym tak ogromne i tak trudne, że gdyby Dmowski miał równocześnie poświęcać siły na walkę o to, kto ma rządzić, nie byłby prawdopodobnie mógł dokonać tego, czego na terenie międzynarodowym dokonał. A był to wtedy teren ważniejszy niż wszystko inne.

Gdy jednak po zdobyciu niepodległości i ustaleniu granic Polski wyłoniło się zagadnienie władzy jako uchwytne pytanie, które należało rozwiązać, Dmowski stanął na uboczu. Bielecki powiada, że „po powrocie z konferencji paryskiej i po chorobie był tak wyczerpany walką o granice, że nie miał siły do walki o władzę.“ Ówczesna podporządkowana Dmowskiemu organizacja polityczna, Związek Ludowo-Narodowy, zdaniem Bieleckiego „nie był zdolny do brania władzy, ani nawet do skutecznej obrony rządów koalicyjnych, do których jego przedstawiciele wchodzili.“

Otóż nasuwa się pytanie czy, gdyby na czele ówczesnej narodowej organizacji partyjnej stanął odważnie człowiek wybitny i nie uchylający się od walki o władzę, stosunki nie byłyby się mimo wszystko rozwinęły inaczej. Tymczasem Dmowski, jak powiada Bielecki, „patrzył na organizację polityczną w istniejących dziś stronnictwach jako na

rzecz tymczasową, przeżytek stosunków przedwojennych“.

To była prawda, to był rzeczywiście przeżytek. Ale Dmowski nie liczył się z tym, że kto się od walki o władzę nawet w takich warunkach usuwa, ten zostawia ją innym. Czy na przykład, gdyby Dmowski w czasie przesilenia rządowego w grudniu 1923 był posłuchał wezwania ówczesnego premiera Witosy, który go wzywał do Warszawy, i stanął u jego boku, zamiast to wezwanie świadomie zlekceważyć, rozwój nie byłby się mimo wszystko potoczył inaczej?

Mając genialną wizję myśli, a nawet organizacji politycznej narodu, która się z książki Bieleckiego wylania, Dmowski wyobraził sobie, że w tych bezpłodnych walkach wszyscy się powoli wykończą, a wtedy władza sama do niego przyjdzie. O tym nawet dość otwarcie mówił, między innymi do piszącego te słowa.

Jeszcze po zamachu majowym był nadal przekonany, że pilsudczycy zwani potem pogardliwie „sanacją“, sami się załamią. Czy wtedy jednak rzeczywiście on jeden pozostałby na placu? Później uważał, że władzę powinien zdobyć dla niego ktoś młodszy i mu ją przekazać. Ale nie liczył się z tym, że kto naprawdę zdobywa władzę, ten czyni to dla siebie, a nie dla innych.

Bielecki może ma słuszość, gdy powiada, że utworzenie Obozu Wielkiej Polski nie miało na celu przeprowadzenia siłą rewolucji. Było ono natomiast — jeżeli chodzi o przejęcie władzy — przygotowaniem na spodziewane w niezbyt długim czasie bankructwo tzw. „sanacji“. Ale znowu przewidywanie to okazało się mylne. Czas się wydłużał — i w wyniku ostatecznym systematycznie uprawiana opozycja prowadziła do bezowocnej negacji nawet tam, gdzie rzeczowo nie była ona uzasadniona. Trwała ona do wybuchu II-giej wojny światowej, to znaczy 13

(Dokończenie na str. 20)

**SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE**

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO**

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



**HASKOBA LTD.**

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7.

Tel. 01 - 373 7888

lat, i wcale nie było wiadomo, kiedy się miała skończyć. Otóż tego nie wytrzyma żaden obóz polityczny — i na tym właśnie a nie innym tle rozpoczęły się rozłamy, i to zwłaszcza wśród młodego pokolenia, trzymanego zdala od pozytywnej pracy państwowej i zagrożonego rozkładowym wpływem zbyt długo trwającej negacji. Rozłamy te szły w dwu kierunkach: jedni zaczęli patrzeć na obce wzory rewolucyjne, nie bardzo albo nawet wcale nie rozumiejąc ich rzeczywistej istoty, drudzy widząc, że rewolucja mimo szkodliwego podniecenia młodych przez trzymających się ostrożnie na uboczu starszych nie jest możliwa, a natomiast mogłaby być dla Polski niebezpieczna, postanowili porzucić bezpłodną i prowadzącą z konieczności na dłuższą metę do rokładu negację i stworzyć podstawy do pozytywnego ustosunkowania się nie do tak zwanej „sanacji“, względnie jakiegogoś jej odtamu, jak twierdzi Bielecki, ale całkiem po prostu do państwa. Była to jedyna możliwa wtedy droga wyjścia z ślepej ulicy. Zaczynali to zresztą rozumieć nawet niektórzy starsi przedstawiciele Obozu Narodowego — i nie kryli się z tym zdaniem w rozmowach z przywódcami grupy „Awangarda“.

Bo oczywiście o rewolucyjnym obaleniu „sanacji“ nie mogło być mowy, chociaż byli w opozycyjnych ugrupowaniach ludzie, którzy tę możliwość rozważali i nawet przygotowywali w tym kierunku nieprzemysłane posunięcia. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że kto sam, jak właśnie piłsudczycy, doszedł do władzy siłą, ten nie będzie czekał, aż ktoś przeciwko niemu siłę zorganizuje, lecz jakiegokolwiek pomysły albo próby w tym kierunku zduś w zarodku. To nastąpiło, chociaż napewno można było uciec się do innych sposobów, niż te, których niestety wówczas użyto.

Pozostawała więc jedyna droga wyjścia z beznadziejnej w istocie i na dłuższą metę szkodliwej negacji, a mianowicie próba „wejścia do państwa“ w taki sposób, jaki był możliwy. W tym kierunku starała się na wewnątrz ówczesnego obozu narodowego oddziaływać tak zwana „grupa Awangarda“ czyli poznański odłam należący do obozu narodowego młodszego pokolenia, nazywany tak od wydawanego przez nią miesięcznika „Awangarda“. Napotkała ona jednak na opór kierownictwa partyjnego. Charakterystyczna w tej mierze była sprawa uchwalenia nowej konstytucji. Na posiedzeniu w Warszawie — bodajże w mieszkaniu posła Wierczaka — na którym roztrząsano w ścisłym gronie pytanie, jakie przyjąć stanowisko i taktykę w tej sprawie, przedstawiciel grupy Awangardy stwierdził, że jeżeli ma się głosować przeciwko projektowi rządowemu, to można to

zrobić tylko na podstawie własnego projektu, albo w razie odrzucenia ew. poprawek, wniesionych do projektu rządowego. Ale i tym razem postanowiono własnego projektu ani żadnych poprawek nie wysuwać, a natomiast po prostu głosować przeciwko projektowi rządowemu. Odtąd rozpoczął się dopiero faktyczny proces rozłamu, do którego nota bene grupa Awangardy nie dążyła.

Te sprawy w książce Bieleckiego — bezwzględniego wyznawcy Dmowskiego — nie są przedstawione ściśle. Powiada on na przykład, pisząc o stanowisku grupy „Awangarda“, między innymi: „Łatwość pisania nie zastąpi braku oparcia o szeregi narodowe. W walce decydują żywe realne siły polityczne, umiejętność ich organizowania i prowadzenia, a nie pobożne życzenia i akademickie dyskusje.“

To prawda! Niestety, to właśnie obóz narodowy przez lat 13 (licząc od roku 1926) nie potrafił obrać realnej drogi, ażeby dojść do władzy albo co najmniej uzyskać na nią uchwytny wpływ. I trudno nie ulec pokusie zestawienia z powyższymi słowami następujących zdań, wyjętych z książki piszącego te słowa pt. „W ogniu przemian“ (Poznań, 1934, nakład „Awangardy Państwa Narodowego“). Czytamy tam::

„Są ludzie, którym się wydaje, że przez pisanie można robić politykę. Wystarczy ich zdaniem napisać artykuł i oto posunięcie gotowe. Dziwią się potem, że z tego nie ma większych skutków w praktyce. Może były kiedyś czasy, w których napisanie artykułu dziennikarskiego miało bezpośredni wpływ na bieg wypadków i działało na igłę magnesową, wykreślając kierunek odbywanej drogi. Tak działo się może w okresie rządów opinii...“

Te zdania, napisane 34 lat temu, miały właśnie na myśli — ówczesną politykę obozu narodowego!!! Nie wychodziła ona bowiem poza „pisanie“ — świetne zresztą, jeżeli chodzi o Dmowskiego — oraz mniej lub więcej udane, ale zawsze napotykające na granice organizowanie Stronnictwa Narodowego. Niestety, nie umiano wskazać, kiedy i jakimi sposobami polityka ta będzie mogła z tych granic wyjść. Samo „oparcie o szeregi narodowe“ nie mogło wystarczyć. Zmobilizowana armia, która zbyt długo stoi w miejscu, zaczyna się rozkruszać. Opozycja tak bezkompromisowa, że przerażająca się i wyradzała w zasadniczą negację, możliwa jest na dłuższą metę tylko w stosunku do obcych rządów. A chyba najzaciętszy przeciwnik Piłsudczyków nie mógł powiedzieć, że byli oni władzą „obcą“.

Brak miejsca nie pozwala nam na obszerniejsze omówienie w związku z książką Bieleckiego zagadnień, które wów-

czas wysuwały się na czoło wewnętrznego rozwoju życia politycznego w Polsce. Czekają one zawsze jeszcze na oświetlenie, wolne od uczuciowych wpływów dawnych walk — i pomyłek. Ale trzeba raz jeszcze podkreślić: Nie ma tak wielkiego człowieka, który by powiedział wszystko i nie ma nawet największego geniusza, który by nie posiadał braków i nigdy nie błędził. I właśnie wtedy, gdy się te braki widzi, można najlepiej docenić to, co jest pozytywne i wielkie i co tak słusznie i przekonująco Bielecki uwydatnił u Dmowskiego.

Jerzy Drobnik

INSTYTUT LITERACKI  
SERIA „DOKUMENTY“

LEON MITKIEWICZ

Z GEN. SIKOKRSKIM  
NA OBCZYŻNIE

(FRAGMENTY WSPOMIENI)

Str. 398

Cena. 39 sh.; F. 23.00; dol. 5.00

K S I E G A R N I A S. P. K.  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

GRYF PUBLICATIONS  
LTD.

LIDIA I ADAM CIOLKOSZOWIE

ZARYS DZIEJÓW  
SOCJALIZMU  
POLSKIEGO

TOM I.

Str. 520

Cena: 63 sh.; F. 40.00; dol. 9.00

K S I E G A R N I A S. P. K.  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

Dobry uczynek —  
zachęcić przyjaciela  
do prenumerowania  
„ORLA BIAŁEGO“

# ANTOLOGIA NOWOCZESNEJ LITERATURY POLSKIEJ

**A**DAM GILLON, profesor literatury angielskiej i powszechnej na uniwersytecie stanowym w Nowym Jorku i Ludwik Krzyżanowski, dyrektor Centrum studiów Europy środkowej i wschodniej w N. Jorku oraz profesor języka polskiego i literatury na uniwersytecie Columbia, wydali Antologię nowoczesnej literatury polskiej ostatniego 70-lecia.\*)

Redaktorzy stwierdzają w słowie wstępnym, iż nie mogli w swoim wyborze uwzględnić twórczości wielu wybitnych pisarzy zarówno z powodu ograniczonych rozmiarów wydawnictwa jak i ubóstwa lub braku przekładów. Dlatego też wiele utworów musieli sami przełożyć chcąc, w związku z tysiącletnim „nieprzerwanej przynależności narodu polskiego do kultury zachodniej“, przedstawić antologię literatury polskiej, której brak było dotychczas w Ameryce.

Przekłady podzielono na dwa główne działy: prozy literackiej i poezji. Konopnicka, Józef Witlin i Tadeusz Różewicz są reprezentowani w obydwu. Tytuły utworów podano tylko w języku angielskim, nazwiska pisarzy, a jeszcze części imiona, tam gdzie pisownia polska zbyt odbiega od angielskiej, mają brzmienie fonetyczne np. Mycislaw Yastroom.

Wybór poprzedza bardzo zwięzły, ale treściwy wstęp w dwóch częściach. Pierwsza daje ogólną charakterystykę literatury polskiej od początku do końca epoki romantyzmu, druga omawia właśnie okres objęty przez Antologię, Godna podziwu jest dbałość — oparta o znajomość psychiki czytelnika krajów anglosaskich, precyzja w określaniu gatunków literackich i wskazywanie na podobieństwa z twórczością innych pisarzy znanych na Zachodzie. Tak jest np. jeśli chodzi o „kwestię“ chłopską u Reymonta, Orzeszkowej, wspomniano Selmę Lagerlöff, Ham-suna, Pearl Buck, Silone, Gorkiego, przy Nałkowskiej Flauberta, przy Kos-sak-Szczuckiej — Stendhala.

Redaktorzy Antologii wyszli ze słusznego zasadniczo założenia, że istnieje tylko jedna literatura polska choć niektórzy pisarze tworzą na emigracji, że zarówno piśmiennictwo przed wojną jak po wojnie przepaja gorące poczucie patriotyzmu i umiłowanie wolności ze

## PO ANGIELSKU

zrozumiałą (rozbiory, okupacja) predyspozycją do motywów prześladowań, cierpień, wygnania.

Nie podkreślono jednak dostatecznie, iż mimo jedności ducha, literatura w Polsce powstaje pod naciskiem, że niektóre tematy są zakazane, że był okres kiedy „realizm socjalistyczny“, „zamówienie społeczne“ kępowały swobodę pisarzy. Antologia została wydana w Ameryce, kiedy jeszcze — tak mogło się zdawać, zwłaszcza cudzoziemcom — nie groziło zaostrzenie cenzury i nawrót do „produkcyjniaków“ z okresu Bieruta. Tymczasem...

Utwory każdego autora poprzedza krótka nota biograficzna z wyliczeniem innych ważniejszych dzieł i określeniem pozycji w literaturze. W zestawieniu z drugą częścią wspomnianego już wstępu informacje, noty dają istotnie dobre wprowadzenie.

Dział prozy otwiera Reymont („Chłopi“), po nim Sienkiewicz reprezentowany przez „Latarnika“, Orzeszkowa (skrót „Samsona“), Konopnicka, Żeromski (nowela „Echa leśne“ i fragment „Popiołów“), Prus (Z legend dawnego Egiptu“ i „W górach“), Strug („Ludzie podziemni“), Przybyszewski, Nałkowska, Kuncewiczowa, Kossak-Szczucka („Przymierze“), Józef Witlin („Sól ziemi“), Parandowski, Kaden-Bandrowski, Gombrowicz („Ferdynand“), Andrzejewski („Noc“), Adolf Rudnicki, Bruno Schultz, K. Brandys („Jak być kochaną“), Zawiejski, Hlasko, Różewicz („Najpiękniejsze miasto na świecie“).

Poczet poetów otwiera Konopnicka, Kasprowiec reprezentowany przez pięć wierszy wśród których jest wrzuszająca „Moja pieśń wieczorna“, Antoni Lange — 3 utwory, Tetmajer, Wypiański wiersz i wyjątek z rapsodu „Kazimierz Wielki“, Staff głównie przełożony przez Kirkconnella, Leśmian, Tuwim (10 wierszy, głównie w przekładzie Gillona), Iwaszkiewicz, 9 wierszy Kazimierza Wierzyńskiego tłumaczyli: Pitchford, Gillon, Krzyżanowski, Mary Pelps, Harry Roskolenko, Reaveay i Clark Mills. Maria Pawlikowska ma w tej antologii 12 wierszy, Hłakowiczówna — 3, Józef Witlin „Hymn do łyżki zupy“ i potężny „Psalm“ w pięknym przekładzie Gillona. Wybór utworów Słonimskiego zawiera dwa bardziej znane „To wszystko“ (Dynowska) i „Warszawa“. Głośny wiersz Broniewskiego

„Bagnet na broń“ ukazuje się w nowym, b. dobrym przekładzie „spółki“ Gillon i Krzyżanowski, inne wiersze tego poety tłumaczyli Watson Kirkconnell i Loreta Bielawska. Lechoń, 9 wierszy, Stanisław Baliński — 5, Jastrun, Aleksander Janta, Czesław Miłosz — poemat Campo di Fiori, Różewicz reprezentowany dłuższym poematem „Równiny“ w przekładzie Mayewskiego. Ten sam tłumacz przełożył słynny „Poemat dla dorosłych“ Adama Ważyka. O Konstantym Gałczyńskim — wspominają wydawcy jako niemal nieznanym na Zachodzie, wiersze Herberta — tłumaczyła Magdalena Czajkowska.

Łącznie antologia zawiera utwory lub fragmenty utworów 22 pisarzy w dziale prozy i 24 w poezji. Wśród tłumaczy przeważają kobiety. Są i nazwiska dobrze znane, jak Watson Kirkconnell (31 przekładów), Adam Gillon (21), Gillon i Krzyżanowski wspólnie 10. Do znanych należą również Artur Coleman, Frances Notley, Paweł Mayewski, Wanda Dynowska, Adam Czerniawski. Ale są i mało znane: Krystyna Cękańska, Helena Sikorska, Loretta Bielawska, Ilona Ralf Sues, Jenny Rodzińska, Albiną Kruszewska i Magdalena Czajkowska.

Uwzględniając trudności związane nie tylko z dokonaniem najbardziej „reprezentacyjnego“ wyboru, ale także z uzyskaniem przekładów — Antologia ma cechy wydawnictwa pionierskiego, bardzo potrzebnego zwłaszcza teraz gdy w Stanach Zjednoczonych, pod wpływem polskich profesorów i wykładowców wzrasta zainteresowanie językiem i literaturą polską; będzie ona niezbędnym przewodnikiem dla cudzoziemców — i takie jest jej przeznaczenie — ale sięgnie też po nią może nie jeden Amerykanin czy Brytyjczyk polskiego pochodzenia, któremu ta książka otworzy furtkę do kultury ojców.

*Doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczyźnych*

**ICH MŁODE LATA**

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

*Opowieść o chłopcach z Legionów*

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.  
London, S.W. 11.

...\*) Introduction to Modern Polish Literature — Adam Gillon i Ludwik Krzyżanowski, Rapp & Whitting, Londyn, str. 480.

# BRUTUS LEGENDY GENERAŁA SIKORSKIEGO

„Kultura“ paryska wydała niedawno 398 stron pamiętników płk. L. Mitkiewicza pt. „Z gen. Sikorskim na obczyźnie“. W książce jest też jedna fotografia: tablica pamiątkowa ku czci generała Sikorskiego wmurowana w ścianę kościoła św. Krzyża w Warszawie. Dlaczego tylko jedna i dlaczego przedstawiająca akurat jeden z warszawskich pomników Generała, nie żaden z emigracyjnych, których jest wiele — trudno powiedzieć.

Autor, jeden z najbliższych — w każdym razie tak pisze — współpracowników Generała w czasie wojny, był jego przedstawicielem w Międzyaliamckim Komitecie Wojennym w Londynie (gdzie nawiasem mówiąc znosił same upokorzenia, głównie ze strony Francuzów); był przez czas jakiś zastępcą szefa sztabu Naczelnego Wodza i szefem 2 oddziału Sztabu; od marca 1943 reprezentował Naczelnego Wodza w Sztabie Alianckim w U.S.A.

## LIRYKA NIE-REFLEKSYJNA

Pamiętnik jest bardzo subiektywny. Postacie historyczne i nie-historyczne autor ukazuje wyłącznie pod kątem swych ku nim sympatii i antypatii, a mówiąc ściślej: pod kątem swych mniejszych lub większych antypatii. Bo sympatią nie darzy nikogo. Oczywiście, z jednym wyjątkiem: siebie samego.

Leon Mitkiewicz — jak wynika z tego co pisze — jest największym mężem stanu, najlepszym oficerem (choć prochu przez cały czas drugiej wojny światowej nie powąchał ani razu, mimo że — według tego co pisze — domagał się gorąco przy ziału do formacji liniowych — Bóg jednak poskąpił mu tego zaszczytu...). Okazuje się — z tego co pisze — że to on faktycznie był inicjatorem i głównym wykonawcą ewakuacji wojsk polskich i Polaków w ogóle z Francji do Anglii, po pogromie i haniebnym układzie Francji z Niemcami.

Gdyby nie on, L. Mitkiewicz, Sikorski zostałby prawdopodobnie we Francji, bo do ostatniej chwili — jak pisze autor książki — wierzył we Francję. No i by zginął w tej Francji. Przewidujący Mitkiewicz od samego początku wierzył w Londyn i znalazł się tam na długo przed atakiem Hitlera na Francję — jako ten członek czy raczej półczłonek, Komitetu Wojennego. Mitkiewicz jest również wzo.owym i lojalnym kolegą: to przecież on załatwił płk. Klimeckiemu nominację na generała — przez Józefa Rętingera, nawiasem mówiąc, osobistość,

mającą, niestety, duży wpływ na gen. Sikorskiego. On również pierwszy — płk. Mitkiewicz — zwrócił uwagę wojskowych władz alianckich na tajemnicze wydarzenia, jakie miały miejsce podczas lotów gen. Sikorskiego — próby zamachów. Jest przy tym niesłychanie skromny: ze wszystkich sił — jak pisze bronił się przed awansem na generała.

Najbardziej znienawidzoną postacią historyczną jest dla p. Mitkiewicza... generał Władysław Anders. I mimo, że historia potwierdziła wiele sądów politycznych gen. Andersa, mimo, że bieg wydarzeń usprawiedliwił jego czyny polityczne i wojskowe — p. Mitkiewicz w swych pamiętnikach, pisanych i wydanych długo po wojnie, traktuje gen. Andersa z namiętną „surowością“, może większą niekiedy niż sam reżym warszawski. Mitkiewiczowi nie podoba się nawet to, że gen. Anders przemawia płynnie, zwinnie, logicznie i że jest pewny swych sądów (str. 277 i inne).

## „NIEZMIERNIE PYSZNY“

A generał Sikorski? O gen. Sikorskim chyba największy jego wrogiowiec nie pisałi tak źle, jak ten jego rzekomy wielbiciel, p. L. Mitkiewicz. Jako człowiek dla p. Mitkiewicza jest gen. Sikorski nadętym pyszałkiem, namiętnym politykaczem wazeliny, naiwnie wierzącym we wszystkie pochlebstwa. Na str. 257 pisze o tragicznie zmarłym ówczesnym Naczelnym Wodzu i premierze: „Lubi on niesłychanie, jak każdy rdzenny szlachcic polski, atmosferę schlebiania, pewnej służalczości, uniżoności. Przy tym jest niezmiernie pyszny, może nawet zarozumiały... chwali się, że Roosevelt nazwał go w oczy największym mężem stanu i najznakomitszym w świecie, a Churchill... bez niego nie podejmie żadnej decyzji“.

Chociaż, przyznać trzeba, w innym miejscu, w rozdziale pt. „Geneał Sikorski — próba charakterystyki“ (str. 296 do 301) ten sam autor słów ze str. 257 wylewa całe jezioro wazeliny wokół osoby gen. Sikorskiego i jego najbliższej rodziny, nie troszcząc się o to, że 40 stron przedtem zrobił z Naczelnego Wodza i swego protektora nieomal błazna. Jest to, nawiasem mówiąc, jeden z przykładów wielu beztroskich niekonsekwencji tej elegii o sobie samym do potomności.

## AŻ TAK SLEPA WIARA W STALINA?

Jako polityka p. Mitkiewicz kompromituje swego protektora jeszcze bar-

dziej niż jako człowieka. Wspomniałem już o tej jakoby absolutnie ślepej wierze Sikorskiego we Francję. Drugą jego taką ślepą miłością miała być — jak pisze ręk. Mitkiewicz — wiara w Rosję i... Stalina. Wiarę tę wyznawał jakoby od dawna, od chwili wybuchu rewolucji bolszewickiej. Jak pisze Mitkiewicz na str. 217, gen. Sikorski bolał nad odosobnieniem, w jakie Rosja popadła od czasu rewolucji. Wiary tej nie złamał w nim — jakoby — ani pakt Ribentrop-Mołotow, ani najazd Stalina na Polskę 17 września 1939, ani masowy terror i wywózki Polaków na Syberię z ziem polskich, podbitych w spółce z Hitlerem.

Na str. 200 czytamy: „O Stalinie gen. Sikorski wyrażał się nadspodziewanie dobrze, twierdząc z dużym przekonaniem... ja z nim dogadam, aby mi tylko nikt nie przeszkadzał, ani psuł — to niesłychanie ciekawy człowiek“.

Trudno oprzeć się podejrzeniu, że płk. Mitkiewicz przypisuje gen. Sikorskiemu swoje własne ówczesne — poglądy. Dowodem pośrednim na to może być fakt, że p. Mitkiewicz dorzy zaciekle antypatią całą grupę polityków polskich znanych ze swej konsekwentnie antysowieckiej i antystalinowskiej postawy. Należą do nich: generałowie Anders i Sosnkowski, prezydent Raczkiewicz, minister spraw zagr. A. Zaleski.

Gen. Sikorski, prawda, zawarł pakt z Molotowem, wbrew prezydentowi i ministrowi spraw zagranicznych, jednak przypuszcza się, że zrobił to pod naciskiem Anglików, nie aż z takiej miłości do Rosji, jaką przypisuje mu płk. Mitkiewicz. Według płk. Mitkiewicza Sikorski do tego stopnia był jakoby zapatrzony w Rosję, że miał zamiar: „pójścia na politykę całkowitego porozumienia się ze Stalinem i przeniesienia się do Moskwy“.

Czy to może być prawdą? Niech na to odpowiedzą ludzie, którzy współpracowali z nieszczęśliwym generałem Sikorskim i byli mu bliskimi, a prawdziwymi przyjaciółmi. Bo trzeba pamiętać gen. Sikorskiego wziąć w obronę, choćby z racji 25-lecia jego tragicznej śmierci: A do znanego polskiego powiedzenia: „Boże, broń mnie przed moimi przyjaciółmi, bo przed wrogami sam się obronię“ należałoby włączyć słowa: „za życia i po śmierci“.

## KÖPENICKIADA

Książkę jednak przeczytać warto, nawet bardzo warto i „Kultura“ dobrze zrobiła, że ją wydała. Pokazuje ona bo-



wiem — i to jest chyba prawdziwe — obraz wojennego Londynu polskiego, odzwierca atmosferę tamtych czasów.

Jest to atmosfera spisków i kontrspisków (na przykład: mianowanemu przez Prezydenta premierowi szef Sztabu Naczelnego Wodza gen. Klimecki — przystawia pistolet do głowy i zmusza do rezygnacji), donosów, „jacipokazów“, syku węzów i „wysp węzów“, jałowej gadaniny, wiecznego bankietowania. Rozgrywała się w tym Londynie jakaś przesmutna narodowa tragifarsa, gigantyczna kœpenickiada.

Jedno może nam imponować w tych zawodowych „ojcach ojczyzny“, w tych polskich kapitanach z polskiego Kœpenick spiskujących i bankietujących w Londynie — ich zdrowy sen, którego nie zakłóciły im nigdy wizje narodu, dręczonego w tym samym czasie okupacją niemiecko-rosyjską, torturowanego w kacetach i łagrach. Żołnierze leli krew w Narwikach i Tobrukach, na Monte Cassino, na polach włoskich, w lasach

polskich. Lotnicy płonęli w maszynach, Warszawa paliła się w Powstaniu. Marynarze zapadali się w otchłanie wodne. Matkom, żonom i siostronom brakło już łez do oplakiwania losów narodu — a u nich co dzień bankiet, co noc spisek. Że mieli mocne nerwy i zdrowy sen, to Bóg z nimi, ale żeby nie mieć na tyle zdrowego sensu, by powstrzymać się od csmieszania nas wobec obcych — tego im nie możemy darować. Podobno Anglicy szau dostawali — i ze śmiechu i ze złości — na widok tych polskich ministrów i wice — prześcigających się w wystawności cowieczornych przyjęć w głodnym i bombardowanym Londynie.

Jedynie wojsko ratowało honor narodu i jedynie wojsko zapisało najwznieśsze karty narodowej epepe lat 1939-1945.

Niestety, ani jedna strona książki L. Mitkiewicza wśród tych kart się nie znajdzie. Nie wejdzie też do historii literatury pamiętnikarskiej: nie wymaga się od niezawodowych autorów przypad-

kowych pamiętników znajomości literackiego rzemiosła, ale od każdego piszącego po polsku wymaga się znajomości języka polskiego, a autor pamiętnika „Z generałem Sikorskim na obczyźnie“ nie spełnia tego podstawowego warunku. Panu Paskowi — dużo poniżej paska. Na str. 81 pisze np.: „Gen. Sikorski... jest szalenie wpływowy; ulega każdemu“. Z pierwszą narzeczoną swoją zerwałem dlatego, że używała słowa „wpływowy“ w znaczeniu „ulegający wpływom“, a nie jak trzeba. A przecież ona miała — i ma — tę ogromną przewagę nad p. L. Mitkiewiczem, że nie napisała pamiętnika pod — na przykład — tytułem: „Z bombardierem Kowalewskim w ojczyźnie“.

Strzeż mnie Boże przed takim pamiętnikiem. Ale nieszczęśliwego generała Sikorskiego nie już nie ustrzeże: Stało się. Jest to fakt tak samo nieodwołalny jak ojebójstwo Brutusa.

Janusz Kowalewski

## DZIWIY I URODA POLESIA

Wydana ostatnio przez PFK książka Franciszka Wysłoucha pt.: „Opowiadania poleskie“ jest jedną z najbardziej uroczych książek wydanych na emigracji\*). Płk. Wysłouch nie tylko jest Poleszukiem z dziada pradziada, ale urodzonym gawędziarzem. Każde opowiadanie ma zwięzłą konstrukcję, ale dopiero ich zbiór otrzymuje właściwą wymowę.

Opowiadania są spięte klamrą tematu, jakim jest polskie Polesie, i osobą autora, bohatera tych opowiadań, i dlatego robią wrażenie powieści. Przypominają mi, choć w bardziej zwięzłej formie, niektóre opowiadania mego ulubionego autora Jacka Londona. Co jest cechą zasadniczą opowiadań Wysłoucha, to ich autentyzm i szczerą prawdą.

Wysłouch wciąga czytelnika. Kto przeczyta kilka początkowych stron książki już się od niej oderwać nie potrafi. Śledzi tajemnicę Polesia, które zdradza mu autor, jak detektywne opowieści. Bo Polesie to kraina nie tylko egzotyczna, ale i groźna. Splywa obficie krew nie tylko zwierząt na które poluje człowiek. W opowiadaniach Wysłoucha mamy i ludzi zabitych, z tego czy innego powodu, przez mieszkańców krainy bagien.

Przez Polesie przewaliły się obie wojny światowe, w których początkowo jako cywil, a później wojskowy,

brał autor udział. Wysłouch przeplata swe wspomnienia myśliwskie przygodami innymi. Książka jest wielowarstwowa, pełna piękna, tak tajemniczej przyrody. Oddają ją wnikliwie rysunki Mariana Bohusza-Szyski, wielkiej klasy artystycznej, zdobiące książkę, i okładka, jedna z najlepszych okładek jakie znam.

Odwracając karty „Opowiadań poleskich“ wehłaniamy swoisty nastrój puszczy. W tym słowie puszcza mieści się wszystko, a nie tylko pojęcie lasu. Puszcza ma swoisty nastrój, wynika on, jak mówi nam Autor, z tajemnicy, która kryje się za przesłoną drzew. Wzrok przez nie nie przebija się, i musi przyjść z pomocą myśl i wyobraźnia. Tak jest ze wszystkim, nawet zwierza się dobrze nie widzi, tak się on łączy z otoczeniem. Jest takie powiedzenie myśliwskie: — Nie sztuka strzelić do głuszca, ale sztuka jest go zobaczyć. Wygląda to na ironię. Zobaczyć go? A jest on tak wielki, że gdy przewiesi go się przez plecy, to dziobem sięga kolan wysokiego człowieka. A jednak w tym gwoźdzeniu jest racja.

Opowiadania Wysłoucha poza bystrą obserwacją kształtów i barw zewnętrznego świata, sięgają do dusz ludzkich i psychiki zwierząt. Jest w tym umiłowanie wszystkiego co go otacza, żywego i pozornie martwego, jak bagno czy fałdy ziemi, drogi i zabudowania.

Pozornie martwego, bo są to twory ludzkie i działanie sił kształtujących ziemię i człowieka oraz zwierzęta, ruchliwe powietrze, zmiany temperatury, deszcz, śnieg i tyle czynników innych od których życie zależy.

Wysłouch kocha świat we wszystkich nawet groźnych jego przejawach, współczuje ludziom i zwierzętom a nawet drzewom. Choć urodzony myśliwy, chroni zwierzyne, i często ma więcej radości gdy zwierz ujdzie, niż gdy go zabije. To współzycie z przyrodą nie ma w sobie niczego literackiego, naskórkowego, to pełne zespolenie się z przyrodą wśród której wyrósł i żył, nim go los nie przeniósł od Polesia daleko, w świat zupełnie inny.

Dlaczego powstały te opowiadania? Wysłouch mówi, że z tęsknoty. Oczywiście! Ale i dlatego, że ma on nam coś do powiedzenia jako tegi literat.

To dobra, uroczą książka. Należy się za jej wydanie podziękować autorowi jak i wydawcy. Polskiej literaturze przybyła cenna pozycja. I nie jest to recenzja z taryfą ulgową. Pod każdym jej słowem podpisuję się w pełni.

Stefan Legeżyński

\*) Franciszek Wysłouch: „Opowiadania poleskie“. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn 1968. Stron 240. Projekt okładki i rysunki w tekście prof. Mariana Bohusza-Szyski.

# Przygotowania do 25-lecia Monte Cassino

W pierwszych dniach sierpnia obradował w Londynie, w Domu Kombatanta pod przewodnictwem gen. B. Ducha Komitet Wykonawczy Uroczystości na Monte Cassino, które odbędą się w sierpniu przyszłego roku. Obecni byli wszyscy przewodniczący poszczególnych komisji: prezes S. Soboniewski — komisja organizacyjno-finans. ppłk. L. Gnatowski, propagandowa — prezes P. Hęciak (przewodniczącym jest mjr. E. Lubomirski), komunikacyjna — J. Biliński, prezes Polskiego Klubu Motorowego oraz T. Krasoń — sekretarz SPK W. Brytania, płk. P. Perucki — sekretarz Komitetu i Z. Szadkowski — sekretarz gen. Zarządu Głównego Federacji Światowej S.P.K.

Komitet wysłuchał sprawozdań przewodniczących komisji oraz przeprowadził szeroką dyskusję w sprawie obecnych przygotowań do przyszłorocznych obchodów.

Z dyskusji wynikało, iż uroczystościom we Włoszech towarzyszy ogromne zainteresowanie we wszystkich ośrodkach polskiego osiedlenia. Planowane są liczne wycieczki indywidualne i zbiorowe, wszędzie powstają specjalne komitety w skład których wchodzi różne organizacje, wydawane są odezwy i podejmowane są uchwały wzywające społeczeństwo do gremialnego udziału w uroczystościach. Nie ulega już dziś wątpliwości, że będzie to uroczystość wyjątkowa, jak wyjątkowa będzie okazja spotkania się wielu dawniejszych towarzyszy broni z włoskich pól bitewnych czyli byłych żołnierzy 2 Korpusu. Toteż już dziś przewidywane są i planowane spotkania oddziałowe, które — poza uroczystościami na samym cmentarzu montekasyńskim — będą drugą okazją do głębokich przeżyć.

Centralne władze SPK w Londynie odbyły niedawno pierwszą konferencję z prezesem SPK we Włoszech, W. Zahorskim, na którego barki i barki Komitetu we Włoszech spadnie ogromna robota i niemal cała strona organizacyjna rocznicy. Druga, taka sama konferencja, odbędzie się w połowie października, bezpośrednio po zebraniu Rady Głównej SPK, obradującej w tym czasie w Londynie. Od tej chwili rozpoczyna się konkretne prace organizacyjne, programowe, propagandowe, gdyż natychmiast po posiedzeniu Rady Głównej SPK spotka się Komitet Wykonawczy Obchodu w pełnym składzie i powzięmie ostateczne decyzje. Jak poinformował prezes Soboniewski w pierwszych dniach sier-

pnia wyjechała do Włoch pierwsza forpoczta Związku Harcerstwa Polskiego z przewodniczącym Ryszardem Kaczorowskim na czele, która dokonała wizytacji całego terenu na którym mają się odbyć uroczystości, a w szczególności zapoznała się z możliwościami rozbięcia kilku obozów harcerskich w różnych punktach w pobliżu cmentarza Monte Cassino. Na podstawie zebranego materiału tej delegacji ZHP będzie mógł przystąpić do konkretnego planowania przyszłorocznego Światowego Złotu ZHP, w którym młodzież harcerska odegrać ma tak poważną rolę. W ręce bowiem tej młodzieży przekazane zostaną pod opiekę cmentarze żołnierzy 2 Korpusu, sztandary bojowe i cała tradycja bojowa drugiego Korpusu. Szczegółowiej o tych uroczystościach pisać będziemy później.

Władze SPK wysłały do swoich oddziałów na całym świecie specjalny komunikat, w którym wezwały ogniwa do utworzenia komitetów lokalnych obchodu 25-lecia bitwy o Monte Cassino i do udziału w spotkaniu na ziemi włoskiej.

Komitety te powstały już w niektórych krajach m.in. w Stanach Zjednoczonych (komitet w Chicago działa już w całej pełni), Argentynie, Francji, Belgii, Holandii, a wkrótce w Szwecji także.

Wszystkie wstępne przygotowania, potrzebne dla zebrania koniecznych elementów dla zatwierdzenia ostatecznych już planów, ukończone będą do listopada br.

Punktem centralnym uroczystości we Włoszech będzie — poza samym Monte Cassino — oczywiście Rzym. Jest projekt, aby wszyscy Polacy zamieszkali w jednym miejscu, w Rzymie w znanej „Domus Pacis“, mogącym zakwaterować i wyżywić 1.500 osób. Gdyby to się udało byłaby to wielka pomoc dla organizatorów, nie mówiąc już o tym, iż tu właśnie mogliby się spotkać koledzy z poszczególnych oddziałów bojowych 2 Korpusu i tu mogliby odbyć swoje zjazdy koleżeńskie. Dodajmy, iż zamiarem organizatorów jest, aby uczestnicy uroczystości mogli tak zaplanować swoje wyjazdy, by jednocześnie, poza pobytem na Monte Cassino, mogli spędzić swoje wakacje we Włoszech. Jak by nie było, wyjazd do Włoch jest kosztowny i wielu b. żołnierzy już dziś odkłada grosze na boczek. Uroczystości na cmentarzu Monte Cassino trwać będą jeden dzień (pierwotnie planowano dwa dni), a mianowicie 10 sierpnia. Prawdopodobnie dwa albo trzy dni później będzie specjalna audiencja u Ojca Świę-

tego w Castel Gandolfo i potem uczestnicy uroczystości będą mogli rozjechać się do gór przygotowanych i zarezerwowanych miejscowości dla spędzenia reszty wakacji. O tych planach szczegóły podane zostaną w odpowiedniej porze do wiadomości.

Komitet otrzymał już wiadomości o wycieczkach w specjalnie wynajętych samolotach z Kanady i ze Stanów Zjednoczonych. Takich wycieczek będzie sporo.

Komisja komunikacyjna, której przewodniczy J. Biliński, będzie także miała niemałe zadanie do wykonania. Musi bowiem zorganizować trasy samochodowe z kontynentu do Rzymu, z góry ustalić miejsca postoju na poszczególnych trasach, wydać instrukcje dla kierowców, zabezpieczyć wolne miejsca w samochodach dla osób, które zamiast koleją wolałyby pojechać samochodem, a później obsłużyć samochodową w rejonie uroczystości — z Rzymu do Monte Cassino i z powrotem. Planowany jest jakby rodzaj zjazdu gwiazdowego ze specjalną nagrodą za najdłuższą trasę itp.

Równie bogaty jest program komisji propagandowej. Planuje ona — jak referował red. Hęciak — przygotowanie specjalnego filmu kolorowego z uroczystości, który będzie później wyświetlany i oddany do dyspozycji wszystkich ośrodków polskich. Zapewniona będzie obsługa radiowa i prasowa. Planuje się wydanie rodzaju drukowanej „instrukcji“ dla uczestników uroczystości w której podany byłby szczegółowy program, wskazane byłyby miejsca dojazdu do hotelu, krótki opis walk o Monte Cassino, wreszcie wydana ma być — już po uroczystościach — „jednodniówka“ bogato ilustrowana. Nadto przewiduje się wystawę pamiątek z Monte Cassino, specjalną odznakę dla wszystkich uczestników, która byłaby widomym znakiem łączności między Polakami, wreszcie wydane być mają szkice (w najprostszej formie), które pozwoliłyby na miejscu zorientować się w fazach bitewnych o Monte Cassino i w nazwach szczytów górskich, na których toczyły się walki. Być może, że wydany będzie także specjalny album fotograficzny.

Wreszcie płk. Gnatowski z dumą stwierdził, iż zebrał już ponad £3.500, a zadeklarowanych ma ponad 4.500 funtów. Są to sumy poważne i pięknie świadczące o ofiarności Polaków. Pułkownik Gnatowski przedstawił także ka-

(Dokończenie obok)

STANY ZJEDNOCZONE A.P. O ile sowiecka pomoc sprzętowa dla Wietnamu Północnego oceniana jest na maksymalnie 1 do 2 miliardów dolarów, o tyle koszt bezpośredniego zaangażowania się Ameryki w obronie Wietnamu Południowego wzrósł do ok. 30 miliardów dolarów rocznie, jeśli się doliczy wartość zniszczonego sprzętu, który trzeba będzie częściowo nowym sprzętem zastąpić. Nie dziw, że wobec tego kredyty amerykańskiego resortu obrony rosną jeszcze gwałtowniej niż sowieckiego z tym, że Sowiety mogą niemal ich całość przeznaczać na własne zbrojenia, natomiast możliwości Ameryki pod tym względem — wbrew pozorom — kurczą się. Mimo, że od 1965 preliminarz budżetowy amerykańskiego resortu obrony wzrósł z 47,4 miliardów do 73 miliardów, czyli niemal o 26 miliardów dolarów! Mimo to i mimo zwiększenia stanów do 3,2 miona możliwości unowocześniania amerykańskiego arsenału są jeszcze ogromne. Zwłaszcza, że z niektórych kosztownych projektów zrezygnowano i pewne oszczędności wprowadzono. Odłożono np. budowę fantastycznie kosztownego systemu obrony przeciwrakietowej w nadziei (niechybnie płonnej), że uda się doprowadzić do odpowiedniego układu z Sowietami, oraz wstrzymano tak zwany „quick reaction alert 2“, czyli stałe trzymanie części lotnictwa strategicznego w powietrzu. Rzecz jasna, że do tego ostatniego zarządzania przyczyniły się także nieszczęśliwe wypadki w Palomares i Grenlandii oraz zmniejszenie groźby bezpośredniego konfliktu zbrojnego.

Rosnące wydatki na wojnę w Wietnamie odbiły się oczywiście także na wysokości pomocy gospodarczej i wojskowej dla zagranicy, która kiedyś przedstawiała wartość ponad 4 miliardów dolarów rocznie. W bieżącym roku administracja zażądała na ten cel tylko

lendarz imprez artystycznych i innych, z których czysty zysk przeznaczony będzie na Fundusz Monte Cassino.

Jak więc widzimy przygotowania są w pełnym toku. Organizatorów — zarówno w Londynie jak i w Rzymie — czeka ogromna praca. Zabrano się jednak do niej z wyjątkowym entuzjazmem. I nie tylko w Londynie, lecz wszędzie, gdzie żyją i działają byli żołnierze 2 Korpusu, oraz innych formacji wojskowych, które walczyły w ostatniej wojnie światowej. Tym wspólnym wysiłkiem uczczony będzie rok 1944, w którym przed 25 laty żołnierz polski, walcząc na licznych frontach, razem z Armią Krajową, spełniał swój obowiązek wobec Ojczyzny.

Paweł Hęciak

2,7 miliardy, a izby ustawodawcze obcięły tę pozycję do 1,9 mlr. dolarów.

O nowych typach broni i sprzętu dla wojska pisałem w marcu. Wobec tego ograniczę się dziś do nowości w dziedzinie lotnictwa, marynarki wojennej, środków sygnalizacyjnych i broni niekonwencjonalnych.

Jeśli idzie o lotnictwo, warto wspomnieć o tym, że znakomite samoloty bojowe „Phantom“ buduje się w 12 wersjach, że mimo kilku katastrof nie rezygnuje się z produkcji intercepcyjnych myśliwców „A-11“ o szybkości sięgającej 3 Mach i nocnych „A-7“, których zamówiono 182, a zrezygnowano jedynie z wersji „A-11“ dla lotnictwa morskiego, wreszcie, że wypróbowano prototyp olbrzymiego samolotu transportowego „C-5-A“ o 4 silnikach odrzutowych i 28 kołach w podziach. Pięć takich olbrzymów, których buduje się narazie 58, mogłoby przewieźć jednorazowo tyle sprzętu czy ludzi, ile przewoziło 142 transportowców „C-54“ podczas „mostu berlińskiego“ w 1948. Udźwig i zasięg tych kolosów umożliwia szybkie przewiezienie 120 ton na 5.000, a 45 ton na 10.000 kilometrów. Warto także wspomnieć o tym, że spośród 48.000 pilotów, w czynnej służbie zaledwie 22.000 znajduje się w eskadrach, a większość na funkcjach liniowych. Daje to ogromną rezerwę. Zwłaszcza, że ponadto jest około 100.000 pilotów w lotnictwie komunikacyjnym, sportowym i prywatnym. Poważnym osłabieniem lotnictwa strategicznego będzie za to bliskie już zlikwidowanie bazy lotniczej Wheelus w Libii.

W dziedzinie marynarki wojennej nowy sekretarz obrony, Clifford, kładzie główny nacisk nie tylko na pełne wykonanie programu budowy okrętów podwodnych o napędzie atomowym, ale także na dorobienie się szczególnie szybkich ścigaczy podwodnych. Spośród zaaprobowanych 70 atakujących okrętów podwodnych o napędzie atomowym połowa już pełni służbę, zaś spośród 41 okrętów podwodnych z ulepszonymi rakietami „Polaris“ — 38. Ponadto warto wspomnieć o wprowadzaniu nowego rodzaju torped „M-46“ o stałym paliwie, o wyposażeniu piechoty morskiej w amfibijne pojazdy gaśnicowe, które mogą pomieścić 24 uzbrojonych piechurów oraz o zatonięciu w dniu 21. maja na Atlantyku atomowego okrętu podwodnego „Scorpion“. Przyczyna tej katastrofy nie została dotychczas wyjaśniona. Wreszcie zasługują na wzmiankę takie sensacje, jak reaktywowanie z dniem 1 sierpnia pancernika „New Jersey“, który ma wziąć udział w bombardowaniu wybrzeża Północne-

go Wietnamu, oraz wspólne ćwiczenia „Fair game“ 6 floty amerykańskiej i floty francuskiej na Morzu Śródziemnym.

Również w dziedzinie broni niekonwencjonalnych nie ma całkowitego zastoj. Doświadczenia pod postacią podziemnych wybuchów atomowych są kontynuowane, a 26. kwietnia przeprowadzono nawet, jak się zdaje, eksplozję wodorową — co prawda aż 3.800 stóp pod powierzchnią ziemi. Potęgą tej eksplozji wynosiła ok. 1 megatony, była więc 50 do 60 razy potężniejsza niż bomb rzuconych w 1945 na Hiroszimę i Nagasaki. Warto też wspomnieć o tym, że Ameryka posiada już ponad 350 reaktorów atomowych, które m.in. produkują 2,6 milionów kilowatów prądu elektrycznego, a z czasem mają wraz z dodatkowo wybudowanymi wytwarzać 55 milionów kilowatów. Doniosłe znaczenie mogą również mieć prace nad uniezależnieniem wybuchów wodorowych od zapłonu atomowego. Ponadto A.E.C., której kredyty zwiększono o 213 milionów dolarów pracuje intensywnie nad dalszym zwiększeniem celności rakiet międzykontynentalnych i zabezpieczeniem ich przed dewiacyjnymi środkami potencjalnego przeciwnika, nad dalszym zmniejszeniem ich głowic oraz nad wprowadzeniem głowic umożliwiających łańcuchowe wybuchy („MIRV“), trzykrotne dla rakiet lądowych i dziesięciokrotne dla rakiet podwodnie wystrzeliwanych.

W Norwegii północnej ma być zbudowane (głównie kosztem Ameryki) olbrzymie „ucho sejsmograficzne“, składające się z centrali oraz 22 substacji po 25 sejsmografów, z zadaniem nadzorowania sowieckich wybuchów podziemnych. Sieć podsłuchowych stacji podwodnych na Atlantyku gęstnieje.

Kage

**ZBRODNIA  
KATYŃSKA**  
W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

z przedmową  
WŁADYSŁAWA ANDERSA

Cena: 35/-

**THE CRIME  
OF KATYN**  
FACTS and DOCUMENTS

Cena: 37/6

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

## ESEJ „O SZCZĘŚCIU”

1

JUŻ z dawna zamierzałem napisać o szczęściu. Wydawałoby się, że sprawa to prosta: skoro istotnie mamy prawo do szczęścia, skoro happiness is our birthright — to coś łatwiejszego, niż zdawałoby się, jak napisać o czymś co jest pono przyrodzonym naszym prawem, co się nam należy, co powinno przychodzić instynktownie. Ale właśnie fakt, że tak trudno jest pisać o szczęściu — że jest to rzecz tak wieloznaczna, tak nieuchwytna, rzuca jakby cień na optymistyczne rozeznanie, że mamy prawo do szczęścia, że szczęście jest czymś ustalonym.

I to, że tak późno zabieram się do pisania o rzeczy, która — jeśli jest przyrodzona — powinna być dla nas dostępna i rozeznawalna wcześniej dowodzi, że o szczęściu można pisać dopiero z perspektywy doświadczenia, że trzeba wiele przemyśleć zanim się zdefiniuje swoje pojęcie o szczęściu.

Chciałem napisać książkę; teraz tylko esej; czy to wniosek, że wiedzę o szczęściu da się zamknąć w o wiele krótszym wersecie?

2

Nieuchwytny, wieloznaczny — czyż podlega aksjomatowi, który wysnuł La Rochefoucauld w stosunku do miłości, a zatem, że jest ona jak duchy, o których wszyscy mówią, ale nikt ich nie widział? Sceptyczny cios La Rochefoucaulda wydaje się być albo niecelny, albo zbyt płytki: bo wiemy — z doświadczenia i obserwacji — że miłość istnieje nawet jeżeli przyłożymy do niej najsurowszą próbę i miernik. Wiemy o tym; miłość jest wysiłkiem i zachwytem, ofiarą i oddaniem, uprawą i porywem. Wiemy, że miłość istnieje: zaprzeczenie tej prawdzie podcina korzenie naszego życia: nie tylko uderza w nie przez to, że kwestionuje miłość naszych rodziców, naszych matek, ich ofiary i poświęcenia — ale w nasz własny, serdeczny wysiłek, w nasz ból i troskę, w nasze najlepsze trudy. Nie potrafimy pozbyć się tego: gotowiśmy wyprzeć się niemal wszystkiego tylko nie te-

go: żeśmy nie kochali, że nas nie kochano. Jest cena, której nie potrafimy zapłacić: wyparcia się miłości.

3

Ale szczęście? To nie jest sprawa tak prosta, albowiem nie wchodzi tu w grę sprawa naszego jakby honoru, poczucia wartości, sensu życia; tutaj — czujemy instynktownie — rzecz jest w nas, ale i poza nami — jest to gra, zależna nie tylko od nas, ale jeszcze od sił i układów, nad którymi nie mamy panowania. Czujemy, że szczęście jest na łasce losu, że może — przy największym wysiłku — nie zostać osiągnięte; wiemy natomiast, że przy olbrzymim wysiłku, przy maksymalnym wysiłku — osiągamy stan zwany miłością. Wysiłek jest wiarą, ale nie w szczęściu. Przychodzi ono — zdaje się — bez zaślugi nieraz, bez wysiłku.

4

Językowo, filologicznie daje to ciekawą analizę (nieraz takie filologiczne badanie odsłania filozoficzny sens pojęć). Język słowiański — polski na przykład — łączy słowa **chance** i **happiness** i **bonheur** w jedno: „miał szczęście“ — czyli udało się; że „zaznał szczęścia“. Niemiecki podobnie: „er hat Glück gehabt“ — „er war glücklich“. Ale francuski już daje wyraźne rozróżnienie: „Quelle chance“, „avoir de la chance“ i „bonheur“; podobnie angielski idący w ślad za francuszczyzną: „he had luck“, „he was lucky“; ale „he is happy“.

Języki te zatem wprowadzają rozróżnienie w pojęciu losu, trafu, chance — a stanu zwanego szczęściem. Czyli sugerują, że i szczęście, **bonheur**, **happiness** — zależne są od trafu, od losu „od szczęścia“, czyli właśnie trafu.)

5

W tym filozoficznym rozróżnieniu tkwi, jak mi się wydaje, — głęboka mądrość, jak nieraz w tego rodzaju

1) Francuskie słowo **bonheur** spokrewnione z „bonne heure“ (jego skrót) sugeruje przelotność szczęścia.

zróżnicowaniach definicyjnych, w głębiach językowych ujęć, które stanowią jakby petryfikację długich wieków ludzkiego zastanawiania się i szamotania z sensem słów.

Shczęście, traf; miał szczęście, hat Glück gehabt, avoir de la chance. Być może, że w tym ujęciu — że w przypisaniu trafowi, losowi tak wielkiej roli, jeśli chodzi o pewne ludy i narody skonkretyzowało się ich doświadczenie, raczej negatywne, jeżeli chodzi o szczęście? A zatem, że nie ufają one szczęściu jako czemuś stałemu, że uważają je za rzecz kaprysu, przypadku? A że narody łacińskie patrzą przychylniej na szczęście, że uważają je za rzecz łatwiej pochwytną, za coś bardziej naturalnego, co nam przysługuje, co nam się nawet należy.

Czy w tych różnicach definicji szukać należy odbicia różnic jakie istnieją między rasami północy i południa — te pierwsze uczące się sztuki życia, te drugie bardziej instynktownie umiejące żyć, mające w palcach sztukę życia, joie de vivre?

6

Jakkolwiek by się ta rzecz miała, pozostaje faktem, że istnieje zasadnicze rozróżnienie między szczęściem-trafem, a szczęściem-stanem i że pokrewieństwo tych dwóch pojęć dowodzi, iż łączy się pojęcie szczęścia, bonheur, happiness — z czymś co nie trwa, ale jest lotne, co nas nawiedza, co spada jak traf, jak los. Co się wygrywa na loterii, co wyciąga się jak los, co jest „do wzięcia“ — albo daje się wziąć: nawet może siłą.

Element niestałości, trafu, przypadku wydaje się być nierozłącznie związany ze szczęściem jako stanem, doświadczeniem, czy przeżyciem.

7

Każdemu, kto zastanawia się nad pojęciem szczęścia<sup>2)</sup> przychodzi na myśl legnda czy bajka czy przypowieść o człowieku, szukającym szczę-

2) Demokryt postawił bodaj pierwszy 2400 lat temu pytanie: na czym polega szczęście?

ścia, któremu powiedziano, że musi włożyć na siebie koszulę człowieka szczęśliwego. Szukał on długo i wszyscy ludzie, których zapytywał wyznali, że dalecy byli od szczęścia. Aż wreszcie, gdy spotkał człowieka, który wyznał mu, że jest szczęśliwy, osobnik ten nie miał koszuli.

Ta przypowieść jest bogata w sens; ma kilka pokładów znaczeń. Mówi po pierwsze, że poszukiwanie szczęścia jest odwiecznym zajęciem, co więcej, że szczęścia trzeba szukać jak czegoś **straconego** albo czegoś, co nie jest nam dane, czego się nie znajduje zaraz, przy narodzeniu z pierwszym oddechem. Po drugie, że większość ludzi chyba niemal wszyscy i to zarówno możni, potężni jak i ci mniej wpływowi, nie jest szczęśliwa. I że wreszcie: szczęście gnieździ się w ubóstwie, w biedzie; innymi słowy (zwrot to oczywisty) pieniądze nie dają szczęścia..

## 8

Wielokrotnie popełniamy kardynalny błąd biorąc pragnienie jednostek, lub pewnych grup czy warstw za rzecz powszechną; imputując myśli, tęsknoty i chęci elity czy wyjątków. Ale w tym wypadku wydaje się, że opowieść czy przypowieść nie jest wymysłem elity, ale raczej czymś „popularnym“, że może być starą przypowieścią ludową. Istotnie w rozlicznych bajkach i pojęciach, w legendach ludowych, w ludowych porzekadłach spotykamy motyw szczęścia i szukania szczęścia (kwiat paproci, klejnot, przedmiot wysokiej ceny, pierścionek itd.). A zatem wszystko wskazuje na to, że szczęście jest przecuciem lub świadomością mas — że jest własnością powszechną, że drzemie jako sen, marzenie w człowieku pod rozmaitymi szerokościami geograficznymi i zestawami gwiazd. Czy jest to tęsknota za tym co było? Za rajem utraconym? Za tym, co trzeba na nowo odszukać? za **illo tempore**, za stanem ludzkości? Zanim człowiek odszedł od Bóstwa? „Zanim się stało to, co nas pożera“ jak pisał Kasprowicz „Hymnach“? Zanim nastał czas i śmierć?

## 9

Pytania tego nie możemy rozstrzygnąć. Ale przyjąć należy, że w wielu wypadkach — indywidualnych i zbiorowych — nurtuje świadomość człowieka, myśl, przecucie (na progu świadomości, lub pod jej progiem), że był w naszym życiu czas szczęścia (dzieciństwo, niewinność), który trzeba odzyskać, że był w historii człowieka czas szczęścia, okres rajski, do którego należy wrócić. Ze

wiele wysiłków naszych nacechowanych jest wolą powrotu do tego stanu (niewinności, nieświadomości); iż uważamy, że doświadczenie, a nawet mądrość jest obciążeniem i że powrót w stan jakiejś pierwotnej niewinności jest szczęściem. Zgadza się to z naszą wizją raj — bezgrzesznej świadomości.

A raj to nic innego jeno jeden z najstarszych symbolów szczęścia, stanu szczęśliwości.

## 10

Wizja raj, wizja utraconego szczęścia i wola odzyskania raj — oto jedna z najpotężniejszych obsesji, które trapią ludzkość; i trapią jednostki, dręczą nas samych. Te wizje i te obsesje stanowią napęd motoryczny wielu, bardzo wielu poczynąń ludzkich. Przekonanie, że jest jednak jakiś kraj szczęcia „za górą, za lasami“, że gdzieś jest „za siódmą górą, za siódmą rzeką“, że ma to być wyprawa w przeszłość raczej aniżeli przyszłość, że jest jakiś sekret szczęścia do wydarcia (smokowi, piekłu) — to przekonanie działało jako olbrzymi bodziec. Nawet jeśli jest to legenda, która utknęła w naszej krwi; jest ona pochodną naszego organizmu, jest jego fizjologią. A jeżeli jest to legenda to uznać ją należy za najpotężniejszą chyba jaką ludzkość wytworzyła ze swojej krwi, potu.

## 11

Uznajemy, że istnieje jakiś obiektywny miernik; jakiś osiągalny horyzont; jakiś stan spokoju, harmonii, który człowiek może osiągnąć, który człowiek osiągał. A zatem i my możemy tam dojść.

Shczęścia nie potrafimy określić nieraz latami, a jeżeli — to fragmentarycznie albo rozmaitymi miernikami zależnej od wieku życiowej koniunktury, istnienia, celów (miłość, dorobek, sława, rozkosze, dzieci, twórczość, religia, Bóg); ale przed możliwością zdefiniowania czujemy niejasno, że jest coś, co nazywa się

szczęściem, wartości obiektywnie, sprawdzalne, osiągalne. Forma tej wartości może ulegać zmianie, ale sens jej trwa: i wtedy wiemy, że byliśmy szczęśliwi, albo, żeśmy szczęścia nie zaznali, że nie było nam danym być szczęśliwymi.

## B.D.I.C

## 12

Czy mamy prawo do szczęścia? Czy jest to nasze naturalne, przyrodzone prawo? Czy jest to tylko niewczesna pretensja wobec losu, który nie chce nic wiedzieć o tym stanie?

Religie i filozofie walczą tu ze sobą. Ale nawet religie, które uważają ten żywot za „padół płaczu“, za nędzny odbłask Wieczystego, za iluzję, za parodię prawdy — pcha buddyzmem, który przechodzi mimo tego, chociaż mówi o stanie spokojnego szczęścia jako zgody na wyrwanie się z zamkniętego koliska bytu, nawet i one uważają, że po śmierci, po przekroczeniu progu tego życia zaczyna się era autentycznego szczęścia niebiańskiej szczęśliwości. Oczywiście, dla sprawiedliwych i wybranych, innych czeka nieszczęście potępienia. Raj muzułmański operuje ponętami tego świata: haremem wojownika. Niebo chrześcijańskie mówi o świetle wiekuistym; mówi o ciału zmartwychwstaniu, stawiając przez to pod znakiem zapytania pogardę dla ciała jako dla naczynia wszelkiej nieprawości.

Można zatem przyjąć, że gros religii, które nawet patrzą najbardziej krytycznie na ten żywot, na ten stan bytu, nawet one operują pojęciem szczęścia: co więcej, — szczęście, chociaż zaziemskie — stanowi motor i magnes tych religii. Wobec mas i to przez wieki ta wizja szczęścia, którego nie sposób sprawiedliwemu otrzymać na ziemi, ale które czeka go po drugiej stronie; ta wizja stanowiła olbrzymią siłą atrakcyjną religii, pozwoliła umierać milionom w aureoli nadziei, a nie zwątpienia i rozpacz, wprowadziła korekturę w ich myśli, podnosiła ich na duchu słowami: „tak, teraz cierpię, ale potem...“, „tak, dzisiaj tu na ziemi nie ma sprawiedliwości, ale tam Bóg wyrówna... tam będzie inaczej“. Maluczy tej ziemi pocieszali się od wieków wizją dobrą, piękną, wspaniałości, które ich czekają po drugiej stronie życia.

(Dokończenie na str. 28)

Filozofie, teorie filozoficzne, księgi mędrców i nie-mędrców, książki pisarzy natchnionych i tych co tylko parali się rzemiosłem, pisarzy i skrybów — a może trojakiej, by przyjąć największy skrót. Jedne patrzyły na życie pesymistycznie, jako na kłębowski fałszu, jako negację prawdy, jako otchłań zła, — na człowieka jako na kukłę namiętności i przechodziły mimo szczęścia, odpychały z pogardą niemal wołanie o nie. Jeżeli zaś uznawały, że jest tęsknota do szczęścia uważały za „ein Knalleffekt der Natur“, za iluzję, za samo-oszukiwanie się. Druga szkoła, z grubsza biorąc uznawała, że jednak człowiek nie tylko marzy o szczęściu, ale ma prawo do niego — że będzie dążył bo to jest jego wielka tęsknota i że tu, za życia, na ziemi szczęście można osiągnąć. Pogaństwo patrzyło sceptycznie w zaświat: „w krainę cieni mglistych zarysów“. „Czemu, ach, czemu świat opuściłeś i słońcu uciekleś jasnemu?“ wołał druh bojowy pod adresem Achillesa, który padł w boju; i cała starożytność jest w tym zawołaniu, które mówi, że ziemia i życie to piękno, że ciało to jedyne naczynie, a reszta to niewiadoma, to złuda, to niepewne światło, które prowadzi w najlepszym razie w byt odcielesniony, byt cieni. Chyba tylko misterya — jak orficzne — przełamwały ten krąg i obiecywały po śmierci życie w pełni.

Pogaństwo i kraje Morza Śródziemnego, oto afirmacja życia i szczęścia. Dlatego chyba, że stoją na gruncie wolności ciała, piękna, realności piękna, wielkiej pociechy ziemi, jako dawczyni łask zmysłów i umysłu. One uznają szczęście jako stan i jako dążenie; i wiedzą jak jest kruche. Dlatego tak cenne.

## 14

Pogańska, przyrodzona wiedza życia, tak bliska instyktom i zmysłom, mówi nam, że tak, możemy osiągnąć w życiu szczęście, że szczęście to jest czymś prostym, opartym na prostych zasadach, ma smak rzeczy prostych jak chleb, jak wino, jak oliwki; na śnie w upale siesty, na dotknięciu wody — na tym wszystkim co w warunkach cywilizacji miejskiej staje się czymś martwym, jałowym, nieodróżnialnym. I to jest chyba pierw-

sze szczęście: szczęście bycia, albowiem wszystko co jest poza przełęczę życia jest niepewne, niesprawdzone. Że tylko prawda zmysłów jest prawdą; dotykana realnością, dobrym najwyższym. Że cudowna jest nawet powtórka takich rzeczy jak wschód i zachód słońca, jak codzienna rutyna rzeczy; że życie jest w sobie samym cudem i zachwytem, że jest źródłem wszystkiego, co nadbudowane i dodane dla konstrukcji myśli i ducha. Że z krwi naszej bucha zachwyty i poezja, mistyczne poczucie Bóstwa. Że samo życie jest szczęściem, a zatem, że nie jest to fragment, ale stan; nie oderwana chwila, ale **continuum**.

## 15

Takie integralne traktowanie życia, które zrównuje się z szczęściem jest raczej rzadkością; na pewno nie regułą. Na ogół bowiem przeważa sąd, że szczęście jest czymś ulotnym, zwiewnym; że jest czymś co trzeba chwytać, łapać; że jest stanem krótkotrwałym, że tonie w szarości dnia, że jest czymś oderwanym od „życia“, które jest szarą powtórką banału, ustawicznym rozczarowaniem.

Ten romantyczny pogląd na szczęście jest bardzo powszechny. A zatem, że szczęście jest darem krótkotrwałym; raz zaznane każe nam stale tęsknić za sobą. Że szczęście jest darem chwili; ale że najpiękniejsze nasze odruchy, nasze pragnienia tak żywe w młodości giną w „szarzyźnie dnia“, że nasza miłość okazuje się nie tym o czym myśleliśmy; że uczucia powszednieją, błędna, że w pogoni za nowością zatracamy ich sens — i że dlatego szczęście, to marzenie o nim; to pragnienie przed realizacją, że realizacja przynosi rozczarowanie. Ten romantyczny pogląd na świat umocniony potężnie przez literaturę, która rekrutuje się z ludzi wrażliwych, odczuwających szczególnie silnie kontrast pragnień i realizacji.

## 16

Recepty na szczęście są tak liczne, że trudno je tu wyliczyć. Ale warto wspomnieć o kilku. Jedna mówi, że warunkiem szczęścia jest przede wszystkim zdrowie i że choroba to najgorsze w życiu nieszczęście. I kto wie, czy ta prosta zasada nie jest bliska prawdy.

Inna zasada głosi, że szczęście tkwi w umiarkowaniu, w „złotym

środku“, w kompromisie sił. W unikaniu przesady. Przeciw niej występuje zasada skrajna, która mówi, że właśnie szczęściem są skrajności — potrzeba wysilenia się aż do ostatka, która tworzy takie ryzykanctwa, jak alpinizm, samotne wyprawy, ryzyko sportowe. Ta potrzeba dochodzenia do granic wytrzymałości; to dotykanie ściany ostatecznego wyczerpania, kojarzenie śmierci z życiem (jak w wielkiej miłości) jest religią szczęścia wybranych raczej aniżeli mas.

Inna teoria powiada, że szczęście, to „polaryczne napięcie“, to napięcie między ostatecznościami nadziei i rozpaczy, miłości i nienawiści — to poczucie pełni, które wynika z tych napięć, że przekonanie, i że są w nas wszystkie siły i energie, że dopiero gdy żyjemy ich pełnią, jesteśmy szczęśliwymi. Ta teoria, że „szczęście to nie jeno pełnia“, jak powiedział Mickiewicz w jednym z listów z okresu lozańskiego, jest przeciwieństwem teorii romantycznej szczęścia jako snu, który unika życia, jako czegoś z „życia“ wydobytego i odłączonego w autonomicznym świecie rojeń.

Teoria anty-romantyczna to ta również, która głosi, że szczęście to pełnia, self-expression; twórczość, która daje nam przede wszystkim szansę self-expression. Że najgorsze jest niewypelnienie swoich możliwości, zmarnowanie swoich zdolności, zaduszenie się od pragnień. Ta teoria stosunkowo nowa i wyrosła zarówno na tle kataklizmów wojen, jak i dociekali psychologii, ma szczególne znaczenie.

## 17

— Szczęście nawiedza nas wtedy również — zwłaszcza tych skłóconych ze sobą i ze światem, tych wymagających i niespokojnych — kiedy czujemy się w zgodzie i z sobą i ze światem; kiedy dochodzi do wielkiego pogodzenia i z sobą samym i ze światem. Kiedy opadają pretensje i żale wobec siebie i innych; kiedy dochodzimy do wniosku, że tak być musiało, jak było: i tak było dobrze; kiedy nie żądamy od siebie niczego, nie spinamy już konia ambicji ostrogą; kiedy czujemy się częścią olbrzymiego procesu dziania się i przemian; globalną częścią, pędzącą w gorącej żyłę życia. Kiedy nie chcemy niczego od innych, od świata; kiedy rozumiemy, że życie jest darem i łaską i że bodaj wszystko — albo bardzo wiele — to łaska i dar. (C.d.n.)

15-LECIE S.P.K.  
W STANACH ZJEDNOCZONYCH

W bieżącym roku przypada 15-lecie SPK w Stanach Zjednoczonych. Albowiem w czerwcu 1953 roku odbył się pierwszy Zjazd w Nowym Yorku przy udziale 59-ciu delegatów z 17-tu Kół żołnierskich, reprezentujących 1150 członków, przeważnie zamieszkałych w Stanach wschodnich i środkowych.

Dzisiaj Koła SPK są na całym terenie Stanów Zjednoczonych od Bostonu i Washingtonu nad Atlantykiem do Los Angeles i San Diego nad Pacyfikiem, od Miami na Florydzie po Buffalo nad jeziorem Ontario. Liczba Kół SPK i członków wzrosła w ciągu tych 15-tu lat prawie trzykrotnie. Mimo upływu czasu, w ostatnich 2 latach zapisało się do SPK 256 nowych członków.

4 Koła SPK mają własne domy społeczne: Cleveland Ohio, Chicago Illinois, Newark N.J. i Utica N.Y.

Większość Kół posiada własne lokale organizacyjne. Prawie wszystkie Koła mają sztandary organizacyjne i umundurowane poczty sztandarowe.

SPK w Stanach Zjednocz. zaczynało się organizować z kapitałem zerowym, a obecnie majątek Zarządu Głównego i Kół łącznie przekracza 100.000 dolarów. SPK w Stanach nigdy od nikogo nie otrzymywało zapomóg czy subwencji, przeciwnie — samo sporo świadczyło i świadczy na oświatę, na szkoły polskie, na prasę polską, czy na inwalidów wojennych.

Dzisiaj po 15-tu latach pozycja SPK jest znana i Amerykanom i Polakom. Byli żołnierze polscy zakorzenili się w tym kraju, weszli w życie amerykańskie, niczego nie zmieniając ze swego stosunku do przeszłości, do walki o niepodległość Polski, o całość jej granic i wyzwoleń spod ucisku Sowietów.

W roku przyszłym na VII Zjeździe SPK będzie obchodzona uroczystość 15-lecia, ale już dzisiaj nadeszły życzenia od byłych naszych wodzów, opiekunów duchowych i przełożonych. Nadeszła ich lista: gen. K. Sosnkowski, szef Sztabu 1-ej Brygady Legionów J. Piłsudskiego, były wódz naczelny Wojsk Polskich 2-ej wojny światowej, gen. W. Anders dowódca armii Polskiej w Rosji Sowieckiej i zwycięski wódz spod Monte Cassino, gen. K. Ziemski dowódca AK na Starym Mieście w powstaniu Warszawskim, prezes Zarządu SPK Federacji Światowej, ks. Biskup W. Rubin sekretarz światowego Synodu Biskupów i opiekun duchowy emigracji Polskiej, oraz Kardynał J.J. Król arcybiskup Filadelfii.

Życzenia prezydenta Stanów Zjednoczonych, L.B. Johnsona nadesłane na ręce prezesa S. Gierata przytaczamy w całości:

# Z ŻYCIA B.D.I.C POLSKIEGO

It is a pleasure to join the many friends of the Polish Combatants Association in tribute to the fifteen years of dedicated service you and your colleagues have given to your community and to this country.

We are humbled by the historic part so many of your members played as part of the Allied Forces during World War II. And we are particularly gratified by your support of our efforts to resist aggression in Vietnam, and to realize a just, honorable and enduring peace throughout the world.

## ZJAZD SPK BELGIA SKŁADA HOŁD GEN. S. GROT—ROWECKIEMU

XX Walny Zjazd Delegatów SPK Belgia obradował w dniu 23 czerwca br. w Brukseli. Był to Zjazd Sprawozdawczy. Władze SPK Belgia wybrane w ub. roku na 2 lata składały przed Delegatami sprawozdanie ze swojej rocznej działalności. Odbył się on w atmosferze powagi i aktualnych przeobrażeń zachodzących we współczesnym świecie. Głównym jednak motywem Zjazdu była 25-letnia rocznica aresztowania Gen. Stefana Roweckiego — „Grot”.

Po mszy św. odprawionej przez ks. dr K. Brzezina, kapłana SPK w kaplicy Polskiej Misji Katolickiej w Brukseli, Zjazd zagał prezes W. Drozdowski. Mówił on o Generale S. Roweckim-Grocie, pierwszym dowódcy AK aresztowanym przez Gestapo i zgładzonym w chwili, kiedy walka Armii Krajowej z okupantem zaczęła się w Warszawie.

Ks. K. Brzezina odczytał inwokację kombatancką, a w swoim powitalnym przemówieniu nawiązał do aktualnych przeobrażeń odbywających się dookoła nas. W imieniu SPK Holandia prezes J. Minkiewicz powitał Zjazd jako „sąsiadów zza miedzy”. Przemawiał również p. red. J. Drobnik, delegat egzekutywy Rady Trzech, p. S. Lebelt, sekretarz Zarządu Naczelnej Organizacji Wolnych Polaków w Belgii, p. E. Pomorski, prezes Związku Polaków, p. J. Rzemieniewski w imieniu Macierzy Szkolnej, p. J. Goppold składał życzenia w imieniu „Pogoni” i p. Merło w imieniu PAIRC i 1 Dyw. Panc. Pan S. Merło wesał Zjazd do uczczenia pamięci Kolegów-Zydlów kombatanłów przed 25 laty w Gettacie oraz Kolegów Żołnierzy Armii Krajowej, którzy polegli w drodze do Getta albo w samym Gettacie przenosząc broń lub ratując Żydów.

Prezydium Zjazdu zostało powołane w składzie: przewodniczący — p. J. Minkiewicz, sekretarz — p. S. Merło, aseso-

rzy: p. J. Braunowa i p. J. Czetwertyński.

Sprawozdanie z działalności Zarządu składali: p. W. Drozdowski, jako prezes, S. Merło — sekretarz i p. S. Lebelt, skarbnik. Przewodniczący Komisji Rewizyjnej, p. S. Bieńczycki odczytał protokół z odbytej kontroli ksiąg kasowych i gospodarki SPK Belgia. Następnie poszczególne Koła składały swoje sprawozdania. W roku sprawozdawczym powstało nowe Koło SPK Mons.

Zagadnienie statusu kombatanckiego i związanych z nim praw w Belgii było se oko dyskutowane. Kilkakrotnie robione były próby wznowienia dyskusji na ten temat z odpowiedzialnymi czynnikami belgijskimi, lecz zawsze delegacja SPK spotykała się z odpowiedzią, że to muszą załatwić Anglicy, bo byliśmy pod ich dowództwem.

Podniesiona konieczność popierania i wydawania KOMBATANTA W BENE-LUXIE po polsku i po holendersku. Wydawnictwo to spełnia b. ważne zadanie, nie tylko jako informator o pracach SPK w Belgii i Holandii, ale jako rzecznik sprawy polskiej. Zjazd żałuje bardzo, że nie ma tego wydawnictwa w języku francuskim.

Rezolucja XX Walnego Zjazdu Delegatów SPK Belgia:

„My, Delegaci XX Walnego Zjazdu SPK Belgia zebrani w dniu 23.VI 1968 r. w Brukseli:

1) Podkreślamy niezłomną postawę Narodu Polskiego trwającą od 30 lat w oporze przeciw nazizmowi i następnie komunizmowi;

2) Składamy hołd b. haterskiej postawie Ks. Prymasa S. Wyszyńskiego, duchowego przywódcy Narodu Polskiego;

3) W „Roku Deklaracji Praw Człowieka” ponawiamy apel do Komisji Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych, do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, do wszystkich organizacji kombatanckich alianckich — w sprawie wyzwolenia setek tysięcy Polaków znajdujących się nadal w więzieniach i łagrach sowieckich;

4) Prezydent Francji i rządy Norwegii i Izraela uznały obecną na Odrze i Nysie granicę za trwałą. Zwracamy się do innych państw o zajęcie takiegoż stanowiska.

5) Ostatnie wypadki w kraju świadczą o rozkładzie wewnętrznym reżimu komunistycznego. Młodzież polska czynnie protestuje przeciwko ograniczeniu wolności słowa i myśli. Potępiamy przśladowanie młodzieży i pisarzy polskich.

6) Akcja tzw. „syjonistyczna” reżimu jest nam obca. Potępiamy ją. Przynosi ona wielką szkodę narodowi polskiemu

(Ciąg dalszy na str. 30)

oskarżanemu niesłusznie o antysemityzm przez niektóre sfery na Zachodzie.

7) Wzywamy do bezwzględnego przeciwstawienia się akcji infiltracyjnej ZBOWiDu w nasze szeregi kombatanckie."

## KOMBATANCI W BELGII UCZCILI

### 50-LECIE ZAWIESZENIA BRONI

Niedziela 7 lipca w Nieuport nad Izerą zgromadziło się ponad 10 tysięcy kombatanów belgijskich, francuskich, angielskich, amerykańskich i polskich. Przeszło 2.000 sztandarów z I-ej i 2-ej Wojen Światowych wzięło udział w defiladzie przed królem i królową Belgów w otoczeniu członków rządu, senatu i parlamentu oraz reprezentantów Francji w osobie ambasadora i Anglii — attache militaire.

Po mszy św. odbyła się defilada. Za delegacjami francuskimi szły sztandary i delegacje British Legion, American Legion, SPK, w grupie polskich kombatanów z Francji i tysiące sztandarów belgijskich z obu wojen. Grupę polską prowadził p. S. Merło w ilości 15 sztandarów i 12 delegatów. Z Belgii wzięły udział Koła SPK: Bruksela, Liege, Charleroi, Eisden, Beringen i Związek byłych Żołnierzy z Gandawy.

Po defiladzie przed pomnikiem króla Alberta I, w obecności króla i królowej, którzy pierwsi złożyli wieniec, odbyła się ceremonia składania wienców przez osobistości ze świata dyplomatycznego, rządu i kombatanów alianckich i belgijskich. W imieniu SPK — wywołany przez mikrofon w językach francuskim i flamandzkim — wiązaną kwiatów, przewiązaną wstęgą białą-czerwoną z napisem „Féd. des Anc. Comb. Polonais Libres de Belgique — SPK Belgia“ złożył p. S. Merło.

Następnie pod pomnikiem francuskim odbyła się dalsza część programu. Przedstawiciele Francji, Anglii i rządu belgijskiego złożyli wieniec po podniosłym przemówieniu ambasadora, hr. de Crouy-Chanel. W imieniu 1 Dyw. Panc. kwiaty złożyli p. S. Merło razem z p. R. Łuczakiem, jako delegaci Zw. Kół b. Żołn. 1. Dyw. Panc. na Belgię.

Po zakończeniu uroczystości w Nieuport-Miasto po południu na Nieuport-Plaža nastąpiło uroczyste dekorowanie chorążych obecnych w tym dniu ze sztandarami. Zostali odznaczeni medalem pamiątkowym z wizerunkiem króla Alberta I i króla Baldwina i napisem „Nieuport 1968“, a na odwrocie medalu — „Wapenstilstand — Armistice 1918—1968“ zawieszono na fioletowej wstążce następujący chorążowie SPK Belgia: p. K. Ullman (Bruksela), p. J. Pawlak (Liège), p. J. Hnyda (Charleroi), p. K. Brzeźniowski (Eisden), p. K. Wacho-

wiak (Beringen) i p. J. Warchoń z Gandawy.

Pokazy skoczków spadochronowych oraz defilada przed osobistościami zgromadzonymi na trybunie m.in. p. S. Merło i p. R. Łuczak zakończyły formalnie uroczystości tego dnia. Wieczorem odbył się wielki Bal „Armistice“, który zakończył się nad ranem dnia następnego.

## 25 ROCZNICA ZGONU GEN. SIKORSKIEGO — W SZKOCJI

Towarzystwo Społeczno-Oświatowe, które jest właścicielem Domu Polskiego im. Gen. Wł. Sikorskiego w Glasgow, zorganizowało w dniach 6 i 7 lipca br. w lokalu własnym uroczysty obchód 25-ej rocznicy tragicznej śmierci gen. Władysława Sikorskiego na wodach Gibraltaru. Na uroczystości przybyła Pani Helena Sikorska.

Dzięki poparciu Kół SPK w Szkocji obchód przeobraził się w manifestację, która ogarnęła wszystkie większe środowiska polskie w Szkocji; w przeddzień uroczystości w kościołach polskich parafii w Edynburgu, Falkirk, Glasgow i Kirkcaldy odprawione zostały nabożeństwa za spokój duszy Generała.

Dnia 6 lipca w Domu Polskim p. Helena Sikorska w towarzystwie arcybiskupa Glasgowa ks. James Donald Scanlana dokonała otwarcia wystawy pamiątek po śp. Generale, zgromadzonych przez dr Leona Koczego i jego małżonkę, po czym Komitet Organizacyjny wydał przyjęcie, w którym wzięli udział: p. Helena Sikorska, ks. arcybiskup Scanlan, przedstawiciele miasta Glasgowa, Kół SPK, Kół Inwalidów P.S.Z. w Edynburgu i Glasgowie, Koła Spadochroniarzy w Leven i Koła Marynarki Wojennej w Glasgowie. Serię przemówień w czasie przyjęcia zapoczątkował honorowy Prezes Towarzystwa Społeczno-Oświatowego, inż. Władysław Kot, oddając z kolei głos p. Helenie Sikorskiej, która w ciepłych i serdecznych słowach podziękowała organizatorom obchodu za olbrzymi wysiłek włożony w przygotowanie całości imprezy, zakreślonej na tak szeroką skalę. Zabrali również głos przedstawiciele zarządu miasta Glasgowa, podkreślając wielkie zasługi śp. Generała Sikorskiego, jako Naczelnego wodza i męża stanu. Niezwykle serdecznie wyrazili się o polskich skupiskach w Szkocji, podkreślając z naciskiem, że nie tracą nadziei, iż sprawa polska niewątpliwie będzie tak rozwiązana, jak tego wymaga dobro Polski i całej Europy.

Dnia następnego odprawiona została w kościele św. Patryka uroczysta msza święta na intencję niepodległości Polski. W godzinach popołudniowych odbyła się w Domu Polskim uroczysta Akademia

przy udziale p. Heleny Sikorskiej, licznych zaproszonych gości oraz rzeszy Polaków i Szkotów.

Okolicznościowe, wspaniałe przemówienie w języku polskim wygłosił dr Henryk Grossman, a w języku angielskim — mgr. W. Poraj-Wojciechowski. Obaj mówcy zgodnie podkreślili olbrzymią stratę spowodowaną przez śmierć gen. Sikorskiego przypomnieli położone przez Niego zasługi w toczonym wojnie z Niemcami, podając oceny Jego postaci, jako wodza i męża stanu, przez wybitne osobistości całego świata.

Uzupełnieniem programu Akademii były okolicznościowe deklamacje mgr. L. Bednarka i W. Studzińskiego.

Obchód odbył się pod protektoratem Pani Heleny Sikorskiej, a Komitet Honorowy obchodu stanowili: ks. biskup dr Władysław Rubin, gen. Stanisław Maczek, gen. dr Marian Kukiel, ks. inf. dr L. Bombas, ks. prałat J. Brandys, prof. dr Leon Koczy, ks. kanonik J. Gruszka i inż. Władysław Kot. St. Bł.

## 20-LECIE SPK W GLASGOW

Spółceństwo polskie w Glasgow przeżywało znowu wielki dzień. Tym razem już nie uroczystości milenijne, a 20-lecie istnienia miejscowego Koła SPK było powodem zjazdu wielu dostojnych gości oraz kombatanów z Preston, Bradford, Kirkcaldy, Sheffield, Dundee, Perth, Edynburga, Cowdenbeath i Alloa oraz z Londynu, z którego przybyli: przewodniczący Rady Głównej Federacji Światowej SPK gen. K. Głabisz, prezes SPK W. Brytania St. Soboniewski oraz P. Hęciak — prezes Zjednoczenia Polskiego.

Kulminacyjnym punktem uroczystości było poświęcenie nowego sztandaru dla Koła SPK w Glasgow. Aktu poświęcenia dokonał ks. bisk. dr Wł. Rubin, który w tydzień później wyjechał na Kongres Eucharystyczny do Kolumbii, gdzie przy okazji odwiedzi nie tylko Polaków w tym państwie, ale także w Chile, Argentynie i Brazylii.

Uroczystości połączone były jednocześnie ze Świętem Żołnierza. Protektorat nad uroczystościami przyjął: arcybiskup Glasgowa, J.E. ks. James D. Scanlan, J.E. ks. biskup dr W. Rubin, delegat Prymasa Polski i gen. dyw. S. Maczek, b. dowódca I Korpusu Polskiego w Szkocji. Organizacja uroczystości spoczywała w rękach: M. Brodziński — przewodniczący, S.A. Zmijewski — wiceprzewodniczący, S. Klimowicz — sekretarz, J. Garbarz — skarbnik oraz B. Janda, B. Michnowicz, E. Staśkiewicz, W. Studziński, dr B. Indyk i W. Zdanowicz.

O godz. 12-tej w południe odprawił ks. bisk. Rubin uroczystą Mszę św. w katedrze św. Andrzeja, w obecności ks.





Gen. K. Glabisz, prezes Rady Głównej Federacji Światowej SPK odebrał z rąk gen. S. Maczka nowopowoświęcony sztandar. Aktu poświęcenia dokonał ks. bisk. Wł. Rubin (z lewej). W środku gość honorowy uroczystości ks. arcybisk. James S. Scanlan.



W czasie akademii w Glasgow: przy stole z lewej: ks. bisk. dr W. Rubin, ks. arcybiskup Scanlan i gen. S. Maczek. Z prawej: zarząd Koła i poczet z nowopowoświęconym sztandarem Koła SPK w Glasgow. Z lewej poczty sztandarowe sąsiednich Kół SPK. Przy mikrofonie Alicja Korzeniowska deklamuje wiersz.

arcyb. Scanlana. Świątynia wypełniona była po brzegi. W czasie mszy św. przemówił od ołtarza najpierw ks. kan. Jan Gruszka, który powitał gości, następnie ks. arcyb. Scanlan, który w słowach pełnych przyjaźni i szczerzej życzliwości złożył życzenia z okazji święta żołnierza wyrażając nadzieję, iż nadejdzie dzień, że Polska będzie znowu wolna i niepodległa. Następnie wygłosił głębokie kazanie ks. bisk. Rubin, który jako były żołnierz cieszył się, iż może przemawiać do „braci-żołnierzy“, którzy nadal i wciąż zmierzają ku tym ideałom, o które walczyli w czasie wojny i których nie wyrzekli się. Żołnierz polski — mówił Ksiądz Biskup — dał w tej wojnie wszystko ze siebie i nie zawahał się przed największymi trudami. „Nie złożyliście broni — ducha i w dalszym ciągu dążycie po drodze do wolności ojczyzny“. Koło SPK w Glasgow jest jednym z naj-

ważniejszych polskich ogniw społecznych w tym mieście. Może ono spokojnie i z dumą patrzeć na to co do tej pory zrobiło. Są dwie wartości, których należy strzec: wiara i przynależenie do mistycznego Cała Chrystusa, a więc do Kościoła oraz dobro narodu. Przekazane nam zostało dziedzictwo wolności w tej tysiącletniej tradycji, jak i dziedzictwo wolności ojczyzny. W ciągu tego tysiąca lat duch narodu nigdy nie zagasł, nawet wtedy, gdy był zagrożony i tego nie wolno nam nigdy zapomnieć.

Po mszy św. odbył się wspólny obiad w Grand Hotelu z udziałem około 200 osób. W czasie obiadu przemawiali: ks. arcyb. Scanlan, wnosząc toast na cześć królowej, następnie prezes M. Brodziński, Baillie Frazer — w imieniu władz miejskich, ks. arcyb. Scanlan, prezes Stefan Soboniewski i na zakończenie ks. bisk. Rubin. Obydwom dostojnikom ko-

ścielnym odśpiewano „Sto lat“ oraz znaną szkocką pieśń: „Let ould acquaintances be forgot“.

Popołudniu odbyła się w Student's Union Assembly Hall Strathclyde University piękna akademii, która trwała ponad dwie godziny. I znowu przybyli wszyscy dostojnicy kościelni i inni goście, a wśród nich nasz „latający biskup“ — ks. bisk. Rubin, jak go nazwał ks. kan. Gruszka i co z humorem podjął ks. arcyb. Scanlan. Na tle pięknie udekorowanej sceny zasiedli dostojnicy kościelni i gen. S. Maczek. Na stole ułożony był sztandar, wspaniale wyhaftowany przez ks. Potoczego. Na sztandarze wyhaftowane są herby miast: Warszawy, Częstochowy, Lwowa i Wilna, pani A. Lessorowa namalowała obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, nadto wyhaftowane były barwy narodowe Polski i

(Dokończenie na str. 32)

Szkocji oraz znaki: St. Andrew i Pogoń. Sztandar prezentował się na prawdę imponująco. Po poświęceniu sztandar przekazywali sobie kolejno: gen. S. Maczek w ręce gen. Glabisza, i z kolei w ręce prezesa Brodzińskiego, który oddał go do rąk chorążego pocztu Wł. Studzińskiego, przy którym stali J. Garbasz i W. Zdanowicz.

Rodzicami chrzestnymi sztandaru byli: panie: Z. Brochwicz-Lewińska, M. Mglejowa, M. Janda, M. Studzińska, M. Klimowicz, M. Żmijewska i L. Pliszka oraz panowie: W. Gronkowski (Cowdenbegth), St. Kardach (Kirkcaldy), P. Kuźma (Dundee), L. Wojtczak, W. Kisielewski, J. Szpunar i M. Wasyliszyn — z Glasgow. Jednym z fundatorów sztandaru (złoty gwóźdź) był także Polski Klub z Alloa (prezes J. Bijak), którego nazwisko jedynie przez przeoczenie nie było wymienione w czasie odczytywania długiej listy fundatorów.

Symbolicznego wbijania gwoździ dokonali: ks. arcyb. Scanlan, ks. bisk. Rubin, gen. St. Maczek, gen. K. Glabisz, prezes P. Hęciak, prezes S. Soboniewski, Wł. Banasiewicz — Towarzystwo Społeczno-Oświatowe, E. Staszkiwicz — Stowarzyszenie Marynarki Wojennej, inż. Wł. Jędrasz — Związek Inwalidów Wojennych z Edynburga, St. Rajski — Związek Inwalidów Wojennych w Glasgow, M. Ignasiński — Polska Akcja Katolicka i mgr. Cz. Bobolewski — Towarzystwo Przyjaciół Kultury Polskiej.

Z kolei krótkie życzenia złożyli: ks. arcyb. Scanlan, ks. bisk. Rubin, gen. S. Maczek, gen. K. Glabisz, prezes P. Hęciak i przedstawiciel RAFu.

Dwa wspaniałe i niezapomniane przemówienia o znaczeniu sztandaru w życiu żołnierza i współżyciu polsko-szkockim na przestrzeni wieków wygłosili — prof. L. Koczy (w języku polskim) i mgr. W. Poraj-Wojciechowski (w języku angielskim). Kilka utworów Chopina na fortepianie odegrał R.D. Smith, a Alicja Korzeniowska wygłosiła wiersz Konopnickiej.

Przy dźwiękach hymnów polskiego i angielskiego pocztu sztandarowe zeszyły ze sceny i piękna uroczystość zakończyła się.

Wieczorem spotkali się uczestnicy całodniowych uroczystości raz jeszcze w salach klubu SPK.

Niech mi wolno na zakończenie wyrazić tylko jedno życzenie: aby na łamach „Orla Białego“ wydrukowano w pełnym brzmieniu głębokie przemówienie prof. dr L. Koczego o sztandarze „pod którym się walczy i ginie“ i „którego pod utratą honoru nie wolno oddać“, a co tylko poświęcony sztandar SPK — jak mówił prof. Koczy — winien być „powiernikiem wielkiej tradycji i chwały oręża polskiego“.

(p.h)

## Z TEATRU

# SŁONIMSKIEGO „RODZINA”

NA 50-lecie twórczości Antoniego Słonimskiego (ur. 1895) Teatr Polski ZASP wznowił w „Ognisku Polskim“ jego sztukę sprzed 35 laty. „Rodzina“ jest komedią satyryczną dającą sposobność do wielu paradoksów. Jest niewątpliwie najlepszą sztuką znakomitego poety-satyryka i humorysty, który kilka razy próbował swoich sił w zakresie dramatisarstwa, ale po „Rodzinie“ już nic szczególnie godnego uwagi dla sceny nie napisał. Jednak twierdzenie, jakoby „Rodzina“ była w ogóle najlepszą komedią polską jest przesadą, na którą może sobie pozwolić tylko ten, komu wszystko wolno sądzić jedynie według własnego widzimisie.

„Rodzina“ jest do pewnego stopnia ogólną rozprawą Słonimskiego z Polską wczorajszą i dzisiejszą, która zawsze mu była domem i jest nim nadal. Domem rodzinnym, na który patrzy się krytycznie, ale którego nigdy się nie wyrzeknie. „Rodzina“, aby być dobrą sztuką, nie musi być doskonałą. Doskonałe bywa wrogiem dobrego. Wystarczy, że jest komedią żywą, równie aktualną dziś, jak nią była wczoraj i przed wojną, kiedy powstała. A przy tym jest nie tylko zabawna, ale i z konieczności drażniąca. Świetny prysznik intelektualny, jakby powiedział kolega Słonimskiego, Kazimierz Krukowski.

Nie ma w tej komedii wiele z formy klasycznej, zawiązywania i rozwiązywania akcji, ale jest za to kalejdoskop scen, które rozwijają się i przechodzą jedna w drugą. A gdy wszystko zostaje odarte ze złudzeń, fałszów i pomyłek, następuje chwila poetyckiej zadumy nad pejzażem. Jest to ostra satyra na wszelkie odmiany rasizmu i brutalności. Dowcip Słonimskiego jest jak brzytwa. Tnie bez oburzenia. Po naskórku.

W zubożałym dworze lekkoducha — arystokraty, który bawi się w wynalazcę, córka jego potajemnie prowadzi pensjonat. Zajeżdża do niego hitlerowiec, w poszukiwaniu ojca, którym okazuje się być żyd-młynarz o sarmackim wyglądem. W tym samym czasie starosta i wojewoda starają się umieścić we dworze sowieckiego komisarza, jako oficjalnego gościa, przybyłego w odwiedziny do matki-żydówki, wdowy po zmarłym piekarzu, i okazuje się, że jest on nieprawym dzieckiem dziedzica. Tę galerię typów uzupełniają para mieszczańsko-pensjonariuszy, właściciel pralni z żoną, reprezentanci chamstwa i dorobkiewiczostwa. I dopełniają dworzanie: sentymentalno-staroświecka ciotka i para służby: durna dziewczucha wiejska i arogancki sługa, nieprawy

syn dziedzica. W epizodzie występuje jeszcze dwóch chłopów, z których jeden, ten który pomagał rząść powstańców — domaga się nagrody za swój „udział w powstaniu styczniowym“.

Jeden błysk oczu i jedna mina durnej dziewczyny wskazuje, że ofiarnie i anonimowo wcieliła się w nią prawdziwa artystka, mająca już za sobą znakomitą postać akuszerki w sztuce Mariana Hemara. Razem z odtworzoną postacią piekarki — matki komisarza — tworzy kreacja Ireny Kory-Brzezińskiej złudę prawdziwego teatru i innej reżyserii, niż pozostała część widowiska. Razem wzięwszy jest feralną trzynastką aktorów w 15 postaciach.

I tym razem reżyser Leopold Kielański łamał się w trudzie zgrania elementów prawdziwego aktorstwa z amatorem, choćby nawet szlachetnie pojętym. Nic zatem dziwnego, że ton komediowy raz po raz przejawiał się akcentami farsowymi. Urbanowicz, jako hrabia, dopiero w drugim akcie schwytał właściwy styl gry, i zyskał sobie poklask. Reszta zespołu starała się wywiązać z przypadającego nań zadania z mniejszym lub większym powodzeniem: R. Ratschka (Młynarz), J. Opieński (Wojewoda), S. Zieliński (właściciel pralni), M. Buchwaldowa (Ciotka) i M. Kiersnowski (służący). Z. Youriewski (hitlerowiec) grał z laską z powodu zwichnięcia stopy, co pomagało mu opanować krygowanie się, ale zwichnęło sylwetkę SS-mana.

Bardzo naturalną była Ewa Suzin (córka). Na ogół podobał się J. Bzowski („Powstaniec“).

Nie sposób winić kierownictwa teatru za brak talentów czy fachowego aktorstwa, którego niedobitki niszczą na innych, nieartystycznych placówkach. Natomiast na jego konto zapisać należy wybór sztuki i jej realizację w takich warunkach, jakie istnieją. To też może bliższym prawdy będzie powiedzieć, że „Rodzina“ Słonimskiego, wystawiona jako protest przeciw prześladowaniu wolności myśli i jako wyraz solidarności z prześladowanymi, otrzymała indygenat symbolu walki z zakłamaniem i przemocą. Dodaje jej to ciężaru gatunkowego, o który dąpowała się poważnioną z Słonimskim Karol Irzykowski. Dorobił się tego Słonimski na 50-lecie swego pisarstwa.

Widz nie może nie ulec urokowi atmosfery stworzonej przez projekt wnętrza dworu, (dzieło Tadeusza Orłowicza), podany w dobrym świetle przez F. Stawińskiego i nie bez pomocy Jana Smosarskiego. J. Ostrowski

# Migawki i refleksje z odczytu

B.D.I.C

TAM, —tu! I nie jedynie w polskiej naturze przemiana. Wszędzie, dokąd dotarł duch ostatniego Soboru, i słowo jego komentatorów. Można ją też było stwierdzić w sali Instytutu Gen. Sikorskiego, dnia 18.7.68. Tłumy ciekawych. Zabrakło miejsca, nawet stojąco. Obecni i dyplomaci, i ludzie nauki, i pióra. Dużo, bardzo dużo pań. Dopiero przy takich zebraniach łatwo stwierdzić wysoki odsetek doskonale się orientujących i znakomicie przygotowanych sawantek. Ich wystąpienia nadają dyskusji świeżości i powabu. Uderza nieobecność teologów

Na fotelu wykładowcy — ksiądz. Więc już z góry wyteżone oczekiwanie. Niekoniecznie radosne. Obawa usłyszenia dogmatycznej, niezachwianej prawdy przesłania wizerunek nowoczesnego, z prawami przyrody obeznanego wychowanka uniwersytetów i chętnego wchłaniaacza nowinek nadsekwańskich. Nazwisko egzystencjonalisty Sartra pada częściej aniżeli św. Pawła, któremu chrześcijaństwo swój byt zawdzięcza.

Redaktor Zagórski wprowadza ogółowi nieznanego prelegenta, ks. Stanisława Kluzę z Wiednia. Wstęp długi, ale pożyteczny. Z zastrzeżeń, aluzji i porównań z innymi światłymi duszypasterzami (zwłaszcza z prof. Bocheńskim) poczyna wylaniać się sylwetka człowieka ... niecodziennego.

Jakby go scharakteryzować krótko a dosadnie? Nie z sutanny ani habitu. Raczej protestancka prostota, nieznaczna surowość i wizjonerska separacja. Gdyby był poganinem, możnaby oczekiwać od niego wyznania Horacego: *Odi profanum vulgus*. (Nie noszę pospolitego gminu). Jego świat bowiem, to państwo humanitarne, zrównoważonego intelektu. Zastrzegł się nawet, że nie zamierza mówić o macach i pewnych osobistych doświadczeniach z nimi. Miał coś przykrego na języku i jakby w ostatniej chwili rozmylił się. Napiętnował jedynie faryzeuszostwo naocznych świadków brutalności wobec Żydów. Porzucił jednak szybko ten przykry dla niego temat. W swoim właściwym świecie porusza się z pewnością somnambulika. I sieje dobroć. Ktoś nazwał go „człowiekiem o gołęmb sercu“.

To nie ksiądz Piotr z „Dziadów“, który grozi i lży Ducha: *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen. Ego te exorciso, spiritus immune...* Nie! Nie chwytą za kropidło i, jak w dyskusji podkreślił, nie chce nawracać. Nie chce egzorcyzmem ratować duszy opętanego. Ks. Kluz raz tylko wspomniał

Freuda, a pominął zupełnie Junga, mimo że ten uważał utratę wiary za główną przyczynę neuroz. Freud nie był wojującym ateistą. Przeciwnie, zdobywał się na rzadką u niego pobłażliwość wobec takiej potrzeby. Iluzji, jak wiare nazywał, nie zamierzał burzyć. Prelegent wydaje mi się być również niepoślednim znawcą dusz i modnych środków docierania do niej. Prostych, niezmiernie prostych, tych, jakie zaleca właśnie psychoanaliza: rozmowy z chorymi czy grzesznymi intelektualistami. Grzesznymi? To ja tak ich nazwałem. Dla księdza to nie są zbłąkane owieczki. Nie zamierza ich nawracać wypróbowanymi sposobami. Pragnie jedynie prowadzić dialog z nimi.

Mundus vult decipi. (Świat pragnie dać się oszukiwać). I dobry ksiądz ludzi się, że w tej intelektualnej dżungli, którą cierpliwie przemierza, natknie się na jakiegoś świętego Antoniego czy Jana albo chociażby kiplingowskiego przemądrego niedźwiedzia Baloo. Nie, aby głosić im słowo Boże, ale na wzór św. Franciszka odnaleźć osamotnione dusze. O maluczkich, wyzutych, zapomnianych mówił kilkakrotnie i podkreślił, że sam Chrystus identyfikował się z nimi. I tak przypomniał mi się typ kapłana skazującego się na izolację wśród trędowatych lub dobrowolnie udającego się do obozu zagłady z gromadą.

Ale co pomogą najlepsze chęci? Dwunozny intelektualista nie będzie darzył poszukiwacza uwagą, a czworonóg zaszyje się w matecznik, aby uniknąć spotkania z ludźmi i nie być świadkiem ich poczynąń.

Powraca się chętnie do swych pierwszych miłości. To Leszek Kołakowski, nasz młody a tak wybitny filozof, ofiara ostatniej proskrypcji, zadał księdzu-prelegentowi. Na niego wskazywał z szacunkiem, jego ateizm widział tylko jako etap do ostatecznego przejrzenia i okolo jego osoby roztoczył aurę wyrozumiałości i ufności. Wspomniał i sławnego szekspirologa prof. Kotta, ale tylko krótko i chłodno.

Z pierwszej części odczytu wolno było wnioskować, że głównie ateizm intelektualistów niepokoi ks. Kluzę. Temu rozważaniu poświęcił stosunkowo niedługą część rozważań. Czy troska uzasadniona? Może dla misjonarza — tak, dla przyrodnika i socjologa — nie. O cięższe winy oskarża się intelektualistów. Tełrancja boska nie potknie się o ten kamień obrazy, jeśli wszystko inne będzie w porządku. Jeden z wybitnych intea-

ktualistów 19. stulecia, poeta Heinrich Heine, zmienił żydowską wiarę na protestancką. Przez całe życie kpił niemiłosiernie z wszystkich religii. Na łożu śmierci wyraził życzenie, aby go pochowano na katolickim cmentarzu. Kościół nie mógł odmówić życzeniu autora „Die Wallfahrt nach Kevlaar“ najpiękniejszego wiersza maryjskiego, jakim obdarzono ludzkość. Gdy na pogrzebie jeden z przyjaciół wyraził wątpliwość, czy Bóg wybaczy grzesznikowi, ofuknął go wysoki dygnitarz kościelny: „Czy sądzisz, że Bóg nie czyta wierszy?“.

Kilka razy padło nazwisko Tomasza Manna. Nie należy do moich faworytów ten aneksjonista z pierwszej wojny, po klęsce dopiero nawrócony na łono demokracji. Przy wzmiance jego „Czarodziejskiej Góry“ oczekiwałem przywołania Naphty. Postać zgoła fascynująca. Żyd-Jezuita (jak to pogodzić z regułą zakonu?), intelektualista do najwyższej potęgi, reprezentujący czarną reakcję i faszyzm, w symbolicznym pojedynku z włoskim humanistą Settembrini, usiłującym go nawrócić do demokratycznej Weltanschauung. W ideologicznej walce między życiem a śmiercią, zdrowiem a chorobą, wstecnością a postępem, która toczy się na kartkach tej potężnej książki, biorą udział najciekawsze typy bogatej galerii intelektualistycznej. Żałuję bardzo, że czarodzieje tej niezwyklej góry, zwłaszcza Naphta, nie zatrzymali nas dłużej.

Względami Dobrodzieja zdaje się cieszyć Franz Kafka. Wymienił go, jak również jego słynną powieść „Zamek“, już na początku prelekcji. Nic dziwnego. „Zamek“ jest prawdziwym „godsend“ dla wszystkich mistrzów szaradowych. Rozwiązań jest tyle ile głów. Prelegent uważa opowiadanie za alegrię stosunku człowieka do Boga. W takim wypadku nieosiągalny gród oznaczałby — wyższy autorytet Wszechwładcy, a więc pozycję usuwającą się spod kontroli i poznania człowieka. Nieco dowolne tłumaczenie, a chętnie przerzucane i na inną powieść Kafki „Proces“.

Wiara Kafki w Boga i w siebie samego była niezmiernie chwiejna. Natchnienie czerpał od protestanckiego buntownika Kierkegaarda. Interesowały go jednak więcej zagadnienia społeczne i osobiste. W jego szczerość nie wierzę a konsekwencji nie znajduję. Dla mnie pozostaje więcej szalbierzem aniżeli apostołem i za św. Mateuszem przestrzegam przed fałszywymi prorokami w skórze jagnięcia. Kafka wygląda mi na takiego.

(Dokończenie na str. 34)

Z rezygnacją wskazał prelegent na intelektualistów, którzy pogrzebali Boga. Czekaliśmy natomiast daremnie, aby wymienił Nietzschego i jego „Antychrysta“, mordercy Boga. Nietzsche, „niemiecko-polski szaleniec“ w określeniu G.B. Shawa, zmierzał do zastąpienia Chrystusa swoją osobą. Stąd bluźniercza aluzja „Ukrzyżowany“ w odniesieniu do siebie. Anektowali go i Hitler i Mussolini, mimo że żywił głęboką pogardę dla Niemców, a uznawał tylko kulturę Francuzów.

Dyspozycja do czytania nie sprzyjała łatwej orientacji słuchaczy. Wykładowca nawiązał w pierwszej części do intelektualistów, przyjmując, że każdy wie, jakie okazy ma na myśli. Powołał się na opinię wyrażoną w niemieckim „Spiegel“. Niestety, mało ludzi czyta to pismo w Londynie. Dopiero w drugiej części zabrał się do skrytykowania pojęcia „intelektualista“. Rezultat nie wypadł tak przejrzysty jak tego nieco skomplikowany przedmiot wymaga.

Należy przyznać, że wyczerpująca definicja nie jest łatwa, co w dyskusji zgodnie podkreślono. Ostatecznie podzielono śmiertelnych na ludzi „prostych“ i „wybitnych“. Tych pierwszych przemianowano na „inteligentów“, drugich zaś awansowano do godności „intelektualistów“.

Kierując się własnym doświadczeniem i wychuciem, pierwszeństwo oddałbym inteligentowi. Posiada zdrowy rozum, otwarte oczy i zdolność dostosowania się do sytuacji i warunków. Potrafi posługiwać się abstraktami i symbolami. Pilnie zbiera własne i obce doświadczenia, aby tak przygotowany, dorósł do zadań życia codziennego.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że intelektualista mógłby pod względem potencjalnego uzdolnienia konkurować zwycięsko z inteligentem. Poza tym wybija się, z reguły, na jakimś polu nauki czy sztuki. Jest często mistrzem dialektyki i zreżymie pokrywa swe błyskotliwe, czasem mgliste lub wręcz niedorzeczne idee, lawiną słów. Trudno im naśladować, a nie łatwo się oprzeć.

Zasadniczą różnicę między jednym a drugim widzę w fakcie, że inteligent zna granice swej kompetencji. Nie przekracza jej, a fachowca darzy szacunkiem. Intelektualista jest arogancki i zarozumiały. Wybiwszy się w jednej dziedzinie życia umysłowego, uważa wszystkie inne za otwarte pole do harców swego niespokojnego intelektu. Wtrąca się autorytatywnie do spraw, które są mu obce, nie uznaje nakazów i zakazów, jest nawet wyższy ponad prawo. Żaden absurd i konsekwencje tego nie wpłyną na zmianę stanowiska.

Wszystkie totalizmy korzystały z usług intelektualistów. Stefan George i

jego słynne „Kolo“ w Niemczech przygotowało grunt, długo przed pojawieniem się Hitlera. Profesorowie niemieccy byli gotowi na każde skinienie Rosenberga czy Himlera, artyści-Goebbelsa. Ich francuskie odmiany oscylują między ideałami, głoszonymi przez opatrnościowych Ho, Ma, Ché i Ca. Dają wzdzić się za nos bastardom typu Cohn-Bendit i pomagają im burzyć kapitalistyczny porządek świata. Amerykańscy uczeni zajmują się buntowaniem studentów i podminowaniem polityki kraju, który wyniósł ich na wysokie stanowiska, a wielu dał schronienie przed prześladowaniem w ich ojczyźnie.

Intelektualiści wszystkich krajów kokietują motłoch i wysuwają się niecierpliwie na czoło każdej destruktywnej awangardy. Jakże więc miejsce przyznać tym społecznym szkodnikom w dzisiejszym i przyszłym społeczeństwie? Chyba w dobrze strzeżonych rezerwach, gdzie pod kontrolą inteligentów mogliby swym talentem i odkryciami oddać przysługę ciężko doświadczanej ludzkości.

Kolportuje się chętnie pogląd, że wiara stanowi przeszkodę dla swobody intelektu. Wręcz przeciwnie. Erazm z Rotterdamu jest tego przekonywującym dowodem, i Baruch Spinoza, i Martin Buber. Kościół katolicki nie może uskarżać się, że zabrakło w jego gronie reprezentatywnych rycerzy intelektu. Humanitas (ludzkość) i pietas (obowiązkowość, miłosierdzie, pobożność) leżały na sercu trzem wielkim papieżom: Leonowi XIII, Piusowi XI i Janowi XXIII. Mogą służyć za naśladowania godny wzór humanistom i intelektualistom. Leon XIII mianował i nazywał „swoim kardynałem“ J.H. Newmana, swego czasu gorliwego Anglikanina i nieomylności papieską zwalczającego teologa. Pius XI przesłał błogosławieństwo umierającemu Bremondowi, zgoła nie ortoksyjnemu Jezuitcie i mistykowi, a Paweł VI orędziem konającemu Guardini'emu, kontrowersyjnemu politykowi-teologowi. Jan XXIII był uczonym najwyższej klasy. Swą historyczną mowę przed tajnym konsistorium w sprawie zwołania soboru ubrał w tekst łaciński.

Jako przestroga dla buntujących się intelektualistów może służyć cytata z Cicerona, chętnie powtarzana przez Jana XXIII:

LEGUM SERVI SUMUS UT LIBERI ESSE POSSUMUS.

Jesteśmy sługami prawa, aby móc pozostać wolnymi.

F.G.

~~~~~  
**Prosimy uprzejmie Prenumeratorów „Orla Białego“ o adresowanie czeków i P.O. tylko na:**

GRYF PUBLICATIONS Ltd.

ZOFIA JUNOSZA

# LIST

ZACZNIJMY nasze powakacyjne plotki z Nad Sekwany od smutnej historii niejakiego pana Poisson, paryskich gołębi i ...generała de Gaulle.

Otóż pan Poisson, z imienia Clothaire, z zawodu szofer, a z zamiłowania stary kawaler — bardzo kochał ptaki. W swoim maleńkim mieszkaniu przy Gare de Lyon żył szczęśliwie z osiemdziesięcioletnią ciotką i z paryskimi gołębiami, dla których okna pana Poisson były stale otwarte. Wiele z gołębi tak się oswoiło, iż jadło z ręki, a na widok ciężtrówki karmiciela, spływały z dachów na bruk z olbrzymią, gruchającą chmurą.

Niestety, idylla ta miała smutny koniec. Bo oto, o czym Clothaire Poisson nie wiedział — już w roku 1965 weszła w życie ustawa, klasyfikująca gołębie jako „miejskie szkodniki“, zanieczyszczające budynki (tak pięknie swego czasu odmalowane przez ministra Malraux). Wobec tego, wedle litery ustawy, w Paryżu nie wolno gołębi ani hodować ani karmić. No i za te właśnie dwa przestępstwa nieszczęsny szofer został pozwany do sądu. Ale od czego nosił na pierwsze imię, Clothaire na cześć syna słynnego króla Clovisa? Uniesiony świętym oburzeniem pan Poisson zawołał: „To tak, panie sędzio? Mnie Clothaire Poisson karzecie za to co robi sam generał de Gaulle? Ten wódz, który nam świeci przykładem, nasz zwycięski generał i prezydent? Najwyższy sędzio — proszę spojrzeć — i dumnym gestem, godnym swego królewskiego imienia, Monsieur Clothaire wyciągnął w stronę ławy przysięgłych zdjęcie generała de Galle zrobione w trakcie karmienia przez niego gołębi na Placu św Marka w Wenecji.

Najzabawniejsze w tej historii jest to, że argument trafił do przekonania stróżom sprawiedliwości. Jeżeli tak dostojna ręka może karmić gołębie w mieście tylko nieco mniej dostojnym od Paryża, to... Sędzia odroczył sprawę pana Poisson, aby przysięgli mogli się nad jego problemem głęboko zastanowić.

Z sąsiadami można mieć przeróżne kłopoty, nieraz najbardziej niespodziewane. Doświadczył tego na sobie pewien mieszkaniec Tulonu, którego nazwiemy panem „X“. Posiadał on mianowicie wspaniałego koguta, z którego rycerskiego wyglądu był niezmiernie dumny. Kogut miał na dodatek wspinały głos i punktualnie o czwartej z

# Z NAD SEKWANY

B.D.I.C

rana ogłaszał swemu właścicielowi, że „Kto rano wstaje — temu Pan Bóg daje“. Niestety, najbliższa sąsiadka Tulończyka — pani „Y“ była innego zdania. Donośne pianie koguta o tak wczesnej porze doprowadzało ją powoli do rozstroju nerwowego. Ponieważ ani perswazje, ani wyrzuty nie pomagały, sąsiadka postanowiła zadziałać na własną rękę. Pewnej ciemnej nocy, nim zapał kur, pani „Y“ przeszła przez płot do sąsiada, schwyła koguta i zręcznie ukręciwszy mu łeb, zabrała ze sobą.

Następnego dnia zaprosiła swego samotnego sąsiada na południowy posiłek, podając na główne danie „cocq au vin“. Sąsiad zza płotu zjadł ze smakiem, pochwalił gatunek drobiu i wino, w którym dusiła się potrawa, dokładnie wytarł talerz bułką i powiedział z westchnieniem „To był chyba najlepszy kogut, jakiego w życiu jadłem“. Ale, a propos, czy pani wie, że mój wspaniały ptak zginął dzisiaj z kurnika? Właśnie idę na policję...“

Policja zadziałała szybko. Niepocieszony pan „X“ rozpoznał barwne pióra nieodżałowanego koguta w śmietniku sąsiadki. Wyrok policji, która odradziła niepocieszonemu Tulończykowi wszczynania sprawy sądowej, był doprawdy salomonowy: pani „Y“ będzie musiała odkupić panu „X“ koguta o równie wspaniałej maści i głosie. Wyrok ten jednak został przyjęty przez winną wybuchem hysterii. Za nic.... Woli iść do więzienia, wolę odsiedzieć swoje kogucie morderstwo, ale żeby kupić drugiego? Nigdy!

Para sąsiadów pogodziła się jednak przy pomocy życzliwej policji, która nie mogła pani „Y“ oskarżyć o kradzież, gdyż ptaka zjadł jego właściciel. Zgodzono się więc wreszcie na zakup białej, pekińskiej kaczki, oraz... budzika, który pan „X“ będzie mógł sobie nastawiać codziennie na 4 z rana, nie budząc nikogo poza obrębem swego domu.

Bretonka, pani Le Goarnic ma większe kłopoty od tulońskich obywateli. Posiada bowiem 12-cioro dzieci, z których legalnie 6-cioro wogóle nie istnieje. Jak się to mogło stać? Bardzo prosto — dla francuskich prawników. Prostu sześcioro z dwanaściora pociech państwa Le Goarnic nosi imiona czysto bretońskie, które brzmią: Adraboran, Maiwen, Gwendal, Diwezha, Sklerijen i Brann. Od niepamiętnych jed-

nak czasów prawne przepisy Francji wymagały, by bretońskie imiona noworodków były — by tak powiedzieć — poparte „imionami kalendarzowych świętych, lub takich bohaterów narodowych, czy słynnych ludzi Francji, którzy nie byli buntownikami“. Co prawda ta klauzula prawna przestała wreszcie obowiązywać kilka lat temu, ale ponieważ 6-cioro małych Le Goarniców urodziło się przed tym — nie mogli istnieć jako istoty prawne.

Pani Le Goarnic jest nieprzejednaną Bretonką separatystką, a wiara jej w sprawiedliwość de Gaulle'a po jego słynnym okrzyku w Kanadzie „niech żyje wolny Quebec“ — jest niezachwiana. Wybrała się więc osobiście do Paryża, aby wywalczyć dla swych „nieistniejących“ dzieci nie tylko możliwość administracyjnego bytu, czy uczęszczania do szkół, ale i... możliwości otrzymania dla nich zapomogi rodzinnej. Sprawa państwa Le Goarnic oparła się najpierw o sądy francuskie, a potem nawet o międzynarodowy trybunał w Hadze, oraz Radę Europejską w Sraaburgu, gdzie chwilowo utknęła. Oczywiście, bretońscy rodzice mogliby bez wielu zachodów uzyskać uznanie prawne dla istnienia swych dzieci, gdyby zechcieli dodać do ich czysto-bretońskich imion owe wymagane „imiona zarejestrowanych świętych, lub bohaterów narodowych, którzy nie byli buntownikami“. Państwo Le Goarnic nie chcą jednak o tym słyszeć. „Naszyc pozostałych sześcioro posiada zwyczajne imiona takie jak Mariusz czy Anna — powiedziała sędziemu rozgoryczona matka. — A jakżeby się pan sam czuł, panie sędzio, gdyby przewano pana nagle innym imieniem? Mój najmłodszy synek Adraboran nie zareagowałby na takie na przykład zawołanie: „Karolu-Filipie, chodź no tutaj, bo zasłużyłeś na łanie...“ I tak walka dzielnych Bretonów z władzami francuskimi trwa nadal.

Po pelerynkach paryskich policjantów, które odeszły do historii miasta już w styczniu tego roku, jeszcze jedna charakterystyczna ozdoba ulic i bulwarów — odchodzi w przeszłość. Tym razem są to paryskie kioski gazetowe, wąskie, stożkowate budowle, z żelaznymi ozdobami na dachu w najgorszym smaku zesłego stulecia. Kioski te, — cienne i niewygodne dla siedzących w nich sprzedających, stały się już dzisiaj taką rzadkością, iż jeden z niedobitków przy ulicy Lutece, niedaleko od złoconych wrót Pałacu Sprawiedliwości

— został uznany jako zabytek i nie będzie wolno go zburzyć.

Początek tych bliskich nam sercu brzydactw paryskiej ulicy datuje się dopiero z końca 19-go wieku, kiedy zaczęły rozrastać się jak grzyby po deszczu na wielu rogach ważniejszych ulic. Jednakże z olbrzymim rozkwitem publicystyki na całym świecie — magazynów ilustrowanych, dzienników i tanich książek — te niewygodne i wąskie jak małomieszkańska dusza, kioski-wieżyczki nie mogły już pomieścić tej całej, wielojęzycznej makulatury, a starsze panie, które w nich tkwiły musiały chyba wszystkie wymrzeć na zapalenie płuc, gdyż kioski-wieżyczki były oczywiście nieopalone.

Dzisiaj, zamiast tych zabytków widzimy coraz częściej na ulicach Paryża pre-fabrykowane budki-pokoiki, ogrzane, oszklone ze wszystkich stron i chroniące przed deszczem sprzedawczynię.

Podobno w ślad za kioskami mają iść także uliczne kwjaciarnie. Będzie ich także szkoda. Pamiętamy ich właścicieli pod wielkim parasolem, z trzema kubekami kwiatów, w strojach przypominających wyprawę Scotta na Biegun Północny. Ale miały dla nas zawsze i uśmiech i bukietek świeżych fiołków. I tego będzie najbardziej żal miłośnikom Paryża. Fiołek z pre-fabrykowanej budki-kwaciarni nie może chyba tak pięknie pachnąć, jak tamten dawny, z naszej najpierwszej młodości i z żelaznego kubła.

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

### „Zeszyty Historyczne“

#### ZESZYT XIII 1968

zawiera m.in. prace:

*T. Katelbach:* ZET.

*Wiktor Tomir-Drymer:* Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935 — 1939.

*Stanisław Kot:* Wspomnienia (III)

*Edward Puacz:* Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia.

*Witold Babiński:* Ze wspomnień o Józefie Lipskim.

*Tadeusz Romer:* U kolebki pewnego sojuszu.

*Jan Weistein:* Scenariusz ministra Gafencu.

Wypadki krakowskie w ocenie sądu.

Cena: sh. 25/-, F. 15.00, \$ 3.00

## HISTORIA

PEWNEGO wieczora wszedł do windy starszy pan, dosyć otyły o jowialnym wyrazie twarzy. Był on w towarzystwie młodej dziewczyny, a że oboje rozmawiali między sobą po francusku, Kazik wyobraził sobie, że starszy mężczyzna był ze swą „petite amie“, co go raczej zdziwiło ze względu na różnicę wieku. Okazało się jednak, że się mylił, bo jak poinformował go John, towarzyszką Francuza Monsieur Valette była jego siostrzenica Simone Quellier, która była oczkiem w jego głowie i której starał się we wszystkim dogodzić. Pod wpływem tych rewelacji stosunek Kazika do jego francuskich gości też się zmienił. Gdy na początku ograniczał się on do konwencjonalnego „Bonjour Monsieur“, „Bonjour Mademoiselle“, obecnie wdawał się z nimi w rozmowę, i jak się przekonał, p. Valette był bardzo chętny do nawiązania towarzyskiego kontaktu, będąc nieco wylewniej natury jak prawdziwy południowiec. Było w parę lat po Powstaniu Warszawskim i p. Valette dowiedziawszy się od starego Johna, że Kazik jest Polakiem, sam nawet zaczął rozmowę, ubolewając nad losem Warszawy i zachwycając się bohaterstwem jej mieszkańców. Mówiąc o tym kilka razy powtórzył swym głębokim głosem słowa „Pauvre Pologne!“, a nawet, jak Kazik zauważył, otarł łzę, gdy Kazik mu opowiadał o martyrologii stolicy. Bardzo to Kazika ujęło i wzruszyło i mimowoli zaczął spoglądać na starego tak uczuciowego człowieka ze szczerą sympatią. Simone przeważnie nie brała udziału w rozmowie, lecz stała milcząca, patrząc wielkimi oczyma na rozmawiających mężczyzn jakby onieśmielona widokiem przystojnego cudzoziemca w hotelowej liberii, o którego wykształceniu rozповідаł szeroko jej wuj, oburzając się na perfidny Albion, gdzie nie znalazła się dla niego lepsza praca niż służba w hotelu. Nie była ona żadną klasyczną pięknością, lecz wyglądała pełna czaru w bericie, o kasztanowatych włosach, niewysokiego wzrostu o ciemnych piwnych oczach, którymi zdawała się chłonać każde słowo Kazika, które ją głęboko wzruszało. Rozmowy stawały się coraz bardziej przyjacielskie pomiędzy Kazikiem a starym Francuzem, który opowiedział Kazikowi, że przyjechawszy po raz pierwszy po wojnie do Londynu celem uregulowania licznych spraw w związku z rodzinną fabryką porcelany w Limoges, chciał sam wszystko pokazać swej ukochanej siostrzenicy w metropolii Wielkiej Brytanii, gdzie kiedyś studiował i często bywał przed wojną za interesami.

— Widzi pan, mówił, ona jest sierotą, córką mej siostry, nie ma nikogo na tym świecie poza mną. Jakże chciał-

bym, aby była szczęśliwa. To najważniejszy cel mego życia.

Parę razy p. Valette w chwilach, gdy widział, że Kazik jest mniej zajęty, zapraszał go do swego pokoju na „aperitif“, lecz wizyty takie przeważnie kończyły się natychmiastowo, gdy Kazik postyszał brzęczenie dzwonka w windzie i biegł czym prędzej do swych obowiązków. P. Valette tylko głową kiwał i powtarzał: „Tel garçon avec telle education et travaille comme ça“. Po prostu w głowie mu się nie mieściło, że dla człowieka o Kazika wykształceniu nie było innej pracy. Często też powtarzał w poufnych rozmowach, że taka rzecz niemożliwa byłaby we Francji, gdzie intelekt jest wysoko ceniony. Jakże inaczej reszta mogłoby być w kraju Descartesa i Voltaire'a, w kraju przysłówiowej „clarté d'esprit“, który promieniował na świat całą swą kulturą. Nie raz też wspominał o tradycyjnej polsko-francuskiej przyjaźni, o słynnym okrzyku „Vive la Pologne!“, gdy car rosyjski odwiedził Paryż i o nazwiskach gen. H. Dąbrowskiego i ks. Józefa Poniatowskiego, które sam widział wyryte pod arkadą łuku Tryumfalnego.

Kazik ze wzruszeniem słuchał tych przemówień i nieraz wciągnięty w rozmowę opowiadał dzieje swych walk w Polsce, gdy ze szwadronem kawalerii przedzierał się do granic Rumunii lub też o bohaterskich zmaganiach swej dywizji na terenie Francji, której upadek był ciosem dla wszystkich Polaków.

— Mais vous avez lutté pour la France. Vous êtes un de nous. — zawołał z przejęciem p. Valette, patrząc z rosnącym uznaniem na obrońcę swojej ojczyzny. Simone czasami wtrącała parę słów, ale zawsze jakby nieśmiało. Raz np. zapytała go, czy miał jakich bliskich, a gdy dowiedziała się, że oboje jego rodzice zginęli w czasie okupacji, odwróciła głowę jakby nie chcąc pokazać swego wzruszenia. Innym znów razem, jakby po długim namyśle i wahaniu zadała na pozór proste pytanie, jak mu się podoba Anglia, a gdy on jej odpowiedział niemal wymijająco, że nie miał tu zbyt szczęśliwego życia, zapadła znowu w ciszę, jakby coś głęboko przemysliwała.

W ten sposób upłynęło kilka tygodni. Rozmowy z p. Valette i jego siostrzenicą stały się dla Kazika niemal psychiczną koniecznością i nieraz idąc do pracy myślał z lękiem, czy jeszcze ich zastanie w hotelu, czy nagle nie wyje-

chalą do Francji, a na samo to przypuszczenie ogarniał go jakiś nieokreślony smutek jakby tu chodziło o kogoś bliskiego. Przeczucia jego miały niebawem się sprawdzić. Tego wieczora jak zwykle wracał p. Valette z Simone z jakiegoś teatru czy kina, lecz na twarzy jego malowała się powaga czy może nawet smutek. Bez żadnych wstępów powiedział krótko: — Musimy już wracać do Francji, Monsieur Kasimir. —

Po raz pierwszy nazwał go w ten sposób. Kazik zaskoczony wybąknął jakieś słowa żalu, że muszą wyjeżdżać, lecz p. Valette patrząc na niego niemal z żalem jakimś, prawie surowym wzrokiem powiedział niespodzianie: — Przed wyjazdem... chciałbym z panem mieć dłuższą rozmowę. Czy mógłbym pana zaprosić do któregoś z barów na Piccadilly, w czasie wolnym od pracy?

Umówili się, że się spotkają w hallu Piccadilly Hotel. Gdy Kazik przyszedł tam o umówionej godzinie, p. Valette już siedział w głębokim fotelu, sącząc „apéritif“ jakiś dziwnie zamyślony czy zaszepiony i tylko ręką wskazał Kazikowi miejsce koło siebie.

— Quesque vous prenez? — zapytał niemal mechanicznie, gdy zjawił się kelner. Kazik poprosił o Martini i poczuł się jakoś nieswojo, nie wiedząc jaki był cel tego spotkania. P. Valette jakiś czas milczał, wpatrując się w Kazika, jakby chciał wyczytać jego tajemne myśli, a wreszcie powiedział z uśmiechem, który powoli wypłynął mu na twarz: — Drogi panie Kazimierzu, nam jest bardzo przykro wyjeżdżać z Londynu i rozstać się z panem, bo i ja i moja siostrzenica bardzośmy się do pana przywiązali. Mam też nadzieję, że pan nas też polubił. — Gdy zaś Kazik go zapewnił gorąco o swym uczuciu sympatii, p. Valette ciągnął dalej:

— Nie o to jednak chodzi, ludzie wciąż się spotykają i rozstają. C'est la vie! Na to nie ma rady. Jesteśmy wszyscy jak statki mijające się we mgle. To los człowieka. Gorzej jest, powiedział z westchnieniem, gdy trzeba żegnać się może na zawsze z kimś, kogo się pokochało szczerą i prawdziwą miłością. Vous savez-l'amour. Gdy jest miłość, rozstanie jest tragedią i może na zawsze złamać życie komuś co czuje naprawdę głęboko.

Kazik siedział milczący, dziwna go ogarnęła nieśmiałość i choć od pierwszych słów starego Francuza zaczął domyślać się o co mu chodzi, nie potra-

# Z HAPPY ENDEM (II)

fił wydobyć z siebie słowa, tylko jakieś wielkie wzruszenie dech mu zaparło, a Monsieur Valette jakby zmieniając temat rozmowy zaczął mówić dalej głosem cichym, jakby mówił sam do siebie:

— Simone to jest bardzo zacna dziewczyna. C'est une bonne fille. Zastępuje ona na wiele szczęścia. Życie ona miała smutne. W dzieciństwie utraciła oboje rodziców, którzy zginęli w wypadku drogowym. Odtąd całą swą miłość skierowała na mnie. Byłem jej opiekunem, starałem się jak mogłem zastąpić jej ojca i matkę. Ona wiele potrzebuje serca, a ja dla niej tylko żyłem. Lata jednak idą i na zawsze z nią nie pozostanę. Ona jest młoda, dopiero wchodzi w życie. C'est la jeunesse même. Chciałbym bardzo, aby była szczęśliwa, gdy ja już oczy zamknę. — I znowu zapadła cisza jakby rozmowa a raczej monolog rwał się, bo najważniejsze rzeczy nie zostały wypowiedziane. W półprzymkniętych oczach Kazika stała smukła sylwetka dziewczyny o twarzy nieco smutnej i zaleknionej jakby o coś prosiła czy o coś pytała. — Może pana dziwi, Monsieur Casimir, że panu o tym mówię, ale mam do pana wielkie zaufanie. Pan jest człowiek uczony i pan sam wiele w życiu przeszedł, pan mnie zrozumie. W najważniejszych sprawach życiowych, jak nieraz się przekonałem nie należy się wahać i dlatego postanowiłem powiedzieć panu największy sekret Simone, który ona ukrywa nawet przed samą sobą. Ona, panie Kazimierzu, pana kocha — Kazika ogarnęła fala wzruszenia i nie wiedział co ma powiedzieć, tylko serce zaczęło mu bić gwałtownie jakby to co przeczuwał stało się rzeczywistością, a p. Valette mówił dalej:

— Dziewczyna jest ambitna. Nigdy by mnie nie darowała, gdyby wiedziała, że zgadłem jej sekret i panu go powiedziałem. A jednak, inaczej zrobić nie mogłem, bo wiem, że i panu nie jest ona obojętna. Ja jestem już starym człowiekiem i rozumiem trochę życie. Gdy widzę dwoje młodych, do których świat należy, a którzy sami siebie nie rozumieją, chcę im przyjść z pomocą. —

Po chwili zaś dodał:

— Ja od dawna wiedziałem, że Simone pana kocha. Miłość prawdziwą człowiek z doświadczeniem zawsze pozna. To nie da się ukryć. Zaczęłem więc pana obserwować czy mógłby pan dać Simone szczęście i widząc pana szlachetny charakter, miłość ojezyny, inteli-

gencję i wykształcenie oraz poczucie obowiązku doszedłem do wniosku, że trudno by było znaleźć dla Simone lepszego męża, że możecie być bardzo szczęśliwi. Bo cóż to jest szczęście, jak nie harmonia dwóch dusz naprawdę sobie bliskich?

A jakby zgadując Kazika spłoszone myśli, obiekcje i wątpliwości, wynikające z jego sytuacji uciekiniera, człowieka bez ojczyzny i pozycji życiowej, powiedział dalej:

— O szczęściu nie decydują warunki materialne. Choc jest pan obecnie w trudnej sytuacji nie z własnej winy, ma pan charakter i wysokie wykształcenie, a to jest najważniejsze. Vous êtes le docteur en droit. Simone nie potrzebuje bogatego męża, lecz człowieka mądrego i dobrego, który byłby jej przewodnikiem życiowym. Takim pan jest, drogi panie Kazimierzu i nie będzie wam nigdy brakować na chleb powszedni, bo Simone jest dziedziczką znacznej fortuny po obojgu rodziców i moją spadkobierczynią. Nie powinno to pana jednak krępować, bo wniosie pan swe wykształcenie i zdolności, bez których nawet największe bogactwo musiałyby prędzej czy później ulec zagładzie.

Gdy wreszcie Kazik doszedł do głosu i w słowach pomieszanych chciał wyrazić swą wdzięczność za propozycję starego Francuza, a zarazem swe problemy życiowe, wyjaśnić i wytłumaczyć, że pomimo serdecznych uczuć do Simone, o której nawet marzyć nie mógł, nie ośmieliłby „za nic“ się jej przyjąć, Monsieur Valette położył mu tylko łagodnie rękę na ramię i powstając ciężko rzekł co następuje:

— Drogi chłopcze, my tu jeszcze zostajemy parę dni. Zastanów się nad wszystkim co ci powiedziałem i daj mi odpowiedź. Przyjmij jednak radę starego człowieka, bardzo tobie życzliwego i nie odrzucaj szczęścia, które do ciebie się uśmiecha. —

Następne dni Kazik spędził w gorączce, walcząc z sam sobą, ze swym pragnieniem miłości, lecz w tych zmaganiach z własną ambicją coraz częściej przed nim stawała jakby wydartą z głębin nieświadomości postać Simone, błagającymi oczyma prosząca, aby nie odrzucał jej uczucia. Gdy widział ją w hotelu nie śmiał na nią patrzeć, bojąc się zdradzić, że zna sekret jej życia. Wreszcie drugiego dnia, gdy usnął znudzony po pracy, zmęczony walką i nie-

zdecydowaniem, przyśnił mu się sen, który wywarł na nim głębokie wrażenie. Przyśniło mu się, że szedł przez pustynię, sam jeden przedzierając się przez spiętrzone rozpalone do czerwieni głązy, poprzez spiekotę i żar, dręczony niemożliwym po ugaszenia pragnieniem. I nagle, gdy miał już upaść, aby więcej nie powstać przed oczyma jego ukazał się cudny widok pełnej zieleni oazy, z której wystrzelały smukłe palmy, a na tle której przy studni stała Simone wyciągając do niego w obu dłoniach czare wypelnioną po brzegi krystalicznie czystą wodą źródlaną, którą rzucił się pić chciwie. Sen ten był dla niego samego rewelacją, ujawnił mu głębię miłości jaką odczuwał do Simone, która pomimo milczenia i nieśmiałości poruszyła w nim najistotniejsze pokłady uczuć, budząc w nim tkliwość, której sam w sobie nie podejrzewał po latach tułaczki i samotności.

Na trzeci dzień znalazł się Kazik w windzie sam z p. Valette, który właśnie wracał z jakiejś konferencji przemysłowej. Stary Francuz poza przywitaniem nie prawie nie powiedział, tylko popatrzył na Kazika jakby ze smutkiem czy żalem i jakby chciał tym wyrazić, że zawiódł się na nim. Kazik też ze swej strony nie śmiał się odzywać i trwała niespokojna cisza, aż winda dojechała do drugiego piętra. Wtedy wychodząc z windy i przystanąwszy, opierając się niemal o jej framugę p. Valette niespodzianie powiedział:

— Eh bien. Quesque vous avez décidé? Co pan zdecydował? — powtórzył jakby niecierpliwie, dodając:

— Simone wczoraj płakała całą noc na myśl o rozstaniu się z panem. — Słowa te poruszyły jakieś niezbrane struny uczuć w piersi Kazika, fala nieoczekiwanych emocyj ogarnęła go z taką siłą, że zaledwie zdołał wyszeptać nieswoim głosem kilka słów:

— J'accepte votre proposition. Ja kocham Simone. —

Stary Francuz wzruszony wziął go w ramiona i uściskał, a następnie zaprowadził do swego pokoju, gdzie stała Simone, oczekująca jego przybycia. Dziewczyna po wyrazie twarzy obu mężczyzn od razu domyśliła się co zaszło i rzucając się na szyję Kazikowi ze łzami w oczach zawołała:

— Casimir, je t'aime, mon cheri, mon bien aimé!

Tylko dzwonek w windzie huczał rozpaczliwie, a na dole w hallu, gdzie zgromadziło się sporo gości, słychać było głośne wyrzekania, że tak źle funkcjonuje staroświecka winda.

Wiesław Strzałkowski

Która z nas nie lubi perfum? Kochamy je. Ale co właściwie o nich wiemy? Dlaczego np. blondynka czuje się najlepiej z taką, a nie inną marką perfum, lub zapachem, podczas gdy brunetka lub ruda tej samej perfumy dosłownie nie może znieść?

Niedawno Stowarzyszenie Francuskich Producentów Perfum zorganizowało w szeregu stolic Zachodu dwutygodniowe wystawy, które za pomocą broszur i eksponatów w formie małych, darmowych i estetycznych próbek miały dać odpowiedź na powyższe postawione pytanie.

Na każdej wystawie przedstawiono 44 zapachy, wyprodukowanych przez 16 przodujących francuskich firm perfumeryjnych.

A co mówią eksperci, obsługujący wystawy? Przede wszystkim, że: lepiej jest kupić mały flakonik perfum, niż ich odpowiednik w formie wody kolońskiej, czy toaletowej. Perfuma bowiem, która jest najsilniejszym koncentratem danego zapachu, będzie trwać pięciokrotnie dłużej niż woda. Koszt perfumy jest natomiast tylko o jedną czwartą wyższy od wody kolońskiej, czyli, że zysk dla kupującej jest oczywisty.

A oto kilka wskazówek na dobór indywidualnej perfumy: nim postanowisz kupić nowy zapach, pamiętaj, Droga Ewo, dla której pracujemy dzień i noc w naszych zakładach w Grasse, w Nicei i w Paryżu, że nie należy wachać więcej niż trzech zapachów naraz. Czwarty bowiem zawróci ci w głowie tak, że nie będziesz już w stanie rozemnać, który ci się najbardziej podoba. Nie wachaj butelki, na nic się to nie zda. Nowy zapach musisz wypróbować na własnej skórze. Poproś sprzedawczynię, aby naperfumowała ci dłoń, poczekaj kilka chwil, aż perfuma przeniknie skórę. Po kilku chwilach twój własny pigment może tak zmienić zapach, iż to co było wprost cudowne na twojej przyjaciółce, może przykro pachnieć na tobie. Jeżeli natomiast skład chemiczny perfumy odpowiada twojej skórze, to sama szybko dojdiesz do wniosku, że jest to zapach w sam raz dla ciebie. Dla spokoju sumienia spróbuj potem drugą i trzecią perfumę, ale — jak powiedzieliśmy — nie więcej. Na pewno wrócisz do tej, która była dla ciebie najodpowiedniejsza.

A teraz kilka rad co do używania wybranego zapachu.

Nie czekaj na bal, brydza czy potanówkę. Perfuma winna być częścią ciebie samej — na codzień. Nie żałuj nawet drogiego zapachu. Używaj pół kropli, ale codziennie. Trzymaj swą bezcenną buteleczkę w ciemnym miejscu, każda bowiem perfuma zmienia kolor i

zapach, jeśli jest wystawiona na światło dzienne. Kładź perfumę w miejsca, gdzie bije puls, a to dlatego, że są to najcieplejsze miejsca na twojej skórze. Nigdy natomiast nie trwoń perfum na materiały, wywietrzeją w kilka godzin, pozostawiając po sobie najwyżej bardzo wątlę wspomnienie. A w ogóle pamiętaj, że nawet najdroższa perfuma trwa tylko około trzech godzin w swoim pierwotnym zapachu. Do utrzymania legendy i czaru twojej osobistej, indywidualnej perfumy dopomoże ci talk (którego nawiasem mówiąc, Polki nie lubią używać), mydło oraz krem do rąk. Jeżeli możesz pozwolić sobie na olejek do kąpieli, to wraz z pogardzanym talkiem przedłużysz on życie cennego flakonu perfum.

I — używając perfum — pamiętajmy jeszcze o jednym: że jedna z nagród Nobla została przyznana pewnemu chemikowi między innymi za to, że w laboratoryjnej próbowce zdołał wytworzyć syntetyczny zapach ambry i piżma, dwóch podstawowych składników wszystkich perfum od czasów kiedy Kleopatra skrapiała się wonnościami dla politycznych celów w spotkaniach z Cezarami!!!

#### FEMINIZM MODY MĘSKIEJ

Po raz zapewne pierwszy w annałach tego historycznego gmachu, bo w samej szacownej sali bankietowej brytyjskiego parlamentu, czyli w sercu Whitehallu, pod sufitem zdobnym we freski Rubensa, oraz przy akompaniamencie trzech trębaczy wygrywających na srebrnych trąbach — pokazana nam została rewia mody męskiej, zorganizowana staraniem pięciu światowych stowarzyszeń przemysłowych: handlarzy wełny, jedwabiu, bawełny, skór oraz lnu. Dziennikarzom na widok tego co ujrżeli, wychodziły oczy na wierzch, a niektórzy z nich zupełnie potracili głowę, co było rzeczą zupełnie nie na miejscu, gdyż rewia w bankietowej sali odbywała się dokładnie na tym samym miejscu, gdzie kilka wieków przed tym król Karol Pierwszy, pechowy monarcha, stracił swoją własną głowę pod toporem kata.

Ale dlaczego współcześni goście tracili głowy na widok nowalijek w męskiej modzie? Zapewne dlatego, że jeśli się przyjrzeć — to nikt już i nigdy nie będzie wiedział na pewno czy ma przed sobą kobietę, czy też mężczyznę.

Na rewii nie widziało się prawie wcale spodni. A jeśli już były, kopciuszki nieszczęsne — to haftowane w kwiaty, ukryte pod fałdami jupe-culottes, plisowane w solejki, oczywiście

kolorowe i bardzo często z brokatu.

Gwoździem rewii były — kaftany. I to jakie! Do ziemi, powłóczyście, babcznie pstre, z najdroższych materiałów, kąpiące wschodnim przepychem, o szerokich rękawach, kołnierzach à la Mandaryn i guzikach z lśniących kryształów.

Firma Michelson, która je fabrykuje, przekonana jest, iż owe męskie kaftany przyjmą się doskonale w zastępstwie smokingów i fraków. „Dlaczego mężczyźni mają zawsze odziewać się w szare kolory i w spodnie?“ — spytał z niesmakiem urzędnik prasowy tej firmy.

Rzeczywiście — dlaczego? Nikt na to retoryczne pytanie jakoś nie miał gotowej odpowiedzi. A może po prostu dlatego, żeśmy się do spodni przyzwyczaili? Albo, że mają dużo kieszeni?

W każdym razie w tym kaftanowym szale tkwi pewna poważna pociecha dla płci żeńskiej: jeżeli bowiem mąż, niedysponowany, bo go zawiąło „od dołu“ w roboczym kaftanie, nie może ci towarzyszyć na bal — wypożycz sobie jego kaftan „wyjściowy“ a z pewnością królować w nim będziesz jak w najekscentryczniejszej balowej sukni!

#### APETYT NA GLINĘ

Wielu mężów wspomina napewno z rozczuleniem jak to późnym wieczorem wyskakiwali z ciepłych łóżek w poszukiwaniu jakiegoś otwartego jeszcze „delikatesowego“ sklepu, aby zaspokoić nagły apetyt żony, spodziewającej się dziecka. Do dzisiaj nie znamy właściwie wytłumaczenia dla tych nieraz bardzo ekscentrycznych zachcianek jedzeniowych kobiet w ciąży. Ostatnio ginekolodzy holenderscy powikłali jeszcze bardziej zagadkę nagłych apetytów przyszłych mamus, stwierdzając na podstawie klinicznych statystyk, że kobiety w ciąży coraz chętniej — jedzą glinę. Dlaczego? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast — przynajmniej lekarzom holenderskim — że glina działa w żołądku jako rodzaj filtru, odcinając z pożywienia potrzebne dla organizmu żelazo. A więc kobieta, która ma „apetyt na zjedzenie nieco gliny“ naraża się na anemię. Na marginesie tych ostatnich „odkryć“ gazety holenderskie zauważyły: „Jeżeli sgotkacie w parku miejskim kobietę, wygrzebującą z trawnika kawałek gliny — powstrzymajcie ją, chociażby siłą od spożycia tej nieapetycznej „zachcianki“, gdyż w ten sposób przyszła matka pozbawia siebie i dziecko niezbędnego żelaza. Każdy rycerski mężczyzna powinien nosić w kie-

(Dokończenie obok)



# Spór o listy do Delfiny

Delfina Potocka nie daje o sobie zapomnieć do dziś. Świadczy o tym książka Jerzego M. Smotera pt.: „Spór o listy Chopina do Delfiny Potockiej“.

Wielką miłość Zygmunta Krasińskiego, uwielbiana przez wielu, wśród nich przez księcia d'Orleans, syna króla Filipa, przypomina się naszej pamięci „listami“, co do których autentyczności wypowiedziało się grono osób, za lub przeciw, a wśród nich Stanisław Baliński, Kazimierz Wierzyński, Jarosław Iwaszkiewicz, Mateusz Gliński (zwolennik ich autentyczności i nieugięty obrońca), Władysław Folkierski, Stanisław Wasylewski, Stanisław Westfal, Adam Żółtowski i inni.

J. Smoter w swej 236 stronicowej, artystycznie wydanej książce, przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1967 r., daje olbrzymią dokumentację listów Chopina do Delfiny Potockiej, dochodząc do wniosku, że listy te sfabrykowała dosyć zręcznie, entuzjastka Chopina, Paulina Czernicka, która w roku 1949 popełniła samobójstwo.

Długi okres swego życia spędziła Delfina we Francji, z czego dłuższy

szeni parę żelaznych gwoździ, którymi może nabić jabłko, jak nakazywały przepisy naszych prababek i podać je uratowanej przez siebie niewieście“.

## NASZYJNIK MARII ANTONINY

Jeżeli już wspomnieliśmy i królowę Egiptu to dla odmiany — zasilmy nasz kobiecy kącik wspomnieniem o jeszcze jednej królowej, której imię jest do dzisiaj symbolem tragedii i nieumiejętności bycia monarchinią: o Marii Antoninie, żonie Ludwika XVI. Niedawno w jednej z najgłośniejszych hal licytacyjnych Paryża licytowano jedną z statnich po niej pamiątek: naszyjnik, który miała na sobie w więzieniu Temple, na krótko przed swą ostatnią podróżą na gilotynę. Naszyjnik ten składa się z kilku złotych łańcuszków, na których zawieszono są medalliony z zamkniętymi w nich puklami włosów jej męża, matki — cesarzowej austriackiej, oraz małego następcy tronu, nieszczęsnego Delfina. Podobno na chwilę przed udaniem się na egzekucję Maria Antonina oddała swój naszyjnik księżnej d'Angouleme, wraz z którą była uwięziona. W ten sposób naszyjnik przechował się w rodzinie księżnej aż do naszych czasów, aby po wiekach znaleźć swe miejsce w słynnym Hotelu Druot, w oczekiwaniu na nową, szczęśliwszą — właścicielkę.

K. E.

okres w Paryżu. Była nie tylko ołnie-wajacą piękna i miła, ale i uzdolniona. Pięknie śpiewała, jak skończona artystka, grała na fortepianie i komponowała. Posiadała również uzdolnienia malarskie, a dzieła jej pędzla odznaczały się czystością rysunku i żywym kolorytem.

Rozpatrując opinie o niej jej współczesnych, dowiadujemy się o zażyłości jej z Fryderykiem Chopinem, którego była uczennicą i wielką adoratorką. Chopin jednak, wedle opinii większości tych, którzy ich znali, nie był jej kochankiem. Choć pewności w tej sprawie mieć nie możemy, osobiście przychyłam się do opinii większości — platoniczna miłość.

Historia listów. Rozpoczęła się tuż przed II-gą wojną światową, gdy ziemianka z Wileńszczyzny Paulina Czernicka, przedstawiła do wykorzystania odpisy listów Chopina do Delfiny, dyrektorowi Rozgłośni Polskiego Radia w Wilnie, Witoldowi Hulewiczowi.

Transakcji tej nie zrealizowano, w związku z wybuchem wojny, a Hulewicz został wkrótce potem rozstrzelany. W r. 1940 jednak w „Słowie Wileńskim“ ukazał się artykuł S. Szpinalskiego, w którym cytowane były fragmenty z listu Chopina. Sprawa nabiera dużego rozgłosu po wojnie. W roku 1945 Czernicka wygłosiła w Rozgłośni Radia w Poznaniu, odczyt o listach Chopina do Delfiny Potockiej. W swej audycji oświadczyła, że posiada listy kompozytora do Delfiny. Wyjątki z nich zacytowała w audycji. W tym samym roku przedstawiła kilku literatom odpisy listów, a kilka z nich wydrukował J. Iwaszkiewicz w redagowanym podówczas przez siebie „Życiu Literackim“.

Czernicka zaofiarowała odpisy listów Instytutowi Fr. Chopina w Warszawie. Dyrektor tego instytutu Bronisław Sydow przesłał je, we własnym przekładzie na język angielski, do Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, i zostały one wydane w r. 1949. Stąd rozgłos ich ogarnął sfery muzyczne całego świata.

W tym samym roku 1949, który był „Rokiem Chopinowskim“, K. Wierzyński, w swej pracy: „The Life and Death of Chopin“, cytował niektóre z listów. Książkę przetłumaczono na kilka języków, i popularność listów się wzmożła.

Listy wносиły do biografii Chopina cenne informacje. Wiadomości tu zawarte mogły w wielu wypadkach zmienić dotychczasowe opinie o poglądach

estetycznych artysty. Teksty te zaskakiwały śmiałością, a nawet drastycznością opisów erotycznych, M. Idzikowski, imieniem Instytutu zaproponował Czernickiej, że kupi autografy listów. Na co się ona zgodziła, ale w niedługi czas potem zawiadomiła Instytut, że listy te zostały jej skradzione.

Rozpoczęła się polemika co do autentyczności listów, która trwa po dzień dzisiejszy. Książka Smotera wiernie je przedstawia. Przynosi m.in. kilka portretów Delfiny, a wśród nich przepiękny portret M. Daffingera i rysunek C. K. Norwida, ponadto fotografie stron rękopisu Czernickiej czyli odpisy listów Chopina do Potockiej, i inne.

Kiedy przed kilku laty odwiedziłem, zbierając materiały do dłuższego artykułu o Norwidzie, który wydrukowałem w dziele zbiorowym „Norwid żywy“, cmentarz Montmorency, gdzie Norwid spoczywa w zbiorowym grobie polskich emigrantów, spotkałem wśród grobów pokryty pnąciami się krzakami róż grób Delfiny. Jest to jeden z najokazalszych grobowców i o pewnej wartości artystycznej.

Odczytałem na nim słowa-wiersz Zygmunta Krasińskiego:

Jeszcze kielich mojej doli  
Wiele kropel ma;  
Muszę cierpieć, pić powoli,  
Wypić aż do dna.

BIBLIOTEKA

„KULTURY“

Leopold Tyrmand

ŻYCIE  
TOWARZYSKIE  
i UCZUCIOWE

Powieść o potędze małości  
w socjalizmie

Cena: sh. 43/6, F. 26, \$5.50

# Patrząc w serce poprzez źrenicę

**P**RAGNIEMY się podzielić z czytelnikami „ORLA“ wiadomością, która daje nadzieję, iż nauka współczesna znalazła wreszcie sposób na „wysledzenie“ zawału serca na długo przed jego możliwym nadejściem — u zdrowych i pełnych energii 40-latków. A sposób ten to dosłownie — spojrzenie im prosto w oczy.

Tak przynajmniej twierdzą zgodnie — medyczny korespondent londyńskiego pisma niedzielnego „The Sunday Times“, oraz lekarze, piszący na łamach medycznego pisma „The Lancet“.

Na czym więc owo precyzyjne „wysledzenie“ możliwego zawału polega?

Oczywistą poszlaką, iż mamy przed sobą potencjalnego „zawałowca“ — powiada dr Byrne z Sunday Times — jest łatwo dostrzegalna dla każdego okulisty szara otoka wokół tęczówki. Otoka ta składa się z tłuszczowej substancji, zwanej cholesterolem. O cholesterolu słyszało się wiele na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat: raz, że to właśnie ten składnik powoduje zawały, a kiedy indziej znowu, iż jest to tylko jeszcze jedna, niesprawdzona hipoteza, do której nie należy przywiązywać większej wagi. Prawdopodobnie, jak zwykle w życiu, prawda o cholesterolu — który znajduje się w największych ilościach w maśle i innych tłuszczach zwierzęcych — leży gdzieś pośrodku. U ludzi starych — zaznacza dr Byrne — diagnoza na podstawie łatwo dostrzegalnej otoki nie ma poważniejszego znaczenia medycznego, gdyż w późnym wieku każdy z nas taką otokę posiada. Spostrzeżona jednak u ludzi względnie młodych, jest pierwszym wskaźnikiem, iż należy ich poddać analizie na zawartość tłuszczu we krwi.

Najczęściej ten sygnał zawałowego niebezpieczeństwa spotykamy w rodzinach o dziedzicznych skłonnościach do schorzeń naczyń. Ale nawet dla tych, których historia rodzinna nie wykazuje przypadków zawału, ta prosta

diagnoza, a później zapobiegawcza medycyna — może uchronić przyszłego „zawałowca“.

Owo schorzenie-otoka, znane jako „corneae arcus“ przypada — według pisma „Lancet“ u ludzi w sile wieku na ok. 50-ty rok życia. Jeżeli więc znajdziemy ją w osobie młodszej, oznacza to niezbicie, iż zawartość tłuszczu we krwi jest za wielka. Specjalne badania pozwolą lekarzowi na stwierdzenie, czy jest to procent już niebezpieczny, czy też dalej normalny, gdyż każdy z nas podkreśla i Lancet i dr Byrne — posiada we krwi pewną ilość odkładanego przez lata tłuszczu. Jeżeli rachuba chemiczna wykaże, że zawartość tłuszczu jest zbyt wysoka na wiek pacjenta, odpowiednia dieta, eliminująca tłuszcze zwierzęce — może utrzymać potencjonalnego „zawałowca“ w dobrym zdrowiu do późnej starości.

Ale — jak chce „Lancet“ — rodzina podejrzanego o zawał pacjenta winna być z nim razem zbadana i poddana diecie. Otoka tłuszczowa nie zginie przy stosowaniu innego sposobu odżywiania się, ale nie wpłynie też na wzrok, gdyż z samym wzrokiem nie ma nic wspólnego.

I tak więc lekarze mają nadzieję, iż może wreszcie znaleziono łatwą metodę dla przeciwdziałania chorobie, która jest z pewnością większym mordercą naszych czasów, niż średniowieczna czarna ospa, czy 19-to wieczne wymieranie na suchoty.

J. T. L.

**BIULETYN INFORMACYJNY KOŁA AK nr. 46, sierpień 1968.** Numer poświęcony gen. T. Bór-Komorowskiemu (życiorys, śmierć, pogrzeb, przemówienia, głosy prasy polskiej i światowej oraz liczne ilustracje z pogrzebu). Cena 7/6 sh.

**INTRODUCTION TO MODERN POLISH LITERATURE.** An Anthology of Fiction and Poetry, edited by Adam Gilon and Ludwik Krzyżanowski, Published by Rapp and Whiting Ltd., London, 1968.

**Michał Chmielowiec, BAJKI, PRAWDY, MORAŁY...** Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968.

**Czesław Jeśman, LISTY Z AMERYKI,** Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968.

**Bolesław Pomian-Piątkowski, SOSNY I PALMY,** Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968.

**Paweł Starzeński, OSTATNI POLSCY RYCERZE,** Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968.

**Franciszek Wysłouch, OPOWIADANIA POLESKIE,** Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968.

**Leon Mitkiewicz, Z GEN. SIKORSKIM NA OBCYZYNNIE,** Instytut Literacki, Paryż, 1968, cena 39s.

**Henryk Gruber, WSPOMNIENIA I UWAGI.** Nakładem Gryf Publications Ltd., Londyn, 1968. Stron 574. Cena £3.

**Herminia Naglerowa, TU JEST POLSKA.** Sztuka w 4 aktach. Opracował Tymon Terlecki. Nakładem Gryf Publications. Londyn, 1968.

**A. Bogusławska, POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA.** Poradnik pedagogiczny. Nakładem Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą. Londyn, 1968.

**Jadwiga Otwinowska, UCZMY SIĘ PISAĆ,** część III (ó — u; e — a; en, em; on, om). Nakładem Gryf Publications Ltd., Londyn, 1968.

**PIĄTY PUŁK PIECHOTY LEGIONÓW „ZUCHOWATYCH“** opracował Gustaw Łowczowski. Wydawca: Koło Piątego Pułku Pielhoty Legionów. Londyn, 1968.

**Gustaw Łowczowski, POLAK JAKO ŻOŁNIERZ.** Nakładem Autora. Londyn, 1968.

**Adres WYDAWNICTWA:** PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. **Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na:** 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). **Adres ADMINISTRACJI:** „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francje — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, rue Amédée Llinen, apt. 67, Bruxelles 3, konto pocz. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTynie: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. **ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH.** Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. **PRENUMERATA** — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. **Przedstawicielstwo w Wiedniu:** Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

między innymi na dobrowolnie przyjętej lojalności i dyscyplinie wobec powziętych uchwał w trybie demokratycznym. Tym nie mogą z natury rzeczy legitymować się organizacje wojskowe. I gdy nawet po maju 1926 r. pułkownicy rządzili „w cywilu”, podlegali wojskowej karność — co już w demokracji, na którą autor listu się powołuje, jest w ogóle nie do pomyslenia.

5. Na zakończenie parę słów o samym Hermanie Liebermanie, odznaczonym Krzyżem Walecznych i orderem Orła Białego.

Był on najbliższym współpracownikiem Ignacego Daszyńskiego. Brał czynny udział w Legionach, uczestnicząc w bitwie pod Kostiuchnówką. W 1918 roku bronił legionistów oskarżonych przez władze austriackie w tzw. procesie Marmarosz—Sziget. Gdy w lutym 1918 roku internowano część żołnierzy drugiej brygady Legionów, którym nie udało się przedrzeć przez front pod Rarańczą, niektórym z nich wytoczono proces. Właśnie w ich obronie stawał Herman Lieberman jako adwokat i walnie przyczynił się do umorzenia procesu w dniu 27 września 1918 roku przez cesarza Karola I.

Uczestniczył w walkach o Przemyśl. W wojnie 1920 roku brał udział w stopniu podpułkownika. Później walczył doskonałym piórem o przynależność Górnego Śląska i Cieszyńskiego Śląska do Macierzy. Od roku 1920 członek Rady Naczelnej PPS. Reprezentował PPS w drugiej Międzynarodowce Socjalistycznej i był członkiem jej władz. W roku 1930 aresztowany i skazany na trzy lata więzienia w tzw. procesie brzeskim, kompromitującym Polskę w oczach wolnego świata demokratycznego, musiał emigrować do Czechosłowacji w 1931 roku przed uprawomocnieniem się wyroku. Od września 1941 r. jest ministrem sprawiedliwości w rządzie gen. Władysława Sikorskiego.

Co do incydentu „znoszenia się” z bolszewikami to faktem jest, że rozmawiał w Warszawie z emisariuszką sowiecką udającą się na Zachód. Nikt mu wtedy nie zarzucał zdrady, ani później, gdy już mandat poselski nie bronił jego nietykalności. Nikt też nie postawił w Sejmie wniosku o wydanie go sądowi. W jego czynnie nie było cech przestępstwa, bo nawet w procesie brzeskim nie podniesiono tej sprawy. Oczywiście, „dwójkarze” mogli mieć do niego „żal”, że im nie ułatwił kontaktu z tą emisariuszką ale to była ich sprawa względnie ich nieudolność.

Panu W. Drzymulskiemu wolno wszystko myśleć i mieć takie czy inne opinie, ale „Orzeł Biały”, pismo kombatanckie, chyba nie jest powołane do tego, by na jego łamach ukazywały się opinie niczym nie uzasadnione, jak tylko urojeniami lub uprzedzeniami, nie mającymi nie wspólnego z faktami, jeśli się chce je znać w imię prawdy historycznej.

Ryszard Zakrzewski

Londyn.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Pańskim poczytnym piśmie (O.B. — Nr 46/1193 z maja br.) ukazał się artykuł p. M. Chmielowskiego o Powstaniach Śląskich. Autor wspomina w nim o udziale w powstaniu kadetów lwowskich (Korpus Kadetów Nr 1 we Lwowie).

W powstaniu tym wzięły udział i dwie najstarsze kompanie (klasy 7-a i 8-ma) z Korpusu Nr 2 z Modlina. Wielu kadetów modlińskich pełniło w oddziałach powstań-

czych funkcje podoficerskie a nawet dowódców plutonów i wielu kadetów wróciło odznaczonych Śląskim Krzyżem Waleczności i Zasługi. Ten nasz udział w powstaniu jest na ogół mało znany i służyć p. Chmielowskiemu odpowiednimi materiałami.

Łączę Panie Redaktorze wyrazy szacunku i będę wdzięczny za umieszczenie tego uzupełnienia.

O. Dunin-Borkowski  
Londyn.

W dniu 5-go lipca 1968 roku zmarł w Casablance (Maroko)

ś. † P.

**General STANISŁAW GANO**

przeżywszy lat 73.

Pogrzeb odbył się 6-go lipca 1968 r., z kościoła Sacré Coeur, na cmentarz w Ben M'Sick.

Cześć Jego Pamięci!

**KOLEDZY**

## K R Z Y Ż Ó W K A Nr 607/68

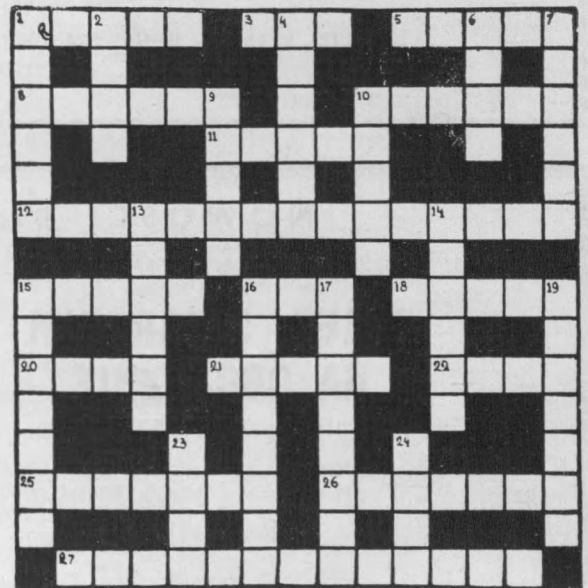
### ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 1 czary; 3) i 16) panował przed Hadrianem, w połowie Chrzciciel?; 5) autor pierwszego naukowego dzieła o Germanach; 8) czekasz na nią, aby z niej skorzystać; 10) z niego, to szybko; 11) wyspa Joannitów; 12) przeznaczona na żonę Wależgo, późniejsza królowa (4, 11); 15) i 18) od niego znana przysięga zawodowa; 20) twój i mój; 21) od niego nie nie wydusisz (wspak); 22) najbardziej majestatyczna na rzymskim Olimpie; 25) dolegliwość „leśnych dziaćków” (wspak); 26) z nich najdosłowniejsza korona; 27) żałobna rzeka? (6, 7).

**Pionowe:** 1) zapowiedź czegoś nieprzyjemnego; 2) i 6) królewski błazen; 4) od czasu do czasu; 7) jeśli bez niej, to wesoly; 9) gobelin, we Francji?; 10) mokry odgłos? (wspak); 13) imię męskie; 14) forma uznania; 15) lobuziak; 16) wesoly, towarzyski; 17) nie przy drodze i nie na widoku (2, 6); 19) nota, miara; 23) jego imienia meczet w Jerozolimie; 24) najbardziej skromny pokój.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 606/68

**Poziome:** 1) Witeź, 3) i 16) trusia, 5) pegaz, 8) pompon (wspak), 19) szmata, 11) tryby (wspak), 12) śmiech to zdrowie, 15) i 18) kopciuszek, 20) jury, 21) chyba



(wspak), 22) dama, 25) Segowia (wspak), 26) Lozanna, 27) Kazanie Skargi.

**Pionowe:** 1) Wincus, 2) i 6) topograf, 4) rzyzko, 7) zdanie, 9) pycha, 10) stado, 13) Eschyl, 14) obsada, 15) Kajetan, 16) Sobieski, 17) Achilles, 19) kwadrat, 23) i 24) igraszka.

**CZYTAJ  
POLSKĄ  
KSIĄŻKĘ!**

## KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY!

GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7. — Tel. KNI 3500

poleca dla córki  
dla syna dwie znakomite książki:

Zygmunta Nowakowskiego

# WIECZORY POD DĘBEM

Opracowała LIDIA CIOLKOSZOWA

Opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości w formie błyskotliwej,  
potoczystej, pełnej humoru gawędy.

Cena: £2.2.0; \$3.00; Fr. 30.00

Józefy Mękarskiej

# WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu.

*„Przeczytałem ją ze wzruszeniem podziwiając też  
pieczołowicie, artystyczne wydanie“ — O. Halecki*

Cena: 16/6; \$2.50; Fr. 15.00

OBIE KSIĄŻKI MOGĄ SŁUżyć STARSZEJ MŁODZIEŻY JAKO POMOC W NAUCE  
HISTORII I GEOGRAFII POLSKI

## NOWOŚCI BIBLIOTEKI „KULTURY“

TOM 157 — LEON MITKIEWICZ

### Z GEN. SIKORSKIM NA OBCZYŻNIE

(SERIA „DOKUMENTY“)

Wspomnienia jednego z bliskich współpracowników  
gen. Wł. Sikorskiego, które wnoszą szereg nowych —  
sensacyjnych nieraz — informacji i naświetleń, rzu-  
cając nowe światło na postać Generała.

Str. 400. Cena egz. 39 sh., F. 23.00, dol. 5.00

TOM 158 — ALICJA IWAŃSKA

### ŚWIAT PRZETŁUMACZONY

Oryginalny pamiętnik znanego w St. Zjednoczonych  
socjologa studiów wśród Indian Mazahua (Meksyk),  
przeplatany wspomnieniami z Polski z Powstania War-  
szawskiego.

Str. 240. Cena egz. 25 sh., F. 15.00, dol. 3.50

TOM 159 — PIOTR GUZY

### STAN WYJĄTKOWY

Nowa powieść autora Krótkiego żywota bohatera po-  
zytywnego jest fragmentem wielkiego fresku życia  
rodziny podczas okupacji niemieckiej i pod rządami  
PZPR.

Str. 144. Cena egz. 20 sh., F. 12.00, dol. 2.50

TOM 160 — JULIAN KULSKI

### STEFAN STARZYŃSKI

w mojej pamięci

(SERIA „DOKUMENTY“)

Wspomnienia najbliższego współpracownika i przyja-  
ciela bohaterskiego Prezydenta m. Warszawy.

Str. 144. Cena egz. 20 sh., F. 12.00, dol. 2.50